

Awantura o Basię



KORNEL MAKUSZYŃSKI

Awantura o Basię

I. JEDEN POCIĄG PRZYCHODZI, A DRUGI ODCHODZI

Opowieść tę, tak prawdziwą jak wiosna i tak pełną radosnych uśmiechów jak pogodny dzień, musimy — z głębokim żalem serca — rozpocząć wspomnieniem zdarzeń bolesnych i smutnych. Jak spoza ciężkich, czarnych, burzliwych chmur słońce wreszcie jasną smugą wytryśnie i ozłoci ślady klęski i zniszczenia, tak i w tej opowieści przewalić się muszą chmury przez pierwsze stronicie jak przez czyste obszary nieba. Jak w życiu, jak w życiu... Jedna szczęśliwa godzina rodzi następną, znaczoną łzami, aż smutek zelżeje i znowu przywoła jasną godzinę. Nie cenilibyśmy radości, gdyby była wiecznotrwała i snuła się nieprzerwanie. Gorycz bólu i dotkliwość cierpienia tym słodsza nam czynią radość, która się zjawi. Nie byłoby radości bez smutku. Nikt by nie wiedział, że to radość właśnie. Tym skwapliwiej¹ witamy dzień, że przed nim snuła się mroczna, oślepla noc.

To, co się zdarzyło przed rozpoczęciem tej niezwyklej historii, było nocą, smutkiem i śmiertelną przygodą. Ponieważ serce nasze drży jeszcze na wspomnienie tego, co się stało, opowiemy krótko o wszystkim. Wystarczy niewiele słów, a każde będzie miało kształt łzy.

Nie można było odgadnąć, kim była młoda pani w żałobnej sukni, wiodąca za rękę małą, może pięcioletnią dziewczynkę. Wysiadła z pociągu na węzłowej stacji kolejowej, po której w różne strony czołgały się pociągi jak olbrzymie gąsienice. Świadkowie opowiadali, że śpieszyła się bardzo, pragnąc zdążyć do bufetu, gdzie chciała nakarmić dziewczynkę. Inni mówili, że w czasie podróży była dziwnie milcząca, a w jej dużych oczach znać było niepokój; wiozła roześmiane dziecko i jakąś wielką zgryzotę. Samotne kobiety w czerni nie wędrują zazwyczaj ze szczęściem w sercu. Nikt nie umiał powiedzieć wiele więcej o tej smutnej pani, bo chociaż współtowarzysze podróży odznaczają się nadmierną ciekawością, jej nie zadawano pytań. Błada, piękna twarz i zamglone oczy, jakby patrzące w pustkę, onieśmiały ludzi. Przysłuchiwano się jej rozmowie z dzieckiem, która była właściwie nieustanną gadaniną dziewczynki, przerywaną rzadko jej cichym słowem: „Tak, Basińko!” albo: „Nie, moja maleńka!”. Ostatnie jej słowa, które słyszano, były zapowiedzią, że na najbliższej stacji dziewczynka dostanie mleka. Zaraz potem zdarzyło się nieszczęście. W skisłym, zadeszczonym mroku wieczornym pani ta obrała zły kierunek, być może też, że zamyślona nie zdawała sobie sprawy, że wychodzi z pociągu przez niewłaściwe drzwi. O Boże miłosierny! Jak grzmot toczący się po ziemi, jak zwierz straszliwy, dudniący potwornością żelaznego zgiełku², wypadł z mroku pociąg. Kobieta w czerni ostatnim, okropnym wysiłkiem zdołała odrzucić dziewczynkę...

Matka

*

Odmówmy wszyscy cichutko modlitwę za bohaterską matkę, co ostatnim ruchem wyrwała swoje dziecko śmierci jak tygrysowi.

— Prędko! Ołówek i kawałek papieru! — zawołał zduszonym głosem lekarz, błądzący ze wzruszenia.

Marszcząc czoło, jak gdyby chciał sobie dokładnie przypomnieć zasłyszane słowa, pisał coś na kartce, którą podał urzędnikowi.

¹skwapliwy — chętny, ochoczy, gotowy. [przypis edytorski]

²zgiełk — ruchliwy, hałaśliwy pośpiech. [przypis edytorski]

- To zdołała wyszeptać — rzekł głucho.
- Jakiś adres?
- Tak. Tam należy skierować dziecko. Biedna maleńka... Gdzie ona jest?
- W drugim pokoju.
- Co robi?
- Nie rozumiem, co się stało... Wciąż pyta o matkę.
- Chodźmy tam do niej — rzekł lekarz bardzo cicho.

Dziewczynka spojrzała na wchodzących, jakby zdziwiona, że wśród nich nie było matki. Siedziała na krześle, odziana³ w niebieski płaszczyk. Spod miękkiej czapeczki wymykały się jasne, krótko przystryżone włoski. Gdyby nie sukieneczka, można by mniemać w pierwszej chwili, że to jasnooki, puciołowaty chłopczyk.

Trzech panów, jakby onieśmielonych, zatrzymało się przy drzwiach, które szybko za sobą zamknęli, a lekarz zbliżył się do dziewczynki. Patrzył na nią długo i długo nie przemawiał, jak gdyby słowa nie mogły przecisnąć się przez jego gardło. Wreszcie położył rękę na jej głowce i lekko ją pogładził.

- Jak ci na imię, maleńka?

Dziewczynka spojrzała na niego zalekłym wzrokiem i nie odpowiedziała.

— Nie bój się, kochanie — mówił lekarz drżącym, miękkim głosem. — My wszyscy bardzo cię kochamy... Bardzo, bardzo... Pewnie masz na imię Marysia?

- Nie Marysia... — odpowiedziała cichutko.

— Więc Jadzia?

— Jadzia też nie...

— Może Basia?

Dziewczynka uśmiechnęła się.

— Tak. Basia ma na imię Basia.

— A jak dalej?

— Dalej nie wiem. Mamusia wie. Niech pan zawoła mamusię!

Lekarz przymknął oczy.

— Basińko kochana... — zaczął mówić z trudem. — Twoja mamusia... Och, jaki Basia ma śliczny płaszczyk! A jakie włoski...

— Jak chłopczyk! — oświadczyła z powagą dziewczynka. — Mamusia mi obcięła.

— Tak, tak...

Pochylił się nad nią i otoczył ramieniem.

— Posłuchaj, Basińko... Twoja mamusia odeszła...

— Ale zaraz przyjdzie?

— Nie, maleńka. Już nie przyjdzie...

— Czemu nie przyjdzie? Ja chcę spać!

— Bo twoja mamusia poszła daleko, bardzo daleko...

— Czemu daleko? Gdzie to jest: daleko?

— Poszła aż do nieba...

— Teraz przecież ciemno — mówiła dziewczynka, patrząc na niego podejrzliwie.

Lekarz stropił się⁴ i nieporadnie rozłożył ręce. W ten sposób można było wieść z dzieckiem rozmowę bez końca. Tarł ręką czoło i w ten starodawny sposób wygrzebał w strokanej głowie myśl bardzo rozsądną.

— Zatelefonuję po żonę — rzekł do trzech panów, przysłuchujących się w milczeniu.

Nie upłynęło nawet pół godziny, a pani doktorowa znalazła się na miejscu smutnych wypadków. Objaśniona zwięźle szeptem o nieszczęściu i niedoli dziecka, załatwiła sprawę ze wzruszającą prostotą.

— Pójdziemy spać, maleńka! — rzekła do Basi głosem sprytnie udającym bardzo wesoły.

Dziewczynka dała znać uśmiechem, że nie mogąc dojść do ładu z jękającym się mężczyzną, chętnie i bez protestów gotowa jest do gorącej przyjaźni z tą panią, odzianą podobnie jak jej matka.

³odziać (daw.) — ubrać, założyć na siebie. [przypis edytorski]

⁴stropić się (daw.) — zmartwić się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

Serduszko wiedziało o tym, że to ktoś inny i obcy, senne spojrzenie jednak nie umiało już dać sobie rady z mglistością zarysów. Pani doktorowa, kobieta zażywna⁵ i energiczna, czerstwością zdrowia przynosząca zaszczyt lekarskiej sztuce męża, wzięła dziewczynkę na ręce i ze wzruszającą tkliwością przytuliwszy do piersi, wyniosła ją z kolejowego budynku.

— Śpij, biedactwo — szepnęła, patrząc na dziecko.

Z niesłychanym zasobem miękkich słów, porównań, przenośni i przykładów, z całym arsenalem⁶ sposobów, znanych jedynie kobiecemu sercu, zdołała nazajutrz wyjaśnić dziewczynce, że jej matka nigdy już nie powróci. Basia pojęła tylko tyle, że ją okropnie skrzywdzono, o czym oznajmiła długim płaczem. Pani doktorowa usiłowała scalać łzy z jej oczą, co musiało być pracą uciążliwą, gdyż i w oczach kobiety zaczęły się one gromadzić, gwałtowne i niepowstrzymane. Obie płakały cichutko, przytulone do siebie tak, że nie można by powiedzieć dokładnie, do której z nich która łza należy.

Innych rzeczy też jednak nie można było odgadnąć. Najściślejsze poszukiwania do niczego nie doprowadziły; nie znaleziono żadnych dokumentów w torebce nieszczęśliwej kobiety, a w wagonie żadnych walizek ani zawiniątek. Najrozsądniejsze wydawało się przypuszczenie, że albo ją okradziono w drodze, albo ta biedna pani, głęboko przejęta jakąś troską, pogubiła to, co ze sobą wiozła. Wiele słuszności mogło tkwić w przypuszczeniu, że jechała tam, gdzie ją wszystko oczekiwało. Nie znaleziono ani świstka papieru, tylko niewielką ilość pieniędzy i bilet kolejowy do Warszawy.

— Jakies nieszczęście gnało tę biedaczkę — mówił lekarz. — Albo zapomniała o wszystkim, albo nie mogła myśleć o niczym innym. Niech ją Bóg przyjmie miłosiernie, bo bardzo musiała cierpieć. Całe szczęście, że miała jeszcze tyle sił, aby wyszeptać kilka słów.

Patrzył na kartkę, na której zanotował kilka wyrazów.

— Dość znane nazwisko — mówił jakby do siebie. — Jak myślisz? — zwrócił się do żony, na której kolanach siedziała dziewczynka — Co teraz należy zrobić?

Pani doktorowa spojrzała na Basię zamyślona. Zdawało się jej, że dziecko pojmuje roztropnie, iż o nim jest mowa, rzekła więc szybko:

— Pomówimy o tym później.

Dość niezdarna była dyplomacja dobrej kobiety, widać bowiem było, że umyślnie odwleka chwilę rozstania z dziewczynką. Usiłowała wmówić wszystkim, że należy czekać jakichś wieści od krewnych nieszczęśliwej pani w żałobie, którzy po przeczytaniu w gazetach wiadomości o okropnym wypadku zgłoszą się niewątpliwie, pojąwszy z opisów, kim była matka podróżująca z dzieckiem. Nikt się jednak nie pojawił. Minęło kilka dni, a znikąd nie nadszedł ani list, ani depeza.

— Trzeba dziecko odesłać pod wskazany adres — rzekł lekarz. — Dziwna rzecz, że ta osoba nie zgłosiła się sama. Przecież czyta chyba gazety.

— Jeśli jest osobą rozsądną, to nie czyta — mruknęła jego żona.

— Wszystko jedno. Dziecka przetrzymywać nie możemy.

— Czy tak bardzo ci przeszkadza to rozkoszne dziecko?

— Bynajmniej! Wcale mi nie przeszkadza! Cóż za przypuszczenie! Ty byś je, oczywiście, zatrzymała na zawsze.

— Och! Z największą radością!

— Wiem o tym, bo od kilku dni wyprawiasz przedziwne sztuki. Nie, moja kochana... Całym sercem do niego przyłgnąłem, ale czas najwyższy, aby je odesłać. Jutro napiszę list wedle adresu, aby Basi oczekiwano na dworcu w Warszawie, a pojutrze dziewczynka pojedzie.

— Jak to „pojedzie”? Sama?

— Do Warszawy niedaleko. Wsadzi się ją do wagonu, odda pod opiekę podróżnych, a w Warszawie ją odbiorą. Adres jest wyraźny.

— Czy nie lepiej będzie wysłać ją pocztą? — zapytała pani doktorowa z irytacją.

— W Anglii zdarzył się taki wypadek...

— Ty byś nawet mnie wysłał pocztą...

— Niemożliwe. Poczta przyjmuje pakunki jedynie do dwudziestu kilogramów. Ciężary o wadze osiemdziesięciu wysyła się pociągiem towarowym... — odrzekł on z powagą.

⁵zażywny (daw.) — tęgi, gruby, tłusty, utuczony. [przypis edytorski]

⁶arsenał — tu: duży zasób. [przypis edytorski]

Basia, nie wiedząc o tym, że jest przedmiotem burzliwych konferencji, przebrnąwszy przez kilka dni ponurych, rozplakanych, bardzo dziwnych i strasznych, powróciła już do swego błękitnego kraju, nad którym uśmiecha się czyste niebo. Przez kilka dni szukała matki zdziwionymi oczami i czuła trwogę w serduszkach. Wieczorem, zanim usnęła w ramionach pani doktorowej, zdawało się jej, że słyszy kroki mamusi, a raz jeden, że ją widzi. Potem, powoli, znana postać zaczęła się rozplątać w srebrzystą mgłę, zamazywać i niknąć. Zwalista postura⁷ tej pani, która ją całuje i pieści, zasłoniła swoim ogromem to wszystko, co się dotąd ukazywało tuż przed jej oczkami. Na świecie znowu zrobiło się niebiesko.

Dziecko, Sierota

Wielkie zdarzenia nie mogły się zmieścić w jej serduszkach; najmniej ją obchodziły długie narady tego pana z tą panią. Dopiero kiedy pani chwyciła ją nagle w objęcia i zaczęła głośno płakać, Basia, uznawszy, że przez kobiecą solidarność należy to również uczynić, beknęła, boleśnie pochlipując. Płkanie jest taką samą dobrą zabawą jak każda inna, jeśli tylko nie trwa zbyt długo, bo to nie ma wielkiego sensu. Trochę jednak popłakać zawsze można, tym bardziej skoro tej dobrej pani zdaje się to sprawiać przyjemność.

Łzy

Łzy pani doktorowej padały jak deszcz z burzliwej chmury. Pan doktor wysłał list, dokładny, obszerny, najciszej opisujący wszystkie smutne wypadki, i prosił osobę, której Basia została powierzona, aby w środę o godzinie piątej po południu oczekiwała na dworcu, gdyż dziewczynka pojedzie sama. List był polecony, osobiście nadany przez lekarza, adres zaś podkreślony czerwonym ołówkiem, aby zwrócić uwagę poczty na jego ważność. Zachowane zostały wszystkie środki ostrożności.

List

— Dziecku nic się nie może stać — uspokajał żonę. — Jest nadzwyczaj roztropne i da sobie radę. A ty nie pojedziesz... Trzy razy byłeś w Warszawie. Dwa razy cię okradli, raz wpadłeś pod auto i złamałeś nogę. Teraz nie uszląbysz z życiem.

Pan doktor miał o stolicy dość ponure wyobrażenie.

Pani doktorowa, zamknąwszy się z Basią na tajnej naradzie gabinetowej, usiłowała jej wyjaśnić, jak ogromne czekają ją przedsięwzięcia. Uspokajała ją wymownie, że dzieci często podróżują same, nawet na ogromnych przestrzeniach, że dziecka nikt nie skrzywdzi, a w Warszawie zajmą się nią serdecznie. Dziewczynka słuchała uważnie i nie zgłosiła żadnego sprzeciwu. Owszem, to może być zabawne.

Podróż, Bezpieczeństwo

Narada trwała dwie bite godziny; uczestnicy wyprawy do bieguna północnego mniej są przewidujący niż pani doktorowa. Omówione zostały wszystkie — nawet najmniej prawdopodobne — wypadki, jak porwanie, uśpienie podróżnego za pomocą zatrutych papierosów i zepsucie się lokomotywy. Czarne słowa pani doktorowej przeleciały jak burza przez jasną głowinę i po chwili nie było po nich śladu. Jeden tylko kolorowy ptaszek latał nad dziewczynką i śpiewał o nadzwyczajnej podróży.

Dobra kobieta zaprowadziła Basię na dalekie miejsce poza miastem, gdzie rosły drzewa i stały krzyże, i tam, kazawszy jej uklęknąć, długo do niej mówiła szeptem, cudownie serdecznym. Słońce świeciło bladocięciem, a czerwone liście spadały z drzew z cichutkim szelestem. Basia powiedziała tak samo cichutko:

Cmentarz

— Bądź zdrowa, mamusiu!

W środę, nakarmiwszy dziewczynkę na zapas tak obficie, jak gdyby miała przepłynąć Atlantyk⁸, przezorna pani zawiesiła na jej szyi tabliczkę z tektury i atramentowym ołówkiem napisała na niej adres „odbiorcy”. Ofiarowała jej małą torebkę, nadzianą po brzegi cukierkami, czekoladą i wszelką słodką pociechą cielęcych lat człowieka. Potem, na godzinę przed odejściem pociągu, rozpoczęła uroczystość pożegnania. Tych czułości, tych okrzyków, tych napomnień, tych łez i pocałunków, pocałunków i łez ludzkie pióro nie opisze. Małym urozmaiceniem tej ceremonii był wrzask burzliwy, nagły, huczący i najmniej spodziewany:

— Mężu! Jeśli temu dziecku coś złego się stanie, będziesz przeklęty!

Powiedziane — a raczej wykrzyczane — zostało to z taką mocą, że pan doktor zdrzął.

— Cóż mu się może stać, u Boga Ojca! — rzekł, ale dość niepewnie.

⁷postura (daw.) — postać, sylwetka, postawa. [przypis edytorski]

⁸Atlantyk a. Ocean Atlantycki — drugi co do wielkości ocean na Ziemi. [przypis edytorski]

„Wyższych dziesięć tysięcy”⁹ miasteczka w skromnej liczbie ośmiu najważniejszych obywateli podzielało to roztropne zdanie. Wprawdzie Warszawa jest miastem żarłocznym, ale dzieci tam nie jedzą. Starano się żartobliwie uciszyć niepokoje pani doktorowej i dodać jej ducha, co było niejako przesadą, sądząc bowiem z nadmiaru cielesnej powłoki i duch jej musiał mieć okazałe rozmiary.

Wszyscy znali niedawne dzieje dziewczynki, więc tkliwość dla osieroconego dziecka, które — sądząc z żalobnego stroju jej matki — nie miało już zapewne i ojca, przywiodła wszystkich dobrych ludzi na dworzec kolejowy. Brak było jedynie pana starosty i fotografa, gdyby bowiem udało się te osobistości zaangażować do zespołu zebranego na dworcu, odjazd Basi nie różniłby się niczym od uroczystego wyjazdu ministra. Sprawiedliwie jednak przyznać należy, że jeszcze żadnego ministra na świecie nie żegnało tyle łez, ile ich popłynęło z oczu pani doktorowej. Ponieważ umysły zrównoważone przestrzegają dokładnych terminów wszystkich czynności, zacna¹⁰ kobieta zaczęła ronić łzy o godzinie drugiej piętnaście, na kwadrans przed odejściem pociągu. Przedtem postanowiła bacz-
nym¹¹, suchym okiem obejrzeć wszystko, co mogło mieć związek z podróżą. Energicznym krokiem pobięła w stronę dychawicznie¹² sapiącej lokomotywy, na żelaznego potwora rzuciła tylko pobieżne spojrzenie, lecz długim i przenikliwym zajrzała w oczy maszynisty. Zdumiał się nieco ten pocziwy człowiek, przewiercony na wskroś bystrym wzrokiem jak ostrym promieniem. Potem uczynił to, co mu się wydało najrozsądniejsze: wzruszył ramionami. A pani doktorowa, dojrawszy zapewne w jego oczach powagę, pozbawioną wszelkiej lekkomyślności i skłonności do burzliwych awantur, poczęła przebiegać wagony i zaglądać we wszystkie przedziały. Wreszcie po długim wahaniu wybrała jeden.

Nie chcemy narażać na nagłe pęknięcie ani własnego, bardzo czulego serca, ani tkli-
wych serc czytelników, dlatego nie opiszemy sceny pożegnania. Miało ono być wprawdzie uroczystością zbiorową, cały jednak ceremonial¹³ pogruchoła pani doktorowa. Nie miała własnego dziecka, więc niezmierną miłość, wypełniającą jej zacne serce, chciała dać na drogę biednej dziewczynce. Wyrwała ją z każdego ramion, nikomu nie pozwoliła jej pocałować, przerywając wszystkie czułości okrzykiem: „Czy chcecie zamęczyć dziecko?”. Tulila ją i ścisłała, z nadejściem zaś właściwej pory wybuchnęła płaczem. Na własnych rękach zaniósła ją do wagonu. Otarliśmy wielkie łzy, ażeby nie kapwały na słowa, rzekła do zgromadzonych w przedziale:

— Proszę państwa! Ta dziewczynka jedzie sama do Warszawy! Sama! A dlatego sama, że jest sierotą. Adres ma na piersi, na tekturowej kartce... Jedzenie w torebce. W Warszawie po nią się zgłoszą... Proszę na nią uważać, proszę się nią zaopiekować... Niech się nie zbliża do okna! Niech się nie zaziębi! Proszę pana, aby pan nie palił papierosów! Przecież przez dwie godziny może się pan powstrzymać! O, pani jakoś przyzwoicie wygląda... Niech pani na nią uważa... Proszę jej nie dawać owoców, bo pewnie nieumyte, a mój mąż mówi, że o cholere¹⁴ łatwo... Czy mogę liczyć na wszystkich tu zebranych?

— Dobrze, dobrze, proszę pani — bąknął ktoś w imieniu społeczeństwa.

Pani doktorowa jednakże postanowiła zastosować na wszelki wypadek lekką groźbę:

— Bo inaczej Pan Bóg by was pokarał!

Zebrana gromadka zdumiała się, lecz pani doktorowa nie zwróciła na to uwagi.

— Małeńka — rzekła do dziewczynki. — Ci państwo zaopiekują się tobą. Ale jedź tylko to, co ja ci dałam, i nie bierz nic od nikogo. Nikomu dzisiaj wierzyć nie można. Aha! Gdyby ci się chciało... — (nachyliła się do ucha Basi i tłumaczyła jej coś bardzo zawile) — to powiesz to tej pani, a ona cię zaprowadzi. Pan konduktor! Dobrze, że pan tu przyszedł, panie konduktorze.

Uchwyciwszy go palcami za guzik od munduru, wyjaśniła mu dokładnie jego straszliwą odpowiedzialność i zaklęła na wszystkie moce niebiańskie i piekielne, aby co kwadrans zajrzał do przedziału.

⁹wyższych dziesięć tysięcy — tu: ironiczne określenie niewielkiej elity, małej grupy ludzi mających wpływ na lokalną społeczność. [przypis edytorski]

¹⁰zacny (daw.) — godny szacunku, zaufania. [przypis edytorski]

¹¹baczny — czujny, uważny. [przypis edytorski]

¹²dychawiczny — oddychający z trudem, słaby, działający źle. [przypis edytorski]

¹³ceremoniał — zbiór przepisów obowiązujących podczas ceremonii; uroczystość odbywająca się na określonych zasadach. [przypis edytorski]

¹⁴cholera — tu: choroba zakaźna. [przypis edytorski]

Zirytowany gwizd lokomotywy i nawoływania wszystkich zebranych przed wagonem dały znać pani doktorowej, że rozpoczyna się ostatni akt.

Ktoś uniósł dziewczynkę na rękach, tak ażeby mogła wyjrzeć przez okno.

Pani doktorowa chciała jeszcze krzyknąć, ale nie mogła. Coś ją dławiło w gardle, więc tylko spojrzaniem wołała tak serdecznie... Tak serdecznie... Śliczna, jasna główka mignęła jak błysk odbity w lusterku. Zdawało się, że ktoś postawił kwiatek za szybą wagonu.

Kiedy zachłanny las połknął pociąg, pani doktorowa stała jeszcze, patrząc wzrokiem smutnym i jakby rozżalonym.

— Chodźmy już — rzekł lekarz.

— Przedtem jednak zażyj jakiś proszek na uspienie sumienia. Mam takie przeczucie, że posłaliśmy to dziecko na zgubę, a moim przeczuciom możesz wierzyć. Czy przed trzema laty nie powiedziałam ci, że cię spotka nieszczęście, i czy nie złamałeś wtedy nogi?

— Złamałem nogę, bo na chodniku leżała pestka śliwki. Czemu nie przeczułaś, że ktoś będzie jadł śliwki? Twoje przeczucia są mizerne. Dziewczynka zajędzie zdrowa, bo ja mam takie przeczucie.

— A czemu ci, do których wysłałeś list, wcale ci nie odpisali?

— Najpierw dlatego, że są to Polacy, a Polacy rzadko kiedy odpisują na listy, a następnie dlatego, że nie mieli na co odpisywać.

— I Basia jedzie do takich barbarzyńców¹⁵, co nie odpisują na listy! Kto nie odpisuje na listy, może równie dobrze zagłodzić dziecko albo bić je przy każdej sposobności. No! Niechby coś podobnego doszło do mojej wiadomości! Upprzedzam cię, że za jakiś miesiąc pojedę do Warszawy, aby się przekonać, co tam wyprawiają z dziewczynką. Czego ta figura¹⁶ chce od ciebie?

— Jaka figura? A, ten...

Z unizonym ukłonem zbliżył się do lekarza młodzian¹⁷, spowity omdlewającym zapachem zabójczych perfum.

— Właśnie szedłem do pana doktora — mówił z przejęciem. — Czy pan doktor nie byłby łaskaw odwiedzić babuni?

— Przecież byłem u niej przedwczoraj — odrzekł lekarz bez entuzjazmu. — Babunia zdrowa jak grenadier¹⁸.

— Być może. Babunia jednak doszła do przekonania, że ma solitera¹⁹, bo ją bardzo mdli.

— Chyba nie soliter, tylko te perfumy — mruknęła doktorowa.

— To siedemdziesiąta siódma przypadłość w tym roku — rzekł doktor. — Więc o co idzie?

— O jakiś środek na mdłości. Babunia od dwóch dni niczego nie bierze do ust, oprócz kapusty i kawałka wieprzowiny. Czy pan doktor będzie łaskaw?

— Będę łaskaw — rzekł doktor niecierpliwie. — Czekaj pan! Zaraz panu zapiszę.

Zaczął grzebać w kieszeniach i znalazłszy jakąś kartkę, szybko na niej pisał, używając torebki pani doktorowej jako podkładki.

— Ma pan, do następnej choroby wystarczy...

Zapowietrzony²⁰ wnuk znękaney²¹ babuni wziął tę osobliwą receptę na jakiś niewinny środek i zdziwił się, że na odwrotnej stronie karteczki wypisany był warszawski adres. Pan doktor znany był jednakże z roztargnienia. A przed chwilą wydawał się jeszcze bardziej rozkojarzony niż zwykle.

2. SŁOWA WAŻNE NALEŻY RYĆ W MIEDZI, A NIE NA PAPIERZE

Basia siedziała w przedziale wagonu jak skowronek wśród puchaczy. Podróżni zawsze na początku są napuszeni i dopiero po jakimś czasie układają pióra, aby je nastroszyć

Lekarz, Choroba

Podróż

¹⁵barbarzyńca — tu: osoba niecywilizowana, prymitywna. [przypis edytorski]

¹⁶figura (żart.) — tu: osoba, typ. [przypis edytorski]

¹⁷młodzian — młodzieniec. [przypis edytorski]

¹⁸grenadier — żołnierz, należący do rodzaju pieszej formacji bojowej. [przypis edytorski]

¹⁹soliter a. tasiemiec — pasożyt układu pokarmowego. [przypis edytorski]

²⁰zapowietrzony (żart.) — przesadnie uperfumowany. [przypis edytorski]

²¹znękaney — zmęczony, wyczerpany. [przypis edytorski]

znowu, ile razy ktoś nowy wchodzi do przedziału. Wtedy wszyscy, jak gdyby zmówieni, milkną i starają się przybysza odstraszyć. Ponieważ o tych obyczajach wszyscy wiedzą, nikt sobie zatem wiele nie robi z groźnych min i bezwstydnie zajmuje wolne miejsce. Podróźni zazwyczaj przypatrują się sobie spode łba, wedle ceremoniału zachowanego od czasu wynalezienia kolei żelaznej. Tym razem zaniedbano lekkomyślnie ten roztropny obyczaj, gdyż wszyscy obserwowali dziewczynkę. Zainteresowanie tą okruszyną było tak żywe, że zapomniano również o wzajemnych pytaniach: „Czy pan(i) daleko jedzie?”. Z podnieconego przemówienia pani doktorowej wiadano, że mała zmierza do Warszawy, nie miało więc sensu pytanie jej o cel podróży. Wiele jednak w tym wszystkim było punktów niewyjaśnionych: dlaczego ten berbec²² jedzie sam, kim jest wymowna dama, która im groziła boskim skaraniem, skąd tak gwałtowna troska o dziecko nazwane sierotą? Z tych tajemnych zagadnień wypłynęły oczywiście jeszcze kilka innych.

W przedziale siedziały dwie panie i jeden pan. Basia, skulona w kąciку, była czwarta. Panie nie wyglądały na wielkie damy i różniły się zaledwie tym, że jedna miała czerwony kapelusz, a druga zielony. Poza tym nie posiadały cech wybitnych i jaskrawych, którymi mogły się odróżnić w gromadzie stu tysięcy innych pań. Obie miały oblicza pomazane margaryną uśmiechu i musiały mieć te same przyzwyczajenia, nie upłynęło bowiem pół godziny, a obie wydobuły z koszyczków smakowite zapasy i zaczęły jeść. Jest to sprawa godna podziwu filozofa — o ile nam jednak wiadomo, dotąd żaden filozof nie usiłował rozwikłać tego zagadnienia — dlaczego ludzie podróżujący zawsze jedzą. Są dane, że jedzenie, szczególnie jajek na twardo, znakomicie skraca podróż i jest wyborym²³ lekarstwem na jej rozciągłą nudę. Należy przyznać, że obie panie — i kapelusz zielony, i kapelusz czerwony — jadły z mniejszym entuzjazmem, niżby się tego można było spodziewać. Czyniły to raczej w celu podtrzymania dobrego zwyczaju. Tajemnicza dziewczynka pozbawiała je apetytu.

Naprzeciwko Basi, tuż przy oknie, siedział jedyny w tym damskim zgromadzeniu mężczyzna. Byłoby przesadą nazwanie go egzemplarzem okazałym. Nie ulega wątpliwości, że wielki rzeźbiarz grecki Fidiasz²⁴ nie zatrzymałby się na widok tej postaci i nie złapałby się z zachwytem za głowę. Jegomość²⁵ był mocno zażywny, tak że przy każdym gwałtowniejszym ruchu twarz jego oblewała się czerwienią. Na twarzy tej malowała się żywa niechęć do całego świata i niezadowolenie z jego urządzeń; wzrokiem, wyraźnie jadowym, spojrzął na obie damy i wzruszył ramionami, z czego można było domyślić się, że wzruszenie prawego ramienia przeznaczone było dla kapelusza czerwonego, lewe zaś skrzywiło się na obraźliwą intencję kapelusza koloru szpinaku. Następne spojrzenie było tępym sztyletem, który zagroził morderstwem Basi, resztę zaś zerknięć, chmurnych i zabarwionych smolą²⁶ piekielną, rozdzielił sprawiedliwie pomiędzy okno, drzwi, lampę, lustro i hamulec bezpieczeństwa. Ukończywszy tę rewiew²⁷, oddzielił się od życia i jego małych spraw, nieczuły na wszystko, i z pasją godną lepszej sprawy chwycił gazetę leżącą obok. Można było oczekiwać, że po chwili czasopismo, dotknięte jego spojrzeniem, zatli się i zacznie dymić albo roić się od straszliwych morderstw i nieszczęśliwych wypadków. Ów dziwny jegomość przypominał żywo żelazny imbryk²⁸, w którym bulgoce ukrop wody. Należy dodać, że wprawdzie dość rzadko, ale za to gwałtownie zgrzytał zębami.

Kapelusz czerwony, zauważywszy bystrze te wewnętrzne niepokoje miotające jegomościem, spojrzął wymownie na kapelusz zielony, który wydał westchnienie, jak gdyby chcąc powiedzieć:

— Świat, moja pani, przepelniony jest wariatami!

Obie damy wykreśliły natychmiast owego mruka²⁹ z towarzyskiego zespołu i uznawszy, że już najwyższy czas zająć się dziewczynką, rozpoczęły wywiad:

— Może zdejmiesz płaszczyk, kochanie — zaproponowała czerwona papryka.

²²berbec (pot.) — małe dziecko. [przypis edytorski]

²³wyboryny — doskonały, świetny. [przypis edytorski]

²⁴Fidiasz (ok. 490–ok.430 p.n.e.) — jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy starożytnej Grecji. [przypis edytorski]

²⁵jegomość (daw.) — jakiś mężczyzna, facet. [przypis edytorski]

²⁶smola — mazista, czarna ciecz, otrzymywana poprzez odgazowanie węgla. [przypis edytorski]

²⁷rewia — tu: pokaz, przedstawienie. [przypis edytorski]

²⁸imbryk — czajnik. [przypis edytorski]

²⁹mruk (pot.) — człowiek małomówny i nietowarzyski. [przypis edytorski]

— Tak, tak, bardzo tu gorąco — oznajmił zielony szpinak.

— Dobrze! — zgodziła się Basia.

Oba zabójcze kolory pochyliły się nad nią, pomagając jej w zdejmowaniu okrycia, co zwróciło uwagę wroga całego świata. Rzucił on na obie damy spojrzenie nadziane siarką, dynamitem i gazem trującym, po czym z trzaskiem zmiażdżył gazetę, czym całej ludzkości dał do zrozumienia, że uczciwy człowiek w tych warunkach czytać nie może, więc czytać nie będzie.

— Przecież panu nie przeszkadzamy! — rzekła cierpko dama w czerwieni.

— To się tylko pani tak zdaje — odrzekł ponury człowiek.

Sprawiał wrażenie, jakby wydobył z gardła nie głos, lecz nastroszonego jeża.

— Dziecko ma swoje prawa! — ogłosił szpinak.

— Dziecko nie ma żadnych praw, bo nie spełnia żadnych obowiązków! — krzyknął ponury.

Zdawało się, że nie słowa padły na obie damskie, urocze głowy, lecz grad wielkości kurzych jaj.

Oba wspaniale barwne kapelusze pominęły milczeniem straszliwie głębokie spostrzeżenie niedźwiedzia, uwagę ich bowiem zajęło odkrycie owej tajemniczej kartki, zawieszonej na mocnym sznureczku na piersiach dziewczynki.

— To ten adres... — szepnęła papryka.

— Ciekawe, bardzo ciekawe! — odszepnął szpinak.

Szpinak to jarzyna, która nie jest zdolna do uwag godnych uwiecznienia.

Obie damy odczytały kilka słów z niecierpliwą ciekawością, dość zachłannie, od razu jednak okazały sobie wzajemne rozczarowanie. Nazwisko i adres nie były czymś nadzwyczajnym.

— To ty, maleńka, nie masz rodziców? — zapytała jedna dama. Basia spojrzała na nią, jakby nie rozumiejąc pytania. Jegomość-chmura gradowa ni stąd, ni zowąd zaczął bębnić palcami o szybę, dając tym do poznania wszystkim obecnym, że zaczyna się w nim przewracać zirytowana wątroba.

— Pewnie nie ma — wyjaśniła druga dama. — Przecież ta pani mówiła, że to sierota. A powiedz mi, dziecko, czy ta pani, co cię tu przyprowadziła, to twoja ciocia?

— Ciocia! — zgodziła się dziewczynka.

Zielone spojrzęło na czerwone.

— Jacy to dzisiaj ludzie, moja pani — rzekła dama do damy.

— Najbliższa krewna, a dziecko samo puszcza w daleką podróż. Z kartką, proszę pani, wysłała jak zajęca... Ale krzyżeć to umie, że nie daj Boże!

Czarny jegomość wpadł bez rozumnego powodu w jakies nagle delirium³⁰, gdyż przejechał ręką po włosach, zburzywszy ich przyrodzoną, leniwą spokojność, i zaczął gwałtownie poruszać szczękami, jak gdyby żuł kawałek kalosza lub twardy rzemień. Czynność ta była tak zajmująca, że Basia, spojrzawszy na niego, nie mogła już oderwać wzroku od tej maszynierii. Nagle, ku niezmiernemu zdumieniu obu pań, nastrojonych smętnie jak smutno grające basetle³¹, zaśmiała się jasnym, perlistym śmiechem i pisnęła:

— Ja też tak!

Ponieważ młode osoby posiadają w wysokim stopniu małą zdolność naśladowania, zaczęła poruszać szczękami, całkiem zgrabnie marszczyć czoło, po czym, zerwawszy z głowy berecik, przejechała rączką po jasnych włosach. Była to zabawa tak wspaniała, że cały świat razem z damą w czerwieni i z damą w zieleni nie był wart już uwagi.

Jegomość-widmo znieruchomiał na moment i rozwarł oczy w przeraźliwym zdumieniu, co przez dziewczynkę zostało przyjęte z zachwytem, bo i ona starała się wydobyć z ocząt wzrok dziki i straszliwy. Zgrzytnął zębami, a Basia uczyniła to samo, zresztą dość marnie i bez należytego efektu, ze względu na mizerny stan uzębienia.

Jegomość-upiór stęzał nagle i znieruchomiał.

— Jeszcze, jeszcze! — prosiła dziewczynka.

— Dziwne dziecko — oświadczył kapelusz czerwony.

³⁰delirium (z łac.) — stan zaburzenia świadomości połączony z opowiadaniem bredni. [przypis edytorski]

³¹basetla — ludowy instrument strunowy a. (daw.) wiolonczela. [przypis edytorski]

— Pomyłone dziecko! — krzyknął człowiek-cmentarz. — Cóż dziwnego? Dziewczynka!

Słowem tym, rzuconym pogardliwie, dotknął obie damy jak rozpalonym żelazem.

— Więc cóż z tego, że dziewczynka? Co się panu w tym nie podoba? Nie wolno się dziecku śmiać?

— Wolno, ale nie ze mnie.

Nie wypowiedział tych słów, lecz je ulepił z gorącej smoły.

— Korona panu z głowy nie spadnie! Dobry człowiek sam zabawiłby dziewczynkę i uśmiełby się razem z nią. Nie bój się, małeńka...

— Ja się nie boję! — oznajmiła Basia. — Zrób to jeszcze... — zaproponowała serdecznie mordercy niewinnych dzieci.

Herod³² w okularach żachnął się i chciał zazgrzytać pełnym uzębieniem, ale zatrzymał się w samą porę.

— Powiedz tym paniom, aby one też się trochę pokrzywiły! — rzekł zjadliwie.

Zdawało się, że nie powiedział tych słów, lecz je z wielkim sykiem wypuścił z syfonu³³ pełnego wody sodowej.

Obie damy spojrzały z największym niesmakiem na zgrzytającego awanturnika, a potem porozumiewawczo na siebie. Czerwony kapelusz dotknął nieznacznie palcem czoła, z czego kapelusz zielony łatwo pojął, że ponurego jegomościa należy uważać za człowieka, któremu brak piątej klepki. Jak wszystkim wiadomo, do prawidłowego rozporządzenia rozumem konieczna jest pełna liczba klepek — pięć. Zatrwożone tym odkryciem i przejęte współczującą troską o dziewczynkę, panie starały się nakłonić ją do zerwania wszelkich towarzyskich stosunków z tym Madejem-zbójcem³⁴. Kapelusz czerwony rzekł bardzo przymilnie:

— Odsuń się, moje dziecko, bo pewnie przeszkadzasz temu panu...

— Nie trzeba drażnić tego pana — pouczył także Basię kapelusz zielony.

Widać było od razu, że dobre rady zostały zmarnowane; dziewczynka była zachwycona człowiekiem poruszającym szczękami i wciąż rzucała mu uśmiechy w błogiej nadziei, że i on wreszcie, wedle sprawiedliwych reguł gry, też się roześmieje. Pan jednak patrzył w okno i zdawał się liczyć słupy telegraficzne — tak się w tym zapamiętał, że Basia postanowiła zwrócić na siebie jego uwagę, więc pociągnęła go za poję³⁵ ubrania.

— Skaranie boskie! — wrzasnął ów jegomość. — Czego ten pędrak³⁶ chce ode mnie?

— Śmiać się! — pisnęła nieustraszona Basia.

Obie panie zmartwiały, przeświadczone, że ten Iwan Groźny³⁷ jednym uderzeniem pięści zamorduje dziewczynkę. Istotnie, miał śmierć w oczach, ale nie zabił Basi. Najpierw prychnął jak nosorożec, gdy wynurzy pysk z wody, potem spojrzął spode łba na dwa kolorowe kapelusze. Uderzywszy zębami o zęby, wykrzesał z nich iskry, które prysnęły w kształcie słów.

— Takie dzieci nie powinny znajdować się w przedziale... Takie dzieci powinno się wieszać za nogę na sznurku za oknem wagonu... Jeśli ta pannica natychmiast nie zaprzestanie swoich igraszek...

— To co będzie?! — krzyknęła pierwsza dama.

— Będzie nieszczęście! — warknął.

— Niech pan to powie jej, nie nam! — krzyknęła druga dama.

— Dlaczego pan zwraca się do nas?

— Mówię głośno i po polsku, a kto chce, niech słucha.

— Pan nie jest zbyt uprzejmy... Zresztą dość spojrzeć... Pan utopiłby to niewinne dziecko w łyżce wody.

Kłótnia

³²Herod a. Herod Wielki (73/72–4 p.n.e) — namiestnik Galilei, Celesyrii i Samarii, odpowiedzialny za tzw. „rzeź niewińniętek” (wymordowanie w Betlejem chłopców poniżej drugiego roku życia). [przypis edytorski]

³³syfon — specjalne naczynie do napojów gazowanych. [przypis edytorski]

³⁴Madej — rozbójnik, bohater znanej baśni. [przypis edytorski]

³⁵poła — dolna część ubioru rozpinanego z przodu. [przypis edytorski]

³⁶pędrak — małe dziecko. [przypis edytorski]

³⁷Iwan Groźny a. Iwan IV Groźny (1530–1584) — car Rosji z dynastii Rurykowiczów, znany ze swego okrucieństwa. [przypis edytorski]

— Trzeba było tę operację zrobić znacznie wcześniej, bo teraz już za późno. Chińczycy są mądrym narodem, bo topią dziewczęta zaraz po urodzeniu. Szkoda, że szanowne panie nie urodziły się przypadkiem w Chinach...

— Gbur³⁸! — krzyknął kapelusz czerwony, który od nagłych wzruszeń wydawał się jeszcze czerwiejszy.

Kapelusz zielony nie rzekł ani słowa, lecz z lodowatą powagą, zacisnąwszy usta, chwycił Basię i posadził ją przy sobie. Basię bawiły serdecznie te niewinne przekomarzania się starych, więc uśmiechała się bez przerwy.

Ponury człowiek, uwolniony od wszelkich napaści, zgrzytnął raz jeszcze, ażeby mieć ostatnie słowo, i znowu wetknął nos w gazetę.

Ponieważ pociąg zatrzymał się na stacji i krzykliwe chłopaki, drąc się wniebogłose, oznajmiały całemu jadącemu światu, że mogą mu zaoferować mleko, herbatę, pomarańcze i lemoniadę, czerwony kapelusz orzekł, że trzeba dziewczynkę napoić ciepłym mlekiem.

— Pij prędko! — rzekła dama.

— Kiedy gorące — odpowiedziała Basia.

— Nie grymas! Prędko... Prędko!

Basia ujęła szklankę i chciała ją podnieść do ust. Wtedy stało się małe na pozór, lecz wielkie w rzeczywistości, nieszczęście: całą szklankę mleka wylała na kartkę zapisaną ołówkiem chemicznym³⁹. Szklanka upadła na podłogę wagonu, a Basia w nagłej rozpaczce, chcąc zetrzeć mleko z sukienki, przejechała ręką po kartce, ścierając i pracowicie rozmazując litery. W pierwszej chwili nikt tego nie zauważył, jegomość bowiem wpadł w zadumę jak w czarną smołę, oba zaś damskie kapelusze zajęte były biadaniem i trajkotaniem na temat niezgrabnego gapiostwa dziewczynki.

— Ach, ty niezdaro! — krzyknęła jedna dama.

Ponieważ Basia przerażona była i nieszczęsnym wypadkiem, i ostrym krzykiem, uczyniła w zamieszaniu rzecz najstraszliwszą: przelazszy szybko po ławce, przytuliła się nagłym ruchem do pożeracza dzieci, jak gdyby oddając się pod jego opiekę.

— Ma pani wdzięczność! — krzyknęła dama numer dwa.

Czarny jegomość — o dziwo! — wcale nie wybuchnął ani nie wyrzucił Basi przez otwarte okno, lecz zachichotał jak puszczek albo mizerny szatan.

— To całkiem roztropne dziecko — rzekł zjadliwie.

Damy spojrzwały ponuro, lecz zachowując rozprawę na najbliższą przyszłość, zajęły się terażniejszością.

— Odjeżdżamy! — ogłosiła dama zielona. — Niech pani zapłaci za mleko... No i za szklankę.

— Dlaczego ja?

— Dlatego, że to był pani pomysł. Ja nie dawałabym dziecku gorącego mleka. Licho wie, co to za mleko.

— Najpewniej kozie! — zauważył kąśliwie Herod.

— Mogę zapłacić za mleko — gniewnym głosem oznajmiła czerwona. — Owszem, bardzo proszę. Stać mnie jeszcze, aby nakarmić sierotę, ale za szklankę niech pani zapłaci.

Cudowna zapowiadała się awantura, bo dama, zielona na kapeluszu, stała się zielona i na obliczu, całą jednak zabawę popsuł jadowity jegomość, który najmniej spodziewanie wpadł w wisielczy humor⁴⁰ i zaczął się śmiać. Wprawdzie tych bulgotań, rżenia, pomruków i ryków w najniższej, jakiejś grobowej tonacji nie można było uważać za śmiech ludzki, obie damy, spostrzegłszy jednak, że impertynencki⁴¹ barbarzyńca czyni sobie z nich szatańskie igraszki, pogodziły się czym prędzej. Tak skłóceni Grecy zawierali przymierze, gdy nadciągali Persowie^{42,43}. Zapłaciły szybko po połowie i usiadły zdyszane.

— Wróć tutaj! — krzyknęła dama, która zapłaciła za mleko.

³⁸gbur — człowiek niegrzeczny, ordynarny. [przypis edytorski]

³⁹oówek chemiczny — specjalny rodzaj ołówka, zostawiający nieusuwalny ślad. [przypis edytorski]

⁴⁰wisielczy humor — bardzo zły humor; zdolność żartowania w dramatycznych sytuacjach. [przypis edytorski]

⁴¹impertynencki — zachowujący się w obraźliwy sposób. [przypis edytorski]

⁴²Persowie — starożytny lud zamieszkujący teren obecnego Iranu. [przypis edytorski]

⁴³Tak skłóceni Grecy zawierali przymierze, gdy nadciągali Persowie — wojny grecko-perskie toczone były w pierwszej połowie V wieku p.n.e., a w ich trakcie hellenickie miasta-państwa (*polis*) zawierały pomiędzy sobą rozmaite sojusze, w obrębie których często dochodziło do niezgody wśród Greków. [przypis edytorski]

— Po co? — rzekła ta, która zapłaciła za szklankę. — Niech tam siedzi... Swoją zawsze swego znajdzie...

Stropiona dotąd dziewczynka nagle zaśmiała się głośno, co obie panie przejęło zgrozą; żadna z nich nie dostrzegła, że człowiek-niedźwiedź trącił Basię nieznacznie łokciem w bok. Niewinne dziecko w błogiej nieświadomości zawarło pakt z czortem.

Był to czort przemyślny, którego złodziejskiemu spojrzeniu widocznie nic ujść nie mogło, nagle bowiem zaczął z wielkim zainteresowaniem przyglądać się tekturowej tabliczce, zawieszanej na piersiach dziewczynki. Tabliczka ta przedstawiała żalosny widok. Z wielu liter ocalały tylko niektóre, inne spłynęły we łzawych, czarnoniebieskich smugach. Aby odczytać treść tych słów, trzeba by być wielkim uczonym, który umie rozszyfrować egipskie hieroglify⁴⁴. Na tabliczce pozostały zniekształcone nonsensy, cały zaś tekst, jako rozmazana plama, mieścił się na rękawie dziewczynki.

— To bardzo zabawne! — mruknął czarny charakter.

Damy spojrzały na siebie, aby oznajmić bez słów, że do pomieszania zmysłów — jako bezpłatny, nadprogramowy dodatek — należy gadanie z samym sobą.

— Co zabawne? Powiedz! — pisnęła Basia.

Upiór z pociągu nie zaszczycił jej jednak odpowiedzią, lecz zmrzywszy oczy, patrzył na obie damy. Przez dłuższy czas mieszał arsenik⁴⁵ z żółcią, sokiem z cebuli i wieloma innymi żrącymi płynami. Uznawszy wreszcie, że trucizna gotowa, nalał ją w każde wymówione słowo.

— Szanowne panie — rzekł głucho, jakby mówił z trumny — obiecały zająć się tą pannicą?

Damy usiłowały nie odpowiadać, jednak wymowna⁴⁶ natura nie mogła tego zdzierzyć.

— I cóż z tego? — zapytał kapelusz czerwony, wyraźnie lekceważąc gadającego diabła.

— Do Warszawy niedaleko — mruczał wilkołak. — Któż się nią zajmie na dworcu?

— A cóż to pana obchodzi? Skąd się pan zrobił nagle taki troskliwy?

— Przyjdą po nią! — powiedziała twardo dama zielona.

— Aha! Przyjdą... A jeżeli nie przyjdą?

— Ha, ha! — zawył nagle. — Ładny bal!

Przechodzący urzędnik kolejowy spojrział na niego z wesołym zaciekawieniem.

— Kto miał tutaj czekać na ciebie? — zapytał człowiek-straszydło.

— Nie wiem, kto miał czekać...

— Pan czy pani? Odpowiadaj!

Basia zrobiła obrażoną minę, uważając to niemądre pytanie za napaść na prostej drodze.

— Nie odpowiadasz? Oczywiście... To najwygodniej! Udaje dziecko, a sprytna jak stara baba. Zostańże tutaj sobie i czekaj. Za stary jestem na niańkę.

Wyrwał rękę z jej rączki i uczynił dwa kroki. Basia pobiegła za nim i chwyciła go obiema dłońmi za poły płaszcz.

Pasją, ta, którą nauka przypisuje nie wiadomo czemu szewcom, nazywając ją „szewską pasją”, usiłowała zatrząść nim gwałtownie. Obejrzał się i ujrzał niebieskie oczęta, pełne ogromnego zdumienia i żalosego wyrzutu. Ach, cóż za przewrotna istota, jakie chytre dziewczynisko! Przytuliła twarzyczkę do jego szorstkiej ręki, a on nie znosi żadnych tkliwości i głupich przymilań. Jest zły, wściekły, rozżarty⁴⁷ i, gdyby nie było na świecie piwa, piłby ludzką krew. Dlatego krzyknął groźnie:

— Jeśli się rozplączesz, to cię zmiażdżę!

Potem, zgrzytnąwszy zębami, objął ją ramieniem i niósł, bo do wyjścia było daleko. Lewą ręką dźwigał walizkę. Tak okropnie był rozgniewany, że nawet nie zauważył, jak przytulił swoją krokodylą głębę do jej zziębniętej twarzyczki.

— Drapiesz! — rzekła Basia.

— W twojej intencji⁴⁸ nie będę się przecież golił, ty... Ty... Jak ci na imię?

— Basia.

⁴⁴hieroglify — znak pisma obrazkowego. [przypis edytorski]

⁴⁵arszenik — bezzapachowy biały proszek, bardzo silnie trujący. [przypis edytorski]

⁴⁶wymowny — tu: gadatliwy, lubiący dużo mówić. [przypis edytorski]

⁴⁷rozżarty (daw.) — zły, rozjuszony, wściekły. [przypis edytorski]

⁴⁸w twojej intencji — tu: z myślą o tobie. [przypis edytorski]

— Ty... Ty... Basiu!

3. POLOWANIE NA PANA Z ULICY CHMIELNEJ⁴⁹

Człowiek-upiór był zasadniczo człowiekiem nieszczęśliwym, a na dodatek aktorem w teatrze. Nic mu się w życiu nie udawało, co go nastroiło wojowniczo wobec całego świata, jak gdyby cały świat był temu winien. Dlatego stroił takie okropne miny — aby przerazić Europę i Amerykę. Całe szczęście, że ani Europa, ani Ameryka nie wiedziały o tym, że ściągnęły na siebie niechęć owego męża⁵⁰. W teatrze też mu się nie wiodło; jego nieforemna postać nie nadawała się do ról znakomych bohaterów, odznaczających się zawsze na scenie wspaniałością gestu i pięknem oblicza. Jedyne król Ryszard III⁵¹ w tragedii Shakespeare'a⁵² ma prawo nosić garb i chromać⁵³ na jedną nogę — i w tej roli pan Walicki, gdyż tak brzmiało jego nazwisko, mógłby odnieść zwycięstwo, odmieniwszy cokolwiek swoją postać. Nigdy jednak nie dano mu jej odegrać. Powierzano mu role małe, ale należycie krwawe. Ponieważ miał w spojrzeniu śmierć, a głos wychodził z niego jak z grobu, grywał wszystkich opryszków⁵⁴, zbójców, morderców i innych przeraźliwów. Wiadomo było powszechnie, że skoro Walicki ukaże się na scenie, musi się w sztuce zdarzyć nieszczęście i że będzie miał na koncie dwa lub trzy trupy. Jego słodkim i tajemnym marzeniem było odegranie postaci szlachetnej, nadobnie⁵⁵ mówiącej wierszem, ale nie dożył tego. „Czyż pan zmysły postradał? — mówiono mu. — Z tą diabelską gębą chce pan grać anioła?”. Pan Walicki jęczał głucho i wychodził na scenę ze sztyletem lub trucizną, którą komuś wysypywał do napoju. Grywał w drugorzędnych teatrach, w srogich i krwią ociekających sztuczidłach⁵⁶, lub wałęsał się po dalekiej prowincji. Historia teatru zanotuje jednakże jedną rolę, w której nikt go nie zdołał przewyższyć. Do tej roli pożyczano Walickiego do największych nawet teatrów, gdy grano wspaniałą i nieśmiertelną tragedię Shakespeare'a pod tytułem *Hamlet*⁵⁷. Hamletowi w tym utworze ukazuje się duch jego zamordowanego ojca i przemawia do niego. Tego ducha odgrywał Walicki nieporównanie: wydawał z siebie głos tak ponury, tak czarny, tak grobem pachnący, tak przejmujący, że trwożny dreszcz przebiegał po słuchaczach. Zdarzyło się jednego razu, że stojący za kulisami⁵⁸ strażak, usłyszawszy nagle obok siebie ten głos, zemdlął z przerażenia. Był to największy triumf w życiu Walickiego. Z lubością⁵⁹ zatem używał tego śmiertelnego głosu i na codzienny użytek, co było z jego strony lekkomyślnością, gdyż trwożliwą kobietę lub dziecko mógł doprowadzić do konwulsji.

Powracał on właśnie z kilkudniowej wycieczki teatralnej, pozostawiwszy w małych miasteczkach po dwa, a w większych po trzy trupy, ale wielki sobie zyskał rozgłos, chociaż teatr zbankrutował. Walicki miał małe mieszkanie w Warszawie, zajmowane do spółki z młodym aktorem Szotem; był to aktor początkujący i grywał role niewymagające zbytniego wysiłku. Wchodził na scenę i mówił uroczyście: „Jaśnie panie, powóz zajechał!”. I to było zazwyczaj wszystko. Z wdziękiem też wnosił tacę z kieliszkami lub listem. Mówiono o nim, że nigdy nie wchodzi na scenę z próżnymi rękami. Walicki nigdy nie zgrzytał na niego zębami ani nie mordował go spojrzeniem. Szot bowiem był serdecznym, wesołym chłopcem, zawsze uśmiechniętym i zadowolonym z życia. Wierzył w swoją przyszłość i śmiał się, chociaż często był głodny.

Właśnie przyszywał sobie guzik do kamizelki, gdy usłyszał gwałtowne kopnięcie nogą w drzwi i rozpaczą wydęty głos Walickiego:

— Otwieraj!

Teatr, Pozycja społeczna,
Bieda

⁴⁹ *Chmielna* — ulica w dzielnicach Śródmieście i Wola w Warszawie. [przypis edytorski]

⁵⁰ *mąż* — tu: męczyzna godny szacunku. [przypis edytorski]

⁵¹ *Ryszard III* (1452–1485) — król Anglii od 1483; tytułowy bohater tragedii autorstwa Williama Shakespeare'a (1564–1616), napisanej około 1592 r. [przypis edytorski]

⁵² *Shakespeare, William* (1564–1616) — angielski poeta, dramaturg i aktor. [przypis edytorski]

⁵³ *chromać* (daw.) — kuleć. [przypis edytorski]

⁵⁴ *opryszek* — chuligan, drobny przestępca. [przypis edytorski]

⁵⁵ *nadobny* (daw.) — pełen wdzięku, uroczy. [przypis edytorski]

⁵⁶ *sztuczydło* — marny utwór dramatyczny. [przypis edytorski]

⁵⁷ *Hamlet* — jeden z najszlachetniejszych dramatów Williama Shakespeare'a (1564–1616), napisany na przełomie XVI i XVII wieku; jego tytułowym bohaterem jest duński książę Hamlet. [przypis edytorski]

⁵⁸ *kulisa* — dekoracja teatralna w formie kotary lub ścianki. [przypis edytorski]

⁵⁹ *lubość* (daw.) — upodobanie, zadowolenie. [przypis edytorski]

— Otwórz sam! — odrzyknął. — Drzwi nie są zamknięte!

Przyjaciół wrzasnął raz jeszcze okropnym basem⁶⁰:

— Otwieraj, łotrze!

Szot mało sobie robił ze zbójceckich okrzyków, na moment jednak przestał szyc, bo inny głosik, cienki jak jedwabna nitka, powtórzył z piskiem:

— Otwieraj, łotrze!

Wiedział o tym, że Walicki potrafi swój głos, gruby jak lina okrętowa, zmienić w cienki sznurek, ale żeby aż do tego stopnia... Zaciekawiony otworzył drzwi i cofnął się o dwa kroki. Walicki patrzył na niego ponuro, a dziewczynka na jego rękę, we wszystkim go naśladująca, usiłowała też okrutną miną dać wyraz swojemu niezadowoleniu.

— Antos! — krzyknął Szot. — Żeby tak zdrów był... Gdzieś to znalazł?

— W pociągu — odrzekł Walicki okopconym głosem. — Bierz ją!

Basia, ujrawszy wyciągnięte po siebie ręce, otoczyła ramieniem szyję Walickiego, jako swego zaufanego opiekuna, zobowiązanego do obrony.

— Nie bój się — mówił aktor jako tako ludzkim głosem. — To dobry wujaszek.

— Dobry... — przyznała Basia i po krótkim wahaniu została przejęta przez Szota i postawiona ostrożnie na ziemi.

— Zmachalem się... — grzmiał Walicki. — Pędrak jest ciężki.

— Kto pędrak? — zapytała Basia.

— Kobieto, przestań i daj mi odpocząć! Zajmij się nią... Zaraz ci wszystko opowiem.

Wesoły Szot zdjął z Basi płaszczyk i posadził ją na krześle. Ujrawszy zamazaną kartkę, roześmiał się głośno. Dziewczynki nie trzeba było namawiać dwa razy do śmiechu, więc w smętnym pokoju na trzecim piętrze zrobiło się dość wesoło.

Walicki opowiedział towarzyszkowi o całej awanturze, rozdzielając zdania sapaniem, pomrukami, okrzykami i zgrzytaniem. Basia zaś pomagała z całej duszy.

— To strasznie wesoły berbec! — rzekł Szot z serdecznym uznaniem, patrząc na pucołowatą, zarumienioną twarzyczkę. — A może głodna? Mam śledzie i odrobinę wódki. Nie rób takich min, bo przestraszysz dziecko!

— Ja? Przestraszyć? Zaraz ci pokażę.

Wybrał ze swego repertuaru⁶¹ taką minę, która pocziwemu człowiekowi mogła podnieść wszystkie włosy na głowie; wyszczerzył zęby, oczy skrzywił zezem i wydał z siebie pomruk rozszalonego niedźwiedzia. Basia pisnęła z zachwyty i podskoczywszy, zbliżyła twarz do jego poczwarnego⁶² oblicza, udając, że go straszy.

— Widziałeś? Wcale się mnie nie boi — rzekł Walicki z żalem w głosie.

— Wcale się nie boję! — potwierdziła Basia.

— A kochasz tego pana? — zapytał Szot.

— Bardzo Kocham! — ogłosiła z entuzjazmem.

Stary aktor usiłował spojrzeć na nią czule, ale nadaremnie czynił z gębą rozmaite sztuki. Zdawało się, że się zawstydzil.

— Dziecko musi być zmęczone, niech się prześpi, a my pogadamy — powiedział cicho.

Zdjął nieszczęsną kartkę z jej szyi i razem z przyjacielem rozpoczął usilne namowy, aby wytłumaczyć dziewczynce, że przyzwoite, rozsądne osobistości w jej wieku powinny pokrzepić snem nadwątlone w podróży siły. Basia jednak starała się wytłumaczyć im na swój sposób, że poznawszy tak miłego młodzieńca, jakim jest pan Szot, nie myśli marnować czasu na sen. Ma być wielka, roześmiana zabawa i jakaś huczna awantura⁶³, połączona ze skakaniem przez krzesła i łapaniem za nogę. Pan Szot, młodzieniec roześmiany i pełen ochoty do życia, wybornie się do tego nadaje.

— Widziałeś coś podobnego?! — krzyknął Walicki.

— Sam byłem taki! — zawołał Szot radośnie.

— Jaki byłeś? — zainteresowała się ciekawa dziewczynka.

— Basiu — rzekł Walicki, usiłując uczynić głos wielce przymilnym. — Czy pójdziesz spać, jeśli ci opowiem bajkę?

⁶⁰bas — najniższy głos męski. [przypis edytorski]

⁶¹repertuar — zbiór utworów granych w teatrze lub kinie. [przypis edytorski]

⁶²poczwarzny — odrażający. [przypis edytorski]

⁶³awantura — tu: (daw.) przygoda. [przypis edytorski]

— Pójdę!

— No, to jazda!

— Miarkuj się — zaśmiał się Szot. — Przemawiasz do kobiety!

Walicki zabił go na krótki czas morderczym spojrzeniem i czym prędzej przygotował posłanie na ceratowej kanapie. Ułożył na niej dziewczynkę i rzekł:

— Śpij teraz spokojnie!

— A gdzie bajka? — zawołała Basia z rozżaleniem.

— Natychmiast opowiedz bajkę! — krzyknął Szot. — Nie wolno cyganić⁶⁴!

— Dam ja ci bajkę, ty koniu! — zamruczał aktor. — Jaką chcesz bajkę, Basiu, wesołą czy smutną?

— I wesołą, i smutną!

Walicki zerkając w stronę przyjaciela, czy się z niego nie naigrawa⁶⁵, zaczął opowiadać ni w pięć, ni w dziewięć. Przypomniawszy sobie co prędzej kilka bajek, pomieszał je jak groch z kapustą, pozszywał je niezręcznie i stworzył jakiś piekielny utwór, nadziany diabłami i gadającymi zwierzętami. Dziewczynka słuchała uważnie, wkrótce jednak jej wybitny umysł zrozumiał, że miły wujaszek szachruje⁶⁶, a jej dobry smak okazał wyraźne zniechęcenie.

— E! Taka bajka... — powiedziała sennie.

— Śpi! — szepnął Szot. — Uważaj teraz, abyś nagle nie zazgrzytał.

— Powiniennem ci kark skrócić — mówił Walicki, jak tylko umiał najciszej — bo mnie kompromitujesz przed dzieckiem, ale to sobie odłożę na później. Dawaj tę kartkę!

Basia spała, zarumieniona, z rozchylonymi ustami; krótkie jasne włosy były w straszliwym nieładzie.

„Boże, jakie to śliczne!” — pomyślał stary aktor z rozrzewnieniem, patrząc na nią równocześnie zbójckim wzrokiem. Myśli pana Walickiego były zupełnie inne niż jego okrutne spojrzenie.

— Nic z tego nie można odczytać — mówił cicho Szot. — Przynajmniej bardzo mało.

Pochylił się nad kartką pani doktorowej jak przyrodnicy nad mikroskopem.

— Same lzy! — mruknął aktor. — Ty masz lepsze oczy... Jaka to może być litera?

— W każdym razie wielka litera, bo i plama większa. Może to być „T”, może być „P”. Czekaj! To jest z całą pewnością „t”, małe „t”... Druga litera z rzędu. Przypuściwszy, że jest to imię tajemniczej osoby, należy pomyśleć, jakie imiona mają literę „t” — drugą z kolei.

— Wiem! — oznajmił Walicki zduszonym głosem. — „Ptolomeusz”⁶⁷! To musi być chyba „Ptolomeusz”.

— Drugą literą w słowie „kretyn” jest „r”. Zapamiętaj to sobie, bo ci się to przyda do prywatnego użytku. Czy ty upadł w młodości ze schodów na głowę? Skąd „Ptolomeusz”? Jaki „Ptolomeusz”?

— Słyszałem kiedyś o takim imieniu.

— Słyszałeś, kreaturo⁶⁸, w teatrze o królewskiej dynastii egipskiej Ptolomeuszów.

— Być może... W każdym razie słyszałem. Bądź mądrzejszy!

— Będę mądrzejszy. To może być „Stefan”.

— O! To bardzo pomysłowe, przyznaję.

— Ale to nie jest „Stefan”...

— Czemu uciekasz z dobrego śladu?

— Prosta rzecz! Rozmazany „Stefan” utworzyłby plamę z sześciu liter, byłby krótki, a długonoga litera „f” spłynęłaby bardzo w dół. „Stefan” mi nie odpowiada, ze „Stefana” nie jestem zadowolony. O osły dardanełskie⁶⁹! Przecież to jest „Stanisław”.

— Dlaczego „Stanisław” jest lepszy?

⁶⁴cyganić (pot.) — oszukiwać. [przypis edytorski]

⁶⁵naigrawać się — żartować z kogoś złośliwie, dokuczać. [przypis edytorski]

⁶⁶szachrować (pot.) — oszukiwać. [przypis edytorski]

⁶⁷Ptolomeusz — przedstawiciel dynastii pochodzenia macedońskiego, panującej w starożytnym Egipcie w latach 304–30 p.n.e. [przypis edytorski]

⁶⁸kreatura — tu: osoba budząca wstręt i obrzydzenie. [przypis edytorski]

⁶⁹osioł dardanełski (pot.) — tępak, dureń. [przypis edytorski]

— Bo plama rozciąga się wzdłuż, jest potężna i może pokryć dziewięć liter.
 — Nie mam nic przeciwko „Stanisławowi”, tym bardziej że jedna litera jest wysoka. To „l”!

— Tak. Widać dość wyraźnie „l”, a nad jedną literą, prawie w środku, ocalała kropka. Rozsądni ludzie, biegli w ortografii, stawiają kropki nad chudą literą „i”. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w tym atramentowym sosie utonął jakiś „Stanisław”. Teraz to nawet wyraźnie widać! Bądź pozdrowiony, „Stanisławie”...

— A dlaczego ten „Stanisław” wygląda jakoś dłużej, jakby się rozpędził? Coś tu musiało być poza ostatnią literą!

Badali obaj bardzo długo wątpliwe miejsce, kręcąc głowami, co bardzo pomaga przy myśleniu, bo porusza mózg.

— Nic nie widać — rzekł Szot. — Basia musiała rozmazać „Stanisława” rękawem. Więc „Stanisław”?

— Zrobione! Nie może być inaczej. To doskonała zabawa takie odgadywanie. Przyznam się, że się po tobie nie spodziewałem takiej bystrości. Na oko blondyn-idiota, a jednak... Spokojnie! Dziecko śpi... Szukaj dalej.

— Dalej jest łatwo. W tym miejscu ocalały całkowicie cztery litery, widzisz? „Olsz”...

— To głowa nazwiska, do nóg niedaleko.

— I nogi też widać: „ski”.

— Cała trudność, aby ujrzeć brzuch tej szlachetnej osoby. Ilu liter brak w środku?

— Chyba dwóch, na więcej nie ma miejsca. Zresztą po co długo myśleć! To jest „Olszewski”.

— Bardzo do niego podobny... Więc razem byłoby: „Stanisław Olszewski”. Mamy go!

— Jeszcze go nie mamy. Przyznaję, że „Olszewski” sam się naprasza, aby go wciągnąć do tej awantury, jednakże równie dobre do tego prawa może mieć jakiś pan „Olszowski”. Olszowskich może być w stolicy tyle samo, co Olszewskich, a Olszewskich prawie tyle, co olch na naszej rodzonej ziemi.

— Zabijeś mi olchowego klina w głowę.

— Jest nadzieja, że klin puści pędy, bo olchy lubią wodnisty grunt. Nie dotykaj tego ciężkiego przedmiotu, bo ja rzucę w ciebie butem. I nie przerywaj mego wspaniałego rozumowania. Musimy się zastanowić, czy w brzuchu tego męża tkwi „e” czy „o”.

— Zastanówmy się! Jak ty myślisz?

— Ja myślę, że rozmazane „e” byłoby chude, rozmazane „o” musi zostawić plamę okrągłą, wcale kształtną, taką właśnie jak ta. Dziewięć przeciwko jednemu, że to jest „o”. Ten tajemniczy pan ma brzuch zaokrąglony. Zgódźmy się, że „Olszowski”, ale to jeszcze nie wszystko. Skąd my możemy wiedzieć, czy to przypadkiem nie jest pani „Olszowska”?

— Jak to skąd? Przecież wyraźnie widać „ski”.

Szot pokręcił głowę, niezadowolony.

— Przyznaję, ale po ostatniej literze jeszcze coś pływa w atramencie. Co to może być?

— Czy ja wiem? Pewnie zakrętas.

— Ktoś zakręca cudze nazwisko w kozi ogon? Przyznaję, że mnie to cokolwiek niepokoi, ale zbadamy jeszcze tę sprawę; najpierw musimy odczytać adres, a ten jest bardzo zapłakany.

— „Warszawę” widzę wyraźnie: „...szawa”.

— Może być także „Nieszawa”⁷⁰.

— Nie może być, bo ta trajkocząca dama, która wsadziła Basię do pociągu, ogłosiła, że ją wysłała do Warszawy. Trudno było nie słyszeć, bo słyhać było w całym pociągu. „Warszawa” nie ulega żadnej wątpliwości. Szukaj ulicy. Długa czy krótka?

— Raczej krótka. Gdyby to była „Aleja Jerozolimska”⁷¹, trzeba by na jej zamazanie dwóch litrów mleka, a dziewczynka wylała jedynie szklankę. Poczekaj no! Coś tu świta na tej ulicy. Początku nie widać, bo błoto, ale u wylotu jest nieco czystiej. Mam, jak Pana Boga kocham, mam! Widzisz?

⁷⁰Nieszawa — polskie miasto, położone w województwie kujawsko-pomorskim. [przypis edytorski]

⁷¹Aleje Jerozolimskie — ulica w warszawskich dzielnicach Śródmieście, Ochota, Włochy i Ursus. [przypis edytorski]

— Mało widzę, ale będę usiłował ci uwierzyć. Czy to długie i chude nie jest przy-
padkiem literą „l”?

Szot otarł pot z wysiłonego czoła, bowiem jego bystry rozum dawał mu znać w ten sposób, że jest u kresu wysiłku. Wpatrzył się drapieżnym wzrokiem w niebieską plamę, w której jak rybki w mętym jezioru pływały litery. Oczyścił tekturę pazurkiem i szukał w odmęcie.

— Widzę! — szeptał gorączkowo. — Widzę zarysy kilku liter. I kropkę nad jedną z nich!

— To „i”!

— Genialnie to pomyślałeś, pało zakuta! Nie przeszkadzaj. Jest!

— Co jest? — spytał głucho Walicki.

— Jest: „...ielna”?

— Co znaczy „ielna”?

— Cóż może oznaczać innego niż „Chmielna”?

— Mógłbyś być detektywem — mruknął przyjaciel z głębokim uznaniem. — Ha! Pan Stanisław Olszowski mieszka przy ulicy Chmielnej. Patrz! Jak ona rozkosznie śpi i nie wie, że odszukaliśmy jej opiekuna, może wuja, może stryja? Jak jednak znaleźć tego ananasa⁷² przy ulicy Chmielnej? Numeru nie widać?

— Nie widać. Coś takiego połamanego tkwi tutaj, co przypomina „7”, ale to nie-
pewne.

— Jedna cyfra?

— Musiały być ze dwie, ale połączyły się w jedną plamę. Cyfry są symbolem oszczęd-
ności...

— Więc jakże znajdziemy tego pana? Trzeba będzie wzdłuż całej ulicy Chmielnej
chodzić od domu do domu. Ładna robota mnie czeka...

— Nie rób tego, bo gdy cię zobaczą z taką gębą, włóczącego się od domu do domu,
zaaresztują cię. Szukajmy inaczej. Zbiegnij, bracie, na dół do sklepiku i pożycz książkę
telefoniczną.

Aktor stropił się.

— Do sklepiku nie pójde! — oświadczył ponuro. — Mam tam zamazaną hipotekę⁷³,
za masło i herbatę.

— Słusznie. Ja też tam nie pójde z tych samych powodów, ale na pierwszym piętrze
mieszka dentysta.

— A czy to bezpiecznie pójść do dentysty? Ha! Czego człowiek nie zrobi dla dziecka...

Po chwili przyniósł opasłą księgę, którą zaczęli przeglądać z gorączkowym pośpie-
chem.

— Olszewskich jest około pięćdziesięciu płci obojga, ale żaden się nie nadaje. Jest
nawet i Stanisław, ale nie mieszka przy Chmielnej. Całe jego szczęście... Policzymy Ol-
szewskich. Anteczku, mam, mam!

— Trzymaj go! No i jakże?

Szot czytał: „Olszowski Stanisław, literat, ul. Chmielna 15”.

— Literat? — zdumiał się Walicki. — Ależ ja go znam! To znakomity pisarz, grałem
w jego sztuce.

— To ten? Patrzcie, patrzcie! Taki głośny, taki sławny, a tak długo trzeba było go
szukać. Rozumiem nawet i tę siódmkę; ta żyrafa nie jest wcale siódmką, lecz jedyką.
Wszystko się doskonale zgadza, pierwszorzędnie się zgadza.

Walicki zazgrzytał zębami z wielkiej radości.

— Kamień spadł mi z serca — mówił, patrząc na śpiące dziecko.

— Gdybyśmy byli nie odnaleźli tego pana, trzeba by było odwieźć małą do miasta,
w którym wsadzono ją do pociągu, albo prosić o pomoc policję. A wiesz, co uczyniłbym
najchętniej?

— Jako człowiek o wybitnej inteligencji nie odgadnę nigdy, o czym może myśleć
istota na niższym stopniu rozwoju.

⁷²ananas — tu: (pot.) łobuziak. [przypis edytorski]

⁷³hipoteka — zabezpieczenie roszczeń finansowych. [przypis edytorski]

Stary aktor z ponurą twarzą puścił mimo uszu wesołą uwagę przyjaciela. Mówił w zamysleniu, patrząc w okno:

— Najchętniej porwałbym tę dziewczynkę... Sam jestem na tym bożym świecie... Nigdy mi się nie wiodło... Nędzarz, łapserdak⁷⁴, Łazarz⁷⁵ i Hiob⁷⁶ w jednej osobie... Zawsze w jakiejś ciemnej norze, zgryziony⁷⁷, skwaśniały i zły... Ja już samą gębą straszę ludzi. To nie twarz, to gniew żywiołów... Czy uśmiechnął się ktoś kiedyś do mnie? Nie pamiętam. Może to dziecko, może ta dziewczynka uśmiechnęły się... O, gdybym był bogaty, gdybym mógł ją odziać i nakarmić... Basia... Basia... ma na imię Basia. Czy ty wiesz, że to niewinne stworzenie, to jedyne dziecko tuliło się do mnie? A ja odwracałem twarz, żeby jej nie przerazić... Biedactwo drogie! Promyczek, złoty promyczek... O, gdybym ją mógł zatrzymać! Kamienie tłukłbym na drodze, pracowałbym jak czarny wół... Gdyby... Ale nie ma o czym mówić. Nie śmieję się ze mnie, chociaż to wszystko razem jest bardzo śmieszne...

— Ja wcale się nie śmieję! — szepnął młody aktor, patrząc na nieoczekiwane wzruszenie dobrego człowieka, który udawał krokodyla. — Ja się nie śmieję... To naprawdę rozkoszne dziecko i niech je Bóg zachowa.

Milczeli przez długą chwilę, potem stary aktor, ciężko westchnąwszy, rzekł:

— Trzeba ją będzie zaprowadzić do pana Olszowskiego...

— Jeszcze dzisiaj?

— Tak, dzisiaj. Nie ma jeszcze ósmej. Trzeba koniecznie, bo gdzie ją przytulimy?...

Na tym barłogu⁷⁸? Czym ją nakarmimy? Śledziem?

— O, zbudziła się! — zawołał Szot.

Basia przetarła ręką oczki i rozejrzała się, jakby pragnąc sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Ujrzawszy ponurą i straszliwie wykrzywioną gębę swego starego przyjaciela, uśmiechnęła się do niego rozkosznie i wyciągnęła ku niemu ręce, wołając:

— Chodź, chodź tutaj!

Stary niedźwiedź zarumienił się jak panna z wielkiego szczęścia i tak zgrzytnął z radości zębami, że aż dziw, iż nie posypały się iskry.

4. WIELKI PISARZ I MAŁA DZIEWCZYNIKA

Znakomity pisarz, autor dramatu *Dzbanek bez ucha* i wielu powieści, wśród których najgłośniejszą była *Srebrna topola*, wrócił do domu po północy. Był w kiepskim humorze, gdyż nudził się rozpaczliwie na premierze dramatu, w którym dziadek zamordował wnuczkę, a to drobne rodzinne nieporozumienie spowodowało samobójstwo dwóch osób, a jedną doprowadziło do pomieszczenia zmysłów. „Tylko sufler⁷⁹ uszedł z życiem”. Poza tym padał deszcz, a dozorca długo nie otwierał bramy.

Pan Olszowski wszedł cicho do mieszkania, aby nie zbudzić swojego służącego, młodego chłopaka — niezmiernie sympatyczną, wesołą kreaturę — który zwał się Michaś. O nazwisku nie wspominamy, gdyż nie zaważyło ono na historii świata. Delikatność jego pana, stąpającego na palcach, by nie zmącić spoczynku przyjemnego urwipolcia⁸⁰, była cokolwiek zbędna. Michaś spał tak mocno, że mógłby zrobić karierę jako ósmy brat śpiący⁸¹. Gdyby nagle zaczęto wzywać ludzkość na Sąd Ostateczny, wszyscy zerwaliby się na równe nogi, na Michasia jednak musiałyby Archaniół⁸² trąbić kilka razy i to bardzo potężnie. Pan Olszowski mógł śmiało wejść z wielkim hałasem.

Sławny autor wszedł do sypialni, zapalił lampę i ziewnąwszy rozdzierająco, począł leniwym ruchem zdejmować odzienie. W tej chwili zwrócił przypadkiem spojrzenie na łóżko,

Kondycja ludzka

Literat, Teatr

Sen, Sługa

⁷⁴łapserdak (pot.) — nędzarz; nicpoń, łobuz. [przypis edytorski]

⁷⁵Łazarz — postać biblijna, święty Kościoła katolickiego oraz Kościoła prawosławnego. [przypis edytorski]

⁷⁶Hiob — postać biblijna, bohater starotestamentowej Księgi Hioba powstałej ok. V wieku p.n.e. [przypis edytorski]

⁷⁷zgryziony — tu: markotny, ponury. [przypis edytorski]

⁷⁸barłóg — tu: (pot.) nieporządne posłanie. [przypis edytorski]

⁷⁹sufler — osoba podpowiadająca aktorom tekst w trakcie spektaklu. [przypis edytorski]

⁸⁰urwipoleć (pot.) — urwis, psotnik. [przypis edytorski]

⁸¹ósmy brat śpiący — odniesienie do ludowej legendy o Siedmiu Braciach Śpiących, nawiązującej do przepowiedzenia pogody. [przypis edytorski]

⁸²Archaniół — chodzi o Archaniola Gabriela, anioła zwiastowania, zmartwychwstania, miłosierdzia, kary, śmierci i objawienia, którego jednym z atrybutów jest trąbka. [przypis edytorski]

swoje rodzone łóżko, i krzyknął. Jak gdyby nie dowierając własnym oczom, przetarł je i spojrzal raz jeszcze — w jego łóżku, szeroko rozrzucając rączki, spała najróżowszym ze snów mała, śliczna dziewczynka.

— Muszę mieć halucynacje⁸³! — rzekł zdumiony pan Olszowski do jeszcze bardziej zdumionego pana Olszowskiego.

Obaj ci zdumieni panowie w jednej osobie stanęli bezradni nad przedziwnym widowiskiem. O halucynacji nie mogło być mowy, bo jeśli nawet śpiąca dziewczynka była złudzeniem wzrokowym, najoczywistszą oczywistością były sukienka, płaszczyk, torebka i inne fatalaszki⁸⁴ damskiego rodzaju, porządnie ułożone na fotelu. Proste rozumowanie nasuwało przerażający wniosek, że i dziewczynka jest prawdziwa.

„Może ja wszedłem do cudzego mieszkania?” — pomyślał pan Olszowski, ratując tym nieprawdopodobnym przypuszczeniem swój zdrowy rozum od nagłej zagłady.

Rozejrzał się i pojął wyraźnie, że znajduje się we własnym domu. W strasliwym poruszeniu wszystkich władz umysłowych zaczął sobie przypominać gwałtownie, czy wśród dalszej i bliższej rodziny nie ma przypadkiem takiej dziewczynki, którą ktoś bez uprzedzenia przysłał do niego z niepotrzebną wizytą. Policzył szybko wszystkie figury w galerii krewnych i nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek słyszał o tej istocie. Z bliższej rodziny posiada jedynie ciotkę. Wszystko przemawia przeciwko temu, aby ta różowa drobina była jego ciotką. Ciotka ma metr osiemdziesiąt siedem wzrostu i malutkie wąsiki, tak że przy nieznacznej zmianie charakterystyki mogłaby być napoleońskim grenadierem. Kimże zatem, do stu tysięcy książek, jest ta bezczelna dama, zajmująca jego łóżko?

Ogarnęła go taka piekielna furia⁸⁵, że chciał potrząsnąć śpiącym maleństwem i krzyknąć:

— Proszę natychmiast opuścić moje mieszkanie!

Ostatek wzburzonego rozsądku powstrzymywał go jednakże przed tym gwałtownym czynem. Rozum wytłumaczył mu szybko i dobitnie, że — jak to stwierdzają najwięksi uczeni — młode osoby, szczególnie zaś płci żeńskiej, nagle zbudzone, podnoszą niezrozumiałe wrzaski i czynią okropny harmider⁸⁶, najczęściej oblanymi łzami. Mała dziewczynka, jeśli jest odpowiednio uzdolniona w tej mierze, potrafi narobić takiego krzyku, że cały dom stanie na nogi. Wobec tego pan Olszowski myślał, że sam rozplacze się z rozpacz.

„To ten opryszek Michaś winien jest wszystkiemu!” — pomyślał gwałtownie i pobiegł budzić chłopaka.

Ponieważ żadne słodkie namowy, żadne rozsądne perswazje⁸⁷, żadne zaklęcia i groźby nie zdołały zdrowo śpiącego Michasia doprowadzić do przytomności, zirytowany pan Olszowski chwycił dzbanek z wodą i obfitą strugą skropił niewinną głowę młodziana. Chłopakowi musiał przyśnić się potop, bo krzyknął potężnym głosem i chcąc ująć mokrej zagładzie, zerwał się z posłania. Rozespana dusza nie chciała jednak w żaden sposób wejść z powrotem w jego ciało, chociaż było którędy, bowiem rozwarte usta serdecznie rozziewanego Michasia tworzyły szerokie wrota. Pan Olszowski stracił wiele czasu, zanim ospałego ducha wegnał w ślaniające się ciało, które, otarłszy oczy, objawiło przeraźliwe zdumienie.

— Czy się pali? — krzyknął obudzony chłopak.

— Chodź ze mną — mówił gorączkowym szeptem pan Olszowski, idąc do sypialni.

Tragicznym ruchem wyciągnął rękę w stronę swego łóżka i spytał groźnie:

— Kto to jest?

— Basia — odpowiedział chłopak. — A bo co?

— Basia? Jaka Basia? Odpowiadaj, trutniu⁸⁸, bo będzie nieszczęście. Kto ją tu położył do mego łóżka?

— Ja! A bo co?

— Ty położyłeś?... Dobrze, dobrze, coraz lepiej! Skąd ją wziąłeś? Słuchaj, chłopcze, mów prawdę, bo ci wydrę serce.

⁸³halucynacja — przywidzenie. [przypis edytorski]

⁸⁴fatalaszek — strój kobiecy, ciuszek. [przypis edytorski]

⁸⁵furja — napad strasznego gniewu, wściekłość. [przypis edytorski]

⁸⁶harmider — hałas, zgielk. [przypis edytorski]

⁸⁷perswazja — namawianie lub odradzanie poparte argumentacją. [przypis edytorski]

⁸⁸trutień — tu: leń żyjący na cudzy koszt. [przypis edytorski]

Groźba była tak okropna, że Michaś, który właśnie ziewał, z wielkim stukiem kłapnął zębami.

— Za co, proszę pana? Przecież dziecko chciało spać. Tak była śpiąca, że leciała przez ręce. Co miałem robić?

— Ale skąd ją wziąłeś?

— Znikąd jej nie brałem. Przyszło wieczorem dwóch panów z teatru...

— Jakich panów, z jakiego teatru?

— Jeden młody, z przedziałkiem, a drugi starszy i strasznie zły. Tego starszego to ja znam, bo grał wtedy, kiedy wystawiali pana komedię. Walicki się nazywa. Przyprawdzili dziecko i ten starszy mówił, że pan o wszystkim wie i że to bardzo nieładnie, że pan nie czekał na dworcu. Co ja miałem robić? Ten starszy zgrzytał zębami i powiedział, że mnie udusi, jeżeli małej nie wezmę i nie dam jej jeść. Przez godzinę tu siedzieli, a ten stary pilnował, żeby z dzieckiem było wszystko w porządku. Mówił, że się pan bardzo ucieszy, bo to wyjątkowo dobra dziewczynka, a pan jest jej wujem.

— Że ja jestem wujem? — zduszonym głosem rzekł pan Olszowski. — I ty, czorcie, uwierzyłeś w to wszystko?

— Czemu nie miałem wierzyć? — sennym głosem odpowiedział Michaś. — Chciałem ją położyć na dwóch fotelach, ale ten stary zaczął krzyczeć na cały dom, że pan może spać na fotelach, ale ona musi w łóżku, bo to delikatne dziecko.

Pan Olszowski chwycił się obiema rękami za głowę.

— Idź spać! — krzyknął. — Jutro o tym pogadamy!

Polecenie było spóźnione, bo Michaś już spał, stojąc. Usłyszawszy rozkaz, resztką przytomności zaczął iść przed siebie.

— Uwważaj, szafa! Nie tędy, wstrętny chłopcze...

Michaś jak lunatyk⁸⁹ minął mebel i trafił w drzwi.

„Na poduszkę siedmiu braci śpiących!” — jak mówi Dickens⁹⁰. Jeszcze się nie położył, a już spał.

Znakomity autor przedstawiał widok godny pożałowania. Otumanionym⁹¹ wzrokiem patrzył na śpiącą dziewczynkę i usiłował myśleć, co zrobić z tym fantem⁹². Jakiś zwariowany aktor przyprowadził mu dziecko. Albo się pomylił, albo uczynił nierozumny żart. Wszystko to się, oczywiście, wyjaśni, ale dopiero jutro. Lecz co robić w tej chwili? Należałoby pójść spać — pan Olszowski jednak mniemał⁹³ słusznie, że oka nie zmruży. Różni ludzie różne rzeczy znajdowali we własnych łóżkach, ale jest to rzecz niesłychana, aby we własnym łóżku znaleźć jakieś nieznanne dziecko. Spojrzał na nie pochmurnie i usiłował przypomnieć sobie, czy go gdzieś przypadkiem nie widział. Nie, nie mógł widzieć, byłby je bowiem pamiętał. Dziecko jest śliczne. Rozchyliło usteczka i śpi cudownie spokojnie.

— Jutro będziemy rozmawiali, moja panno! — rzekł cicho.

Rozejrzał się — zatroskany — rozmyślając, gdzie by ją ułożyć. Ten bałwan Michaś tak chrapie, że szkoda fatygi⁹⁴, aby go budzić raz jeszcze, a sprawa z przygotowaniem posłania jest bardzo złożona. Machnął więc ręką, zgasił światło i przeszedł do gabinetu, w którym sporządził sobie jakieś takie legowisko.

Miał dość burzliwe sny, zdawało mu się bowiem, że jest w ogromnym teatrze, a na każdym krześle siedzi dziecko. Aktorzy spływają ze sceny na skrzydłach, każdy bierze jedno, leci do domu i kładzie dziecko w swoim łóżku. Na tym łóżku gniotą się już chyba tysiące dzieciaków i nagle wszystkie zaczynają drzeć się opętanym wrzaskiem. Pan Olszowski, przerażony, usiłuje uciec, ale jakiś stary aktor chwyta go za nogę i kąsa ogromnymi zębami. Pisarz zrywa się z posłania w wielkim przerażeniu i otwiera szeroko oczy. Nie widzi gryzącego go w łydkę aktora, ale wyraźnie słychać dziecięcy, wysoki głosik, pełen chichotów i rozradowanych okrzyków.

„Ki diabeł?”⁹⁵ — myśli pan Olszowski w zdumieniu.

⁸⁹lunatyk — osoba cierpiąca na lunatyzm, mówiąca i wykonująca różne czynności we śnie. [przypis edytorski]
⁹⁰Dickens, Charles (1812–1870) — angielski powieściopisarz, wybitny przedstawiciel powieści społeczno-oby-
czajowej. [przypis edytorski]

⁹¹otumanić (pot.) — ogłupić. [przypis edytorski]

⁹²co zrobić z tym fantem — jak wybrnąć z tej sytuacji. [przypis edytorski]

⁹³mniemać — uważać, przypuszczać, sądzić. [przypis edytorski]

⁹⁴fatyga — wysiłek, staranie. [przypis edytorski]

⁹⁵Ki diabeł? — Kto to? Co to? [przypis edytorski]

Naraz przypomina sobie wszystko i rozumie, że ta rozkrzyczana rzeczywistość znajduje się naprawdę w jego domu. Po cichu zbliża się do drzwi i zaczyna nasłuchiwać. W kuchni odbywa się jakiś nadzwyczajnie wesołe zebranie: mała dziewczynka czyni piskliwy zgiewek, ten drab⁹⁶ Michaś buczy i huczy przedziwnie, a jakiś trzeci głos, najwyraźniej damski, wtóruje im dyszkantem⁹⁷. Tak tam jest wesoło, że niedługo rozpoczną się tańce. Znakomity autor, niewyspany i zły, zajrzał przez uchylone drzwi i ujrzał „hultajską”⁹⁸ trójkę, złożoną z Basi, Michałka i żony dozorczy — osoby miłej, lecz tak obszernej, że dokoła niej mogłoby maszerować wojsko. Widać, że Michaś, nie umiejąc sobie dać rady z dziewczynką, zawezwał pogotowie ratunkowe w osobie pani Walentowej. Pan Olszowski zadzwonił niecierpliwie.

— Przyprowadź tutaj to dziecko! — krzyknął w stronę roześmianego Michasia.

Chłopak wepchnął Basię do gabinetu, sam zaś wołał zniknąć w bezpiecznym oddaleniu. Dziewczynka wbiegła szybko i zrozumiałwszy z dotychczasowych doświadczeń, że znalazła się w gronie bardzo przyjemnych i życzliwych ludzi, po króciutkiej chwili wahania zaczęła wspinać się na kolana ozdoby literatury ojczyściej. Przyjrzała się ciekawie nasrożonej twarzy „nowego pana” i najwyraźniej kpiąc sobie z tej srogości, nadstawiła policzek.

— Pocałuj mnie! — powiedziała.

Pan Olszowski zdumiał się i przez krótką chwilę podobny był do posągu żony Lota⁹⁹, zamienionej w słup soli.

— Pocałuj mnie! — powtórzyła Basia, ale już z akcentem zniecierpliwienia.

Znakomity pisarz machinalnie dotknął ustami jej płowej¹⁰⁰ główki. Dość mizerny był to pocałunek. Basia jednak przyjęła go łaskawie za dobrą monetę i przyzwoliła na dłuższą rozmowę. Była ona jednostronna, gdyż pan Olszowski cierpliwie pytał, a Basia odpowiadała śmiechem albo chwytaniem go za wąsy. Okazało się na żywym przykładzie, że powiedzenie „Gadał dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu” nie jest pozbawione sensu. Niczego nie można się było dowiedzieć od tej dziewczynki. Było jej dobrze, co dnia zmieniała miejsce pobytu, każdy odnosił się do niej życzliwie, więc wszystko było w porządku. Po co sobie zawracać głowę czym innym? Wobec tego i pan Olszowski zrezygnował z dochodzenia i gorzko uśmiechnięty przyglądał się temu tajemniczemu dziecku. Owszem, jest śliczne i niezmiernie miłe, co on jednak ma z nim zrobić? U siebie, na kawalerskim gospodarstwie, nie może go zatrzymać, należy więc czym prędzej czynić poszukiwania i oddać je, komu należy. Michałek wspomniał o aktorze Walickim. Co to za aktor? Pan Olszowski nie mógł sobie przypomnieć, ale zapewne łatwo go odszuka. Ostatecznie policja odnajdzie wszystko.

Tak głęboko rozmyślał nad tymi sprawami, że nawet nie zauważył, iż dziewczynka, ująwszy go za rękę, zaczyna go prowadzić. Szedł za nią machinalnie i czynił, co mu kazała. Na jej żądanie musiał ją podnieść, aby się mogła przejrzeć w lustrze, musiał wyjmować książki z biblioteki, aby ich mogła dotknąć, musiał wreszcie obejrzeć jej torebkę i jakiś kawałek tektury. Nagle okazał żywe zainteresowanie. Na tekturze, zamazanej i smętnie zalanej atramentową ciecżą, ujrzał wypisane wyraźnie swoje nazwisko i adres. Nie wiedział o tym, że Szot naprawił uszkodzone litery i wyrzył je z naciskiem — jakby w spiżu¹⁰¹. Przyglądał się bezradnie tej kartce, obracał ją na wszystkie strony i tyle wiedział potem, co przedtem.

— Awantura arabska¹⁰²! — rzekł sam do siebie. — Co ja mam zrobić? — krzyknął głośno.

— Skakać! — poradziła mu Basia.

Rada była bardzo rozumna, lecz dorośli ludzie sami nie wiedzą, czego chcą. Ten duży człowiek nie zdradzał wcale ochoty do skakania. Przypiął się do telefonu i szturmował

⁹⁶drab — postawny człowiek budzący strach. [przypis edytorski]

⁹⁷dyszkant — wysoki, piskliwy głos. [przypis edytorski]

⁹⁸hultaj — łobuz, nicpoń. [przypis edytorski]

⁹⁹Lot — bratanek biblijnego patriarchy Abrahama; jego żona uratowała się z zagłady Sodomy, jednak została zamieniona w słup soli, złamała bowiem zakaz oglądania się za siebie w trakcie ucieczki. [przypis edytorski]

¹⁰⁰płowy — jasny, żółtawy z szarym odcieniem. [przypis edytorski]

¹⁰¹spiż — stop miedzi, cynku i cyny. [przypis edytorski]

¹⁰²awantura arabska — niecodzienne, niespodziewane i niepotrzebne zdarzenie, rozdmuchana sztucznie aféra. [przypis edytorski]

wszystkie teatry, szukając aktora Walickiego. Odpowiedziano mu, że łązi taki po bożym świecie, nikt jednak nie wie, gdzie mieszka i czy przypadkiem nie włóczy się po prowincji.

Basia nie opuszczała Olszowskiego ani na chwilę. Ogromnie się jej podobał ten wysoki pan, który tak zabawnie wykrzykuje do czarnego pudelka. Ze wszystkich dotąd spotkanych ten był najprzyjemniejszy, tak samo przyjemny jak Michałek.

Pan Olszowski był sławnym pisarzem, nie wiedział jednak ani w ząb, co zrobić ze smarkulą, kręcącą się jak wrzeciono¹⁰³, zadającą sześćdziesiąt pytań na godzinę i śmiejącą się z najrozsądniejszych odpowiedzi. Zawezwał więc na naradę panią Walentową, która wtoczyła się do pokoju jak ciężka armata na pozycję i udzieliła mu zbawiennych rad.

— Wszyscy w całej kamienicy mówią, proszę łaski pana, że pan powinien zatrzymać to dziecko! — rzekła uprzejmie.

— Jakże to: wszyscy?! — wykrzyknął pan Olszowski. — A któż o nim wie?

— Wiedzą, wiedzą... Już wczoraj, kiedy dziewczynkę przyprowadzili, niektórzy przychodzili ją oglądać. A dzisiaj, kiedy pan jeszcze spał, była tu cichaczem cała procesja¹⁰⁴.

— O Boże! — jęknął pan Olszowski. — Czy pani oszalała? To dziecko przyprowadzono do mnie przez pomyłkę!

— Czy przez pomyłkę czy nie, tego już ja nie wiem. Ale wiem, że Pan Bóg je tu przyprowadził, aby pan miał weselsze życie. To słońce, a nie dziewczynka! I pan chce ją oddać?

— A cóż ja z nią będę robił?! — krzyknął Pan Olszowski.

— Jeżeli pan jest bez serca, to ją pan wyrzuci na bruk¹⁰⁵, a wtedy ręka boska ciężko pana skarże; ale jeżeli ma pan sumienie, to ją pan wychowa.

— Wychowam? Przecież mi ją odbiorą!

— Niech spróbują! — zagrzmiała opasła¹⁰⁶ dama tak potężnie, że znakomity autor cofnął się jak przed ryczącym naporem burzy. — Każdy zleci ze schodów na złamaną głębę. O, niech pan patrzy, jak się to do pana tuli, jak ptaszyna — dodała głosem już mniej grzmiącym.

Pan Olszowski, zrozumiawszy, że kamienica przyjęła Basię skwapliwie na swoje kamienne łono, postanowił działać na własną rękę. Zobowiązał dzielną panią Walentową do czulej opieki nad dzieckiem, zleciwszy to samo Michasiowi pod groźbą lania, sam zaś udał się na poszukiwania. Obszedł wszystkie teatry, wszędzie pytając o Walickiego. Owszem, znano go i pan Olszowski przecież powinien go znać — aktora ze swojej sztuki. Zaczął sobie mętnie przypominać, że istotnie widział oblicze, które wedle powszechnego opisu było smutne jak cmentarz o północy. Trzeciego dnia dopiero poznał jego adres i pobiegł tam czym prędzej. Jakiś młodzieniec wyjaśnił mu, że Walicki wyjechał z wędrownym teatrem na Kresy¹⁰⁷, a wróci za miesiąc. Pan Olszowski jęknął głucho.

— A jak się miewa Basia? — spytał go nagle blond młodzian.

Znakomity pisarz rzucił się na niego jak tygrys.

— Czyje to dziecko?! — krzyknął.

Szot opowiedział, co wiedział: że to sierotka, znaleziona w pociągu, wysłana z kartką na szyi pod adresem pana Olszowskiego; że biedne dziecko byłoby zginęło, gdyby nie Walicki, który je odprowadził.

— Ależ to jakaś straszna pomyłka! — mówił gorączkowo autor. Ja nie mogę trzymać u siebie tej dziewczynki.

— To sierota... — rzekł cicho Szot.

— Być może, ale co ja mam z tym wspólnego? Czy panowie dobrze odczytali kartkę?

— Adres nie ulega żadnej wątpliwości. Zbadaliśmy to starannie. Ja myślę, że to dobry los obdarzył pana tym ślicznym dzieckiem. Mój przyjaciel Walicki zazdrościł panu serdecznie.

— Tak pan myśli? Pan Walicki mi zazdrości? No to sprawa jest prosta: niech sobie panowie wezmą tę dziewczynkę.

¹⁰³*urzeciono* — przyrząd służący do przedzenia. [przypis edytorski]

¹⁰⁴*procesja* — tu: tłum ludzi. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*bruk* — nawierzchnia drogi zrobiona z kamieni. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*opasły* — gruby, otyły, tęgi. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Kresy* — historyczne wschodnie pogranicze Polski, obecnie terytorium stanowiące fragmenty obszarów państwowych Ukrainy, Białorusi i Litwy. [przypis edytorski]

Wesoły pan Szot bardzo spoważniał.

— Panie autorze! — mówił drżącym głosem. — Niech nam pan wierzy, że gdyby istniał chociaż cień możliwości, przygarnęlibyśmy to dziecko obiema rękami. Ale...

— Ale co?

— Ale... — mówił Szot z trudem — Ale... My sami jesteśmy często głodni... A dziecko, przecież chyba pan wie... I to jeszcze takie...

— Przepraszam pana — rzekł autor, nagle wzruszony. — Bardzo serdecznie przepraszam... Widzi pan... Taki nagły kłopot... Więc jestem nieco kwaśny. Dziecko jest rozkoszne! Przyznam się panu, że pokochałem tę kruszynę... A jeśli szukam tych, do których ona należy, to raczej z troski o dziewczynkę. Ja nie umiem sobie dać z nią rady i nie wiem, jak się wychowuje dziecko.

— Ech! — zawołał już weselszy Szot. — Pan wszystko potrafi, pan jest genialnym człowiekiem.

Pisarz zarumienił się lekko.

— Przesada, młodzieńcze, przesada! — rzekł z tajoną radością. — Ale zrobimy tak: ja zatrzymam dziecko u siebie, nie przerywając poszukiwań, gdyż twierdzę z całą pewnością, że w tym wszystkim tkwi jakaś niewytłumaczona pomyłka. Będę szukał powoli i z rozmysłem. Wprawdzie życie moje będzie wywrócone do góry nogami, ale trudno... Pan mówi, że to sierota?

— Wedle wiedzy mego przyjaciela zupełna sierota. Ktoś obcy wsadził ją do wagonu i polecił ludzkiej dobroci. Ostatecznie można byłoby poszukać na tej stacji.

— I tam poszukam. Do widzenia, drogi panie... Jest pan zacnym człowiekiem.

— Pan jest zacniejszym!

— Wobec tego zdaje mi się, że pan dostanie rolę w mojej nowej sztuce — zawołał autor.

— O Boże — rzekł Szot, składając ręce jakby w zachwycie.

Gdy Olszowski wrócił do domu, Basia przyjrzała mu się uważnie i zapytała, nadąsana:

— Gdzie byłeś?

Znakomity autor zaczął jej tłumaczyć długo i szeroko, że chodził po lesie i szukał grzybów.

— Ty coś kłamiesz! — rzekła ona, kręcąc główką. — A gdzie grzyby?

Ponieważ nie mógł znaleźć w kieszeni grzybów, kłamstwo było oczywiste i oto ku swojemu niezmiernemu przerażeniu autor wielu książek mocno się zaczerwienił.

Basia prowadziła „całe gospodarstwo”, więc pan Olszowski, wyszedłszy rano, nie mógł, wróciwszy w południe, poznać swojego domu. To już nie był dom, lecz bigos hultajski: wszystko w nim wędrowało z miejsca na miejsce, każde krzesło łąziło z kąta w kąt, a książki zmieniały miejsce pobytu według uznania dziewczynki. Urwipoleć Michałek nie tylko jej nie przeszkadzał w tym piekielnym zajęciu, lecz znakomicie pomagał. Jego przeraźliwa zuchwałość, zrodzona z uwielbienia dla Basi, doprowadziła do tego, że jednego wieczoru rzekł do swego rodzonego chlebobdawcy:

— Mógłby pan trochę wcześniej wracać do domu, bo Basia się gniewa, jak pana długo nie ma...

Pan Olszowski w nagłej furii cisnął w niego trzynastym tomem encyklopedii, ale nie trafił. Nie da się jednak zataić, że nazajutrz wrócił już o zmierzchu i asystował przy układaniu książniczki Barbary do snu. Ucałowała go mocno, zarzuciwszy rączki na jego szyję, a potem szepnęła mu do ucha:

— Coś ci powiem!

— Co mi powiesz, maleńka?

— Będziemy mówić pacierz.

Znakomity autor wypchnął za drzwi Walentową i rzekł cicho:

— Dobrze, Basieńko. Zmówmy pacierz...

— To uklęknij!

Ukląkł przy jej posłaniu, a ona przy nim. Pan Bóg wychylił się z nieba i nasłuchiwał, uśmiechnięty, jak dziecko gada do niego niezdarne poplątane słowa — jakąś swoją własną modlitwę, bez ładu i składu¹⁰⁸, jakby ptak świergotał.

¹⁰⁸bez ładu i składu — chaotycznie, bezsensownie. [przypis edytorski]

— Już koniec! — oznajmiła z triumfem Basia. — Możesz wstać.

Ale pan Olszowski jeszcze klęczał i coś szeptał. Od wielu, wielu lat ani nie klęczał, ani nie szeptał, więc pewnie dlatego podniósł się z jakimś trudem.

Również z trudem czynił poszukiwania. Jakoś mu się odechciało... Nie miał zresztą czasu, gdyż obiecał solennie¹⁰⁹, złożony przed Basią siedemdziesiąt siedem przysięg, że napisze dla niej prześliczną książeczkę, ale taką „aby była śmieszna, że aż strach!”. Ponieważ nigdy nie pisał takich książeczek, więc szło mu niesporo. Jednak każdego poranka odczytywał jej głośno to, co napisał wieczorem.

Zdawało się, że kilkuset widzów w teatrze nie umiało się tak głośno cieszyć, jak to potrafiła panna Barbara. Skakała i biła brawa, piszcząc z nieludzkiej radości. Rzuciła się na szyję pocie, całując go z całej duszy, a on czerwienił się i tak był uradowany, jakby go uwieńczono wieńcem laurowym¹¹⁰. Ta wspaniała ceremonia kończyła się niezmiennie każdego ranka wpadaniem sobie w objęcia i tańcem dokoła pokoju.

Cała kamienica wiedziała, że pan Olszowski przepada za Basią, a Basia żyć nie może bez pana Olszowskiego.

Cudownie czarujący był cały ten miesiąc, tyle już bowiem minęło od owego pamiętnego wieczoru, kiedy Basia odbyła wjazd triumfalny do mieszkania autora. Pan Olszowski myślał ze wstydem o tym, że chciał się pozbyć tego dziecka. Dawno zaprzestał wszelkich poszukiwań i już sobie ułożył, że zamieszka razem z wąsatą ciotką, aby oddać Basię w kobiece ręce — w słusznej obawie, że sam rozpuści ją jak dziadowski bicz¹¹¹. Z niezmiernym trudem udało mu się jeszcze jako tako ocalić resztki swej powagi i wpadał w pasję, kiedy widział uśmiechy tego draba Michałka; ów baszybuzuk¹¹² śmiał się najwyraźniej w kulak¹¹³, słuchając zza drzwi, jak jego sławny pan tłumaczy się przed Basią: a gdzie był, a co robił, a czemu ma zziębnięty nos?

Jasno się zrobiło w życiu pana Olszowskiego. Zdawało mu się, że przez szarzystą chmur przedarł się złoty promień słońca i lata po jego mieszkaniu. Jakoś mu się teraz lepiej pisało, śmiał się częściej, a tak serdecznie jak nigdy.

Basia siedziała właśnie na jego kolanach i jechała truchtem¹¹⁴ jak na koniu, gdy Michaś wychylił się zza drzwi.

— Czego chcesz, kreaturo? — zapytał go wesoło pan Olszowski. Michaś nie odpowiadał, lecz dawał jakieś nieme znaki.

— Basiu! Michałek stracił mowę! — zawołał autor.

Chłopak powtórzył swoje znaki i mrugnął znacząco.

„Co mu się stało?” — pomyślał pan Olszowski.

— Czego chcesz? — zapytał, wyszedłszy do niego.

Michaś był najwyraźniej poważny i drżącymi rękami podał mu gazetę, bez słowa pokazując w niej jakieś miejsce.

— To Basia! — szepnęła zdumiony autor. — Co to jest?

Na fotograficznej odbitce Basia śmiała się śmiechem „z całego serca”, a pod zdjęciem grubym drukiem wołał czarnym głosem:

„Zginęła pięcioletnia dziewczynka o imieniu Basia. Ktokolwiek wiedziałby coś o niej, proszony jest usilnie o natychmiastowe zgłoszenie się...”.

Gazeta wypadła pisarzowi z rąk. Usłyszał cichy szepet chłopaka:

— Czy my ją musimy oddać, proszę pana?

— Nigdy! — krzyknął znakomity autor, jakby nagle obudzony. — Do mnie ją przysłali, u mnie zostanie. Powiedz Walentowej...

— Ona już wie... Stoi z miotłą w bramie, a co się ktoś zbliży, chce go bić. Cały dom już wie! Będzie wojna, proszę pana!

Pan Olszowski nie słyszał, gdyż wpadłszy do pokoju, porwał Basię w objęcia i przycisnął ją do piersi.

¹⁰⁹*solenny* — uroczysty; obowiązkowy, rzetelny. [przypis edytorski]

¹¹⁰*wieniec laurowy* — wieniec z liści wawrzynu; symbol sławy i triumfu, wręczany od czasów starożytnych zwycięzcom w rywalizacji sportowej, naukowej, militarnej lub artystycznej. [przypis edytorski]

¹¹¹*rozpuścić jak dziadowski bicz* — rozpieścić, zepsuć. [przypis edytorski]

¹¹²*baszybuzuk* — tu: niesforne dziecko, niegrzeczna osoba. [przypis edytorski]

¹¹³*śmiać się w kulak* — chichotać ukradkiem, śmiać się skrycie. [przypis edytorski]

¹¹⁴*trucht* — rodzaj końskiego chodu. [przypis edytorski]

— Udusisz mnie, ty wariacie! — resztką tchu krzyknęła dziewczynka.

5. ŁOWY NA GRUBEGO ZWIERZA

Pani Tańska miała wprawdzie siedemdziesiąt lat, ale była żywa jak wiewiórka; zawsze się śpieszyła, nigdy jednak nie wiedziała dobrze, dokąd i w jakim celu. Wychodziła z domu i przebiegłszy drobnymi kroczkami połowę ulicy, przystawała nagle i usiłowała sobie przypomnieć, dokąd jej tak śpieszno. Ponieważ nikt jej nie mógł objaśnić, a ona sama najmniej, powracała do domu. Bardzo czciwoda wiercipięta¹¹⁵. Skoro nie można się było z nią dogadać — bo gdy kto do Sasa, ona zawsze do Lasa¹¹⁶ — wtedy wołała płacziwie:

— Dajcie mi spokój, ja mam przecież siedemdziesiąt lat!

Zupełnie inaczej działało się, gdy staruszka zjadała w chananejskiej¹¹⁷ obfitości potrawy zbyt zawiesziste, pieprzne i korzenne.

— Przecież babcia ma już siedemdziesiąt lat! — wołano ze zgrozą.

— No i co z tego? — wołała obrażona. — Czyż to taki wiek, aby nie można zjeść kawałka baraniny?

Trudno było dogadać się z panią Tańską, „Latającym Holendrem”¹¹⁸, bo ona zawsze miała rację i siedemdziesiąt lat, które wysuwała jak kolce.

Właśnie rozmyślała plocho¹¹⁹ i powiewnie nad tym, dokąd pobiec w jakiejś urojonej sprawie, gdy weszła Marcysia, jedna z najbardziej wymownych osobistości ostatniego stulecia.

— Proszę starszej pani, list przynieśli.

— Jaki list?

— Polecony, do panienki. Już pokwitowałam...

Babka zerwała się z fotela sprężystym ruchem kangura.

— Po coś to brała? Kto wie, co to za list? Może, nie daj Boże, z sądu?

— Gdyby był z sądu, to by przyniósł policjant. Niech go starsza pani weźmie.

— Nie wezmę, nie chcę! Położ go na komodzie... Jak myślisz, czy to od mężczyzny czy od kobiety?

Dziewoja¹²⁰ powąchała list, silnie wietrząc¹²¹ jak ogar.

— Trudno poznać... Od mężczyzny pachniałby tytoniem, a od kobiety perfumami. A ten nie pachnie ani tak, ani siak.

Starsza pani spojrzała na list ponuro — jak na wroga, który się chytrze ukrył w korpacie. Nie lubiła listów, nienawidziła depesz¹²². Licho wie, kto pisze do jej wnuczki? Może to jakaś zasadzka? W tych czasach wszystko możliwe.

Jej ukochana wnuczka Stasia wyjechała na cały miesiąc do rodziców na zapadłą¹²³ wieś na litewskich kresach.

— Może ten list wysłać do panienki? — spytała Marcysia.

— Jeszcze czego! — krzyknęła babka. — Niech sobie leży i czeka. Ma się dziewczyna struć jakąś złą wiadomością, to niech ją to spotka jak najpóźniej.

— A może to oświadczyzny?

— Listownie? Czyś oszalała, babo? Ten, co się będzie oświadczał naszej panience, będzie tu, o, tutaj klęczał na obu kolanach i będzie skomleć, bo ja go wezmę na egzamin.

— Będzie miał czarną godzinę — mruknęła Marcysia.

List leżał na komodzie i spał. Powoli zarzucono go gazetami, a wreszcie o nim zapomniano.

¹¹⁵wiercipięta (pot.) — osoba niepotrafiąca usiedzieć spokojnie. [przypis edytorski]

¹¹⁶gdy kto do Sasa, ona zawsze do Lasa — parafraza powiedzenia „od Sasa do Lasa”, związanego z rywalizacją polityczną pomiędzy polskimi królami: Augustem II Mocnym (1670–1733) i Stanisławem Leszczyńskim (1677–1766) oraz przemieszczaniem się ich zwolenników z jednego do drugiego obozu; wyrażenie to oznacza całkowicie sprzeczne poglądy lub rzeczy niemające ze sobą nic wspólnego. [przypis edytorski]

¹¹⁷chananejski a. kananejski — związany z Kanaan, biblijną Ziemią Obiecana, krainą obfitości, szczęścia i bogactwa; (pot.) zamożny, obfity, bogaty. [przypis edytorski]

¹¹⁸Latający Holender — legendarny żaglowiec-widmo, pływający w nieskończoność, który na morzu przynosi nieszczęście, a jego widok zapowiada śmierć. [przypis edytorski]

¹¹⁹plochy (daw.) — niestały, zmienny w uczuciach. [przypis edytorski]

¹²⁰dziewoja (daw.) — dorodna dziewczyna. [przypis edytorski]

¹²¹wietrzyć — tu: wyczuwać węchem. [przypis edytorski]

¹²²depesza — tu: telegram. [przypis edytorski]

¹²³zapadły — tu: oddalony od ludzkich siedzib. [przypis edytorski]

Wnuczka pani Tańskiej powróciła po miesiącu i przez dwa dni opowiadała o wszystkim, co się dzieje na wsi. Była to dziewczyna dorodna, smukła, gibka¹²⁴. Oczy miała przedziwne: ślicznie wykrojone, o orzechowym, złotawym połysku; włosy ciężkie, nieobcięte, bogatym węzłem zwieszające się na kark — musiały być ciężkie, bo miały gorący blask miedzi. Babka patrzyła na nią gorącym spojrzeniem, pełnym wielkiej miłości; ta smągliła¹²⁵ dziewczyna była jej oczkiem w roztrzepanej głowie. Wymogła na jej rodzicach ciężko parających się¹²⁶ uprawą kawałka piaszczystej ziemi, że wnuczka będzie się chować¹²⁷ przy niej i że ona wyda ją za mąż. Z tą sprawą wlokło się cokolwiek, pani Tańska bowiem najchętniej wydałaby ją za jakiegos następcę tronu, jednakże cała dyplomacja bruździła¹²⁸ zacnej babce i do tego mariażu¹²⁹ nie doszło. Zwyczajnych, mniej świetnych konkurentów¹³⁰ staruszka kładła na rozpalonym ruszcie i smażyła ich na piekielnym ogniu, tak że znikali czym prędzej z horyzontu. Każdy był dla jej wnuczki nieodpowiedni, więc panna Stasia ciężko, choć tajemnie, wzdychając, doszła do wieku dwudziestu pięciu lat. Czekwała cierpliwie na tego, który się wreszcie spodoba kapryśnej babce. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi taki się jeszcze nie narodził.

Panna Stasia ukończyła wyższą szkołę rolniczą i miała kiedyś zająć się uprawą rodzinnej wsi. Na razie uprawiała babkę.

Gdy już zdała sprawozdanie o każdej główce kapusty i o zdrowiu każdego cielaka w majątku rodziców, zapytała od niechcienia:

— Babciu, nie było do mnie jakichś listów?

Babcia wzruszyła ramionami.

— Listów? Skąd do ciebie listy?

Sprzątająca Marcysia natychmiast podchwyciła watek i wtrąciła:

— Jest list, proszę panienki. Nawet polecony.

— Czy babcia zapomniała? — zapytała wnuczka.

— Moje dziecko, przecież ja mam siedemdziesiąt lat! — z wielką goryczą odrzekła pani Tańska.

Panna Stasia szybko rozdarła kopertę i przebiegła list spojrzeniem.

— Matko Boska! — krzyknęła zduszonym głosem.

— Mówiłam, że jakieś nieszczęście — szepnęła babka. — Marcysiu, wody, prędko, wody, bo panience słabo.

Panna Stanisława oparła się ciężko o stół. Druga ręka, w której trzymała list, nieznośnie drżała.

— Och, babciu — mówiła złamanym, pełnym płaczu głosem. — Czemu mi babcia nie odesłała tego listu?

— Przecież ja mam siedemdziesiąt lat — jęknęła pani Tańska. — Co się stało?

— Stała się straszna rzecz... O Boże, jaka straszna! A ten list leży tu od miesiąca... Och, babciu... Jak mogłaś, jak mogłaś!...

— Co jest w tym liście? Mów prędko!

Panna Stanisława nie mogła jednak mówić prędko. W oczach miała łzy. Była błada i znękana.

— Miałam przyjaciółkę... Helenkę Bzowską...

— Znam ją!

— Znałaś ją, babciu... Wpadła pod pociąg... Jechała z córką... Mam fotografię tego dziecka... I to dziecko... O Boże miłosierny!

— Cóż z nim, mów prędko!

— Helenka miała jeszcze tyle sił i przytomności, że wybłagała, aby dziecko posłać do mnie. Prosi w tym liście, abym oczekiwała na dworcu... A to wszystko działo się przed miesiącem... Gdzie jest teraz to dziecko?

Pani Tańska była widocznie przerażona.

¹²⁴gibki — zwinny, sprężysty. [przypis edytorski]

¹²⁵smągły — o ciemnej, oliwkowej karnacji. [przypis edytorski]

¹²⁶parać się — zajmować się. [przypis edytorski]

¹²⁷chować się — tu: wychowywać się. [przypis edytorski]

¹²⁸bruździć — tu: (pot.) przeszkadzać. [przypis edytorski]

¹²⁹mariaż — małżeństwo. [przypis edytorski]

¹³⁰konkurent — tu: adorator, kandydat na męża. [przypis edytorski]

— To straszne... — szepnęła. — Co począć, co począć?
Zerwała się z fotela i zaczęła truchcikiem biegać dokoła pokoju. Nagle przystanąła i krzyknęła gromko¹³¹:

— Kto wysłał dziecko pociągiem?

— Żona jakiegoś lekarza... Natalia Budziszowa... List pisze jej mąż.

— Natalia Budziszowa ma rozum w niezupełnym porządku, skoro dziecko wysłała bez opieki. Adres jej jest?

— Jest...

— Piszmy do Natalii Budziszowej. Niech tu natychmiast przyjedzie. Można by za-depeszować, ale jeszcze się przerazi depeszy. A zresztą, pal ją lichu! Niech się przerazi. Marcysia! Biegnij na pocztę i powiedz, że to musi być na jednej nodze... Jeszcze nie wszystko stracone. Chociaż mam siedemdziesiąt lat, jeszcze dam radę. Pisz depeszę!

Pani Stanisława, przejęta energią babki, rozgorączkowana i załamiona, od razu zebrała całą odwagę. Napisała: „PROSZĘ PRZYJECHAĆ NIEZWŁOCZNIE TRAGICZNE NIEPOROZUMIENIE PRZYSŁANE DZIECKO PRZEPADŁO”. Sama pobiegła na pocztę.

Do późnej nocy pani Tańska omawiała to okropne zdarzenie.

— Musieli pisać w gazetach o tym wypadku, ale ja przez miesiąc rzadko je czytałam. Babcia nie czytała?

— Przecież ja mam siedemdziesiąt lat... — odparła babka. — Ani nie czytałam, ani nie słyszałam. Powiedz mi jednak, jak to się mogło stać, że dziewczynki nikt do mnie nie przyprowadził! Ten doktor pisze, że jego żona zawiesiła na jej szyi dokładny adres. Czy dziecko zgubiło karteczkę? A gdzie jest ojciec dziewczynki?

— To i o tym babcia nie słyszała? Opowiadałam babci...

— Przecież ja mam siedemdziesiąt... Zresztą wszystko jedno. Gdzie on jest?

— Mąż Helenki był znanym uczonym i wyjechał do jakiejś puszczy w Ameryce Południowej.

— Po co go aż tam zanosło?

— Trzech ich pojechało na badania, nie wiem dobrze jakie. I o wszystkich trzech słuch zaginął.

— Zginęli?

— Nikt tego nie wie, lecz powszechnie utrzymuje się, że zginęli. Helenka nigdy nie mogła w to uwierzyć... Mieszkała w Gdyni¹³² i wciąż oczekiwała powrotu męża. Skąd się znalazła na tej stacji, na której ją spotkało nieszczęście, dokąd jechała, o tym wszystkim się dowiemy. A dziecko...

— Nie płacz!

— Muszę płakać. Biedna kobieta miała mnie jedną na świecie, nikogo poza tym — ani rodziców, ani krewnych. Podobno są jacyś, ale we Francji, bo jej matka była Francuzką. O babciu, babciu, jakie to wszystko straszne! Biedna! Biedna Basieńka!

— To dziecko ma na imię Basia? Tak jak ja... — mruknęła pani Tańska. — Może Bóg da, że ją znajdziemy.

Zdaje się, że zrozpaczona pani Tańska musiała się o to modlić długo w nocy, gdyż słyhać było jej szepczący głos.

Nazajutrz, około południa, wpadła do jej mieszkania trąba powietrzna.

— Jestem doktorowa Budziszowa! — oznajmiła potężnie. — Co się stało?

— Nieszczęście! — rzekła pani Tańska.

Pani doktorowa, usłyszawszy o całej tragedii, chwyciła się rękoma za głowę.

— To pani wszystkiemu jest winna! — krzyknęła, dla wszelkiej pewności wskazując palcem nieszczęsną babkę.

— Przecież ja mam siedemdziesiąt lat... — zakwiliła¹³³ pani Tańska.

— Tym bardziej jest pani winna. Od osoby w pani wieku można by oczekiwać odrobiny rozsądku.

— A pani ile ma lat?

¹³¹gromki — głośny, donośny. [przypis edytorski]

¹³²Gdynia — polskie miasto powiatowe, położone nad Morzem Bałtyckim. [przypis edytorski]

¹³³kwilić — cicho i żałośnie płakać. [przypis edytorski]

— Czterdzieści dwa... Co to ma do rzeczy?

— To, że gdybym ja miała czterdzieści dwa lata, nie wysłałabym małego dziecka samego do Warszawy. Chyba że w dzieciństwie upadłabym ze schodów na głowę.

— Słusznie — rzekła pani Budziszowa ponuro. — Ale mój mąż...

— Niech panie dadzą spokój tym latom — mówiła panna Stanisława. — Radźmy, co robić, aby odnaleźć dziecko. Co pani napisała na kartce?

— To, co mój mąż zanotował: „Do panny Stanisławy Olszańskiej, Warszawa, ulica Zielna¹³⁴ 15”. Wprawdzie mój mąż napisał potem na swojej notatce receptę jakiemuś bałwanowi, ale ja miałam ten adres wryty w duszy. Czy się zgadza?

— Wszystko się zgadza, a dziewczynki nie ma.

— Ktoś ją porwał, nic innego, tylko ktoś ją porwał.

— Cyganie¹³⁵... — podszeptała babka.

— Jacy Cyganie? Porwał ją ktoś na dworcu albo na ulicy, albo... Czekajcie! W przedziale siedział taki jeden, co trochę wyglądał na zbója. Były tam dwie bardzo przyzwoite panie i on. Musiałam stracić rozum, że tego nie zauważyłam od razu! Albo kat, albo morderca...

— Ja myślę — mówiła panna Stanisława — że dziewczynka wyszła na ulicę, ktoś się nią zajął i teraz sam nie wie, co z nią począć. Chociaż i w to trudno uwierzyć, gdyż albo dałby znać policji, albo ogłosił w gazetach.

Czyniono wszystkie prawdopodobne przypuszczenia i rozważano setki możliwości. Po dręczącej, kilkugodzinnej naradzie uchwalono: ogłosić w gazetach wiadomość o dziwnej zgubie i dołączyć do informacji zdjęcie Basi.

— Dziecko moje... — szepnęła pani Budziszowa, patrząc na fotografię.

Pani Tańska i jej wnuczka milczały, bardzo wzruszone.

Nagle pani doktorowa krzyknęła wielkim głosem:

— Znajdę ją, choćby pod ziemią!

Pani Tańska, ujęta tym zapałem, przebaczyła jej serdecznie ciężką uwagę o „odrobinie rozsądku”.

— Niech pani liczy i na mnie! — rzekła gorąco.

Ziemia, usłyszawszy, że trzy dzielne kobiety będą ją wywracały do góry nogami w poszukiwaniu Basi, cokolwiek struchlała. Najbardziej zdawała się lękać pani doktorowej, która oświadczyła, mocno uderzając się w piersi:

— Moja wina, że już dawno tutaj nie przyjechałam. Dziwne to było, że nie miałam od pani żadnej wiadomości, co mi nie dawało spać. Poza tym miałam przecucia, złe i bolesne przecucia. Zdawało mi się nieraz, że Basia nawołuje mnie rozdzierającym głosem. Ale cóż? Mąż mnie wyśmiał...

— Mężczyźni nie powinni mieć nic do gadania w takich delikatnych sprawach — rzekła głucho babka.

— Ale teraz ja będę miała do pogadania z mężczyzną — powiedziała pani doktorowa powoli i dobitnie.

Zdawało się, że jedno jej słowo tak się ostrzy na drugim jak nóż na nożu.

Zamieszkała u pani Tańskiej, która była kobietą dość zamożną, a ponieważ potrzeba jej było ruchu, miała obszerne mieszkanie. Tam z wielkim niepokojem oczekiwały odpowiedzi na ogłoszenie.

Już nazajutrz przyleciała pierwsza jaskółka, dama w czerwonym kapeluszu, i opowiedziała ponurą historię o jakimś Herodzie, który głośno zgrzytał zębami i naigrawał się z czegoś.

— I pani pozwoliła mu zabrać dziecko? — zapytała stalowym głosem pani Budziszowa.

— Któż mógł wiedzieć, co się stanie? — odparł czerwony kapelusz. — Przecież pani powiedziała osobiście i wyraźnie, że na dworcu zgłosił się ktoś po dziewczynkę.

Pani doktorowa spojrzała na nią spode łba.

— I cóż z tego? Pani jest kobietą czy pani nią nie jest?

— Jak pani widzi! Wąsów nie mam...

¹³⁴Zielna — ulica w centrum Warszawy. [przypis edytorski]

¹³⁵Cyganie (pot.) — właśc. Romowie, naród lub grupa etniczna pochodzenia indyjskiego, bez własnego terytorium, tworząca diasporę zamieszkującą większość państw świata. [przypis edytorski]

— Więc mogła pani lepiej pilnować dziecka, kierując się matczynym uczuciem! Zresztą nie ma o czym mówić... Poznałaby pani tego łotra?

— W każdej chwili. Takiej złodziejskiej gęby zapomnieć nie można...

— Znajdziemy go! — krzyknęła doktorowa, potrząsając słowami jak ciężkimi kajdankami.

Kapelusz zielony, który przybiegł w dwie godziny później, potwierdził sprawozdanie czerwonego i obiecał, że po schwytaniu porywacza dzieci zgłosi się natychmiast jako świadek wyrafinowanej zbrodni.

Cała sztuka w tym, aby schwycić zbrodniarza. Jednak powiadomione o wszystkim władze nie mogły sobie przypomnieć jego istnienia. Zdjęcia jego twarzy nie było w zbiorze podobizn słynnych przestępców. Trzeba było szukać na własną rękę. Babka Barbara ułożyła plan, a panna Stasia i doktorowa przebiegały miasto we wszystkich kierunkach. Panna Stanisława nie widziała nigdy zbójcy, więc w roli adiutantów¹³⁶ krążyły z nią po mieście oba kolorowe kapelusze. Rozsrożone panie przeszukiwały ogrody i parki, zaglądając w twarz każdej dziewczynce, i odwiedziły wszystkie przytułki dla dzieci. Nigdzie nie było śladu Basi.

Pani doktorowa, odbywając w pojedynkę łowy na grubego zwierza i mało mając nadziei na spotkanie dziewczynki, patrzyła bystrym, choć czarnym wzrokiem we wszystkie męskie twarze. Cofał się niejeden mąż, nagle załękły, poczuwszy na sobie ciężkie spojrzenie nieznamym damy. Inni okazywali wielkie zdumienie, widząc, że ta, obejrzawszy ich uważnie, odchodziła z gniewem i z niedźwiedzim pomrukiem. Doktorowej przyszło na myśl, że może szuka nadaremnie, gdyż człowiek z twarzą zbrodniarza musiał zapewne już zostać powieszony albo zamknięty w więzieniu. Ożywiła ją resztką nadziei, że ze straszliwą chytryością ocyganił sprawiedliwość i że się sprytnie ukrywa.

Jednak pewnego dnia serce w niej na moment zamarło, a radość odjęła jej mowę — ale też na bardzo krótko. Na przystanku tramwajowym, w pełnym świetle słońca, obrażając świat swoim widokiem, stał zbrodniarz. Pani doktorowa, uciszony rozdygotane serce, zaczęła skradać się ku niemu ruchami pantery. Jednym skokiem znalazła się tuż obok, chwyciła go za kołnierz i rozdzierającym głosem zaczęła krzyczeć:

— Ratunku! Na pomoc! Ratunku!

Zdumieni się dobrzy ludzie, nie mogąc pojąć, dlaczego woła o ratunek ktoś, kto nie jest napastowany. Zrobiło się zbiegowisko i patrzyło z przejęciem na ponurą twarz człowieka, który — niebotycznie zdumiony — usiłował wydobyć się z drapieźnych szponów.

— Czego pani chce ode mnie? — ryknął wreszcie pan Antoni Walicki.

— Dziecko! Gdzie jest dziecko? Gadaj pan natychmiast albo pana uduszę! — z krzykliwym, lecz głębokim przekonaniem zagroziła mu doktorowa.

— Zamordował dziecko... Dziecko zamordował... — zaszemrało zbiegowisko.

— Z gęby widać, że to morderca!

— Policja! Policja!

— Gdzie dziecko? — zduszonym głosem pytała pani Budziszowa.

Biedny aktor, widząc, że zanim zdoła wyjaśnić całą historię, zostanie ciężko pobity przez tłum, mówił szybko:

— Dziecko jest zdrowe i bezpieczne... Niech pani nie robi awantur, to powiem... Chodźmy stąd!

Pani Budziszowa, zastanowiwszy się, rzekła:

— Dobrze!... Niech pan nie próbuje uciekać!... Trzymam pana za rękaw!

Aktor opuścił czym prędzej gorące miejsce, ciągnąc za sobą wczepioną w jego rękaw doktorową. Zatrzymała ona przejeżdżające auto i wtoczyła w nie Walickiego jak pakunek.

— Dokąd mnie pani wiezie? — zapytał ze zgrzytaniem.

— To nie pańska sprawa!

Po niejakiem czasie pan Walicki został postawiony przed sądem, któremu przewodniczyła babka. Panna Stanisława patrzyła na niego ze strachem, oba kapelusze z abominacją¹³⁷ i ze zwycięskim uśmiechem. Doktorowa była prokuratorem.

Pozory

Sąd

¹³⁶ *adiutant* — oficer do dyspozycji dowódcy. [przypis edytorski]

¹³⁷ *abominacja* — wstręt, obrzydzenie. [przypis edytorski]

Rozprawa trwała krótko. Pan Walicki miał przez chwilę wrażenie, że znajduje się na scenie naprzeciw licznych widzów. Zabił spojrzeniem dwa kapelusze, na babkę zerknął ciekawie, na pannę Stanisławę z wielką sympatią, a czarnym wzrokiem na Budziszową. Objasniony jej suchym jak pieprz głosem, dlaczego został wzięty w jasyr¹³⁸, opowiedział o wszystkim.

— Te panie — mówił, wskazując lewym okiem na kapelusz czerwony, a prawym na zielony — pozostawiły dziecko bez opieki, więc ja się nim zająłem.

— Ach, to tak? — rzekła Budziszowa głucho.

— To nieporozumienie! — szepnęły boleśnie kapelusze.

— Panie zapewne są bardzo zajęte — wtrąciła babka. — Dziękuję paniom za pomoc w poszukiwaniach, ale nie możemy jej nadużywać. Żegnam panie!

Oba kapelusze wycofały się, uśmiechając się lekceważąco.

— Pani doskonale grałaby stare hrabiny! — rzekł z uznaniem Walicki.

Babcia usiłowała zarumienić się z wielkiego ukontentowania¹³⁹ i skromnie przymknęła oczęta.

— Gadaj pan dalej! — krzyknęła Budziszowa.

Walicki barwnie wygłosił wielką opowieść o mleku i zamazanym adresie, o przenikliwych poszukiwaniach i o nieporównanej bystrości swego przyjaciela.

— Odczytaliśmy adres z największym trudem, bo zostało z niego zaledwie kilka liter. Muszą panie przyznać, że w pewnym sensie mój przyjaciel jest geniuszem.

— Pański przyjaciel jest kretynem — poprawiła Budziszowa. — Narobiliście bigosu¹⁴⁰, jakiego świat nie widział. Kto to jest ten pan Olszowski?

— Gdyby pani znała literaturę ojczystą — odrzekł Walicki twardo i hardo¹⁴¹ — wiedziałaby pani, że to znakomity autor. Trudno jednakże żądać od kogoś, kto pisze ważne dokumenty ołówkiem chemicznym...

Na szczęście babka wdała się w tę sprawę i ugasiła pożar.

— Panie drogi! — rzekła. — Jest pan zacnym człowiekiem, chociaż stroi pan takie miny, jak gdyby pan zjadał dzieci na surowo. Zrobiło się trochę zamieszania, ale nie pan jest temu winien... Wszyscy jesteśmy winni, pan najmniej. Dziecko odbierzemy, a pan nas czasem odwiedzi, aby zobaczyć Basię. Nawet dzisiaj zostanie pan na obiedzie... Dobrze?

— Zależy, jaki obiad — odrzekł aktor ponuro. — Ja lubię jeść tłusto. I w spokoju! — dodał groźnie, spojrzawszy na doktorową.

Pani Budziszowa jednak była tak szczęśliwa, że aż osłabła. Usiłowała nawet uśmiechnąć się do Walickiego.

— Kto by to pomyślał! — rzekła z łagodnym uznaniem. — Gęba złodziejska, a serce dobre!

— Pan mi się bardzo podoba! — rzekła babka szybko, usłyszawszy lekkie zgrzytanie zębów.

Walicki spojrział na nią podejrzliwie i zapytał niespodziewanie:

— Czy to obelga¹⁴², szanowna pani?

— Broń Boże! — mówiła pani Tańska gorąco. — Tylko pan jest bardzo podobny do mojego nieboszczyka męża.

Budziszowa przerwała te słodkie rozmowy machnięciem ręki.

— Jedno mnie dziwi — rzekła w zamyśleniu. — Czy ten pan Olszowski nie czyta gazet? Czy nie widział fotografii Basi?

— Możliwe — rzekł Walicki ponuro. — Literat czyta tylko to, co o nim napisali.

— W tym coś jest... — mówiła doktorowa sama do siebie.

Nagle zwróciła się do Walickiego:

— Panie? Czy pan przypadkiem nie zelgał¹⁴³ wszystkiego?

Literat

Literat

¹³⁸jasyr (daw.) — niewola u Turków lub Tatarów. [przypis edytorski]

¹³⁹ukontentowanie (daw.) — zadowolenie. [przypis edytorski]

¹⁴⁰narobić bigosu — zrobić bałagan, wprowadzić chaos, spowodować kłopoty. [przypis edytorski]

¹⁴¹hardy — dumny, butny. [przypis edytorski]

¹⁴²obelga — obraźliwa wypowiedź lub zachowanie. [przypis edytorski]

¹⁴³złgać — zmyślać, kłamać. [przypis edytorski]

Pan Walicki obejrzał się gwałtownie, jak gdyby szukając jakiegoś ciężkiego przedmiotu, aby zabić okropną istotę. Niczego w tym rodzaju nie było w pobliżu — tylko fortepian — więc wydał z siebie głos tak straszliwy, że babka cofnęła się z fotelem.

6. NOWY SĄD SALOMONA¹⁴⁴

Walicki stał przed Szotem i wwiercał w niego spojrzenie jak korkociąg; w jego oczach był bezmiar pogardy.

— Przez ciebie — mówił — omal nie skręcono mi karku. Przez ciebie stałem się posmiewiskiem narodów. Przez ciebie zostałem sponiewierany. Ty marny Sherlocku Holmesie¹⁴⁵, ty detektywie od czternastu boleści¹⁴⁶, ty zakuta pało!

— Ha! — krzyknął w całym znaczeniu tego słowa zdumiony przyjaciel.

— Słusznie wstyd pali twoją bałwaniastą duszę. Coś ty odczytał na kartce?

— To, co na niej było napisane — odrzekł Szot zuchwale. — „Stanisław Olszowski, Chmielna 15”.

— Przeczytałeś: Stanisław? A wiesz, co to było, mandrylu¹⁴⁷ afrykański? Tam było napisane: „Stanisławy”.

— Czy to być może?

— Teraz dalej. Przeczytałeś: Olszowski. Wtedy zapytałem się ciebie roztropnie, czy nie ma tam jeszcze czegoś po „i”? Dwa razy pytałem...

— Nieprawda! Tylko raz...

— Powiedziałeś, że niczego nie ma, a tam coś było. Były dwie litery: „ej”. Razem: „Do panny Stanisławy Olszańskiej”. Zniekształciłeś podstępnie piękną i miłą kobietę. A ulica wcale nie była „Chmielna”, tylko „Zielna”. Na kolana, magocie¹⁴⁸ amerykański, i skomlij o przebaczenie.

— A to ci heca! — zdumiał się Szot.

Zdumiał się jeszcze bardziej, kiedy mu Walicki opowiedział wszystko ze szczegółami.

— I co teraz będzie? — zapytał.

— Będzie to, co być musi. Damska armia zorganizuje dziś wyprawę na Olszowskiego i odbierze mu dziewczynkę. Generałem tego wojska będzie babcia, której na imię Barbara, a wątpię, czy wiesz o tym, niedokładnie ochrzczony poganinie, że święta Barbara¹⁴⁹ jest patronką ciężkiej artylerii. Olszowskiemu będzie gorąco!

— A jeżeli — zapytał Szot niepewnie — on nie zechce oddać dziecka? Coś słyszałem, że się zadurzył¹⁵⁰ w nim na amen!

— Nie odda? Trzem kobietom? — usiłował zaśmiać się Walicki. — Człowieku! Jedna z nich chwyciła mnie za kark, a ja myślałem, że mi kręgosłup trzaśnie jak zapalka.

Szot zamyslił się.

— Wiesz co, Antosiu? — mówił z wahaniem. — Ja pobiegnę do Olszowskiego.

— Po co?

— Uprzedzę go... To zacne chłopisko... No i obiecał mi rolę... Ty nie pójdziesz?

— Nigdy! — ryknął Walicki. — Ja mam dość. Ty nie znasz pani doktorowej.

Szot zakręcił się na pięcie i przepadł.

Łatwiej było dostać się do oblężonej twierdzy niż do mieszkania Olszowskiego. Bramy strzegła Walentowa. Jeden rzut oka na tę rycerską postać wzbudziłby śmiałą myśl w każdym historyku, że Troja¹⁵¹ nie zostałaby zburzona, gdyby zamiast starożytnych bohaterów

¹⁴⁴Salomon (ok. 1000–ok. 931 p.n.e.) — biblijny król Izraela, syn i następca Dawida, znany ze swej mądrości. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Sherlock Holmes — fikcyjna postać, bohater powieści i opowiadań kryminalnych autorstwa Arthura Conana Doyle’a (1859–1930). [przypis edytorski]

¹⁴⁶od czternastu boleści — oryginalne wyrażenie brzmi: „od siedmiu boleści”; tu zapewne liczba ta została zdublowana, by ukazać ogrom winy Szota. [przypis edytorski]

¹⁴⁷mandryl — gatunek małpy. [przypis edytorski]

¹⁴⁸magot — gatunek małpy. [przypis edytorski]

¹⁴⁹św. Barbara a. Barbara z Nikomedii — według legendy dziewica i męczennica chrześcijańska, święta Kościoła katolickiego i prawosławnego, żyjąca na przełomie III i IV wieku. [przypis edytorski]

¹⁵⁰zadurzyć się — zakochać się. [przypis edytorski]

¹⁵¹Troja — starożytne miasto położone na zach. wybrzeżu Azji Mniejszej nad rzeką Skamander, które według mitu zostało zburzone przez Greków. [przypis edytorski]

strzegła jej bram zawzięta, stuoka¹⁵² pani Walentowa. Mucha nie mogła przelecieć niezauważona. Dzielną kobietą spoglądała podejrzliwie nawet na listonosza, wietrząc, czy nie jest on chytrze przebrany napastnikiem. Nic dziwnego zatem, że Szota przyjęła spojrzeniem tak parzącym jak pokrzywa; dopiero gdy ten przysiągł, że jest sprzymierzeńcem i nadciąga z pomocą, Walentowa po porozumieniu się z panem Olszowskim wpuściła go niechętnie do twierdzy.

— Przyjdą niedługo! — szepnął Szota panu Olszowskiemu.

Wyjaśnił mu, jak z „panny Olszańskiej” wykoncypował¹⁵³ błędnie „pana Olszowskiego”, i zapowiedział najście pani Tańskiej i pani Budziszowej.

— To wszystko nic mnie nie obchodzi! — rzekł w podnieceniu pan Olszowski. — Niech udowodnią, że na kartce napisany był adres tamtej pani.

— Doktorowa potwierdzi — zauważył Szota.

Olszowski wiedział, że jego prawa do dziecka, oparte na pomyłce, są żadne. Rozum mówił mu roztropnie, że nie ma rady i że Basię trzeba będzie oddać, lecz serce buntowało się gwałtownie. W sercu tym Basia rozparła się w pełnej chwale. Olszowski przyglądał do złotej dziewczynki i drżał na myśl, że mu ją odbiorą.

— Basia jest zupełną sierotą — pocieszał się skwapliwie — a ta jakaś panna Stanisława Olszańska nie jest krewną. Nie posiada żadnych praw do dziewczynki... Wprawdzie matka Basi ją prosiła o opiekę, ale tak twierdzi jedynie pani doktorowa... Nie ma żadnego dokumentu, stwierdzającego to ponad wszelką wątpliwość. Ho, ho! To tak łatwo nie pójdzie! Będę walczył... Będę walczył! — krzyknął głośno, spojrzawszy na Basię, rozbawioną i szczęśliwą.

Dziewczynka czuła się w tym domu jak w siódmym niebie. Opiekowano się nią jak królową, wszystko było na jej zawołanie. Znoszono jej lalki i książeczki z obrazkami, słodycze i fatałaszkę. Jej najbardziej fantastyczne rozkazy spełniano z radością. Ponieważ wyraziła głośne i namiętne uznanie jakiemuś kundlowi widzianemu na ulicy, już nazajutrz kupił jej wujcio pieska, małego foksteriera, noszącego dziwaczne imię Kibic. Było to indywiduum¹⁵⁴ zmyślne i dotknięte obłędem radości. Już w wieku ośmiu miesięcy zdradzał niepospolity spryt urwipolcia. Czarnymi paciorkami mądrych ślepiów spenetrował od razu wszystko i znał wybornie sztukę wykradania rzeczy smakowitych. Kierując się wielką przemyślnością, pojął bez dłuższych namysłów, że jedyną istotą ważną w tym domu jest Basia; że pan Olszowski jest u niej pod pantoflem¹⁵⁵, a z Michałkiem bardzo liczyć się nie trzeba. Wobec tego Basi „przysiągł miłość, szacunek i posłuszeństwo bez granic”, poza tym gotowość stoczenia w jej obronie walki na śmierć i życie z najpotężniejszym wrogiem. Ponieważ żaden potężny wróg dotąd się nie zjawił, Kibic zaprawiał swego rycerskiego ducha we wrzaskliwym oszczekiwanii szafy i pieca, dwóch nieczułych bałwanów. Na każdy odgłos jeżył włosy na karku, aby w ten sposób przerazić cały świat. Nie robiło to najmniejszego wrażenia na Basi, która tego strasliwca miętoszyła na wszelkie możliwe sposoby, jej jednak wolno było wszystko. Na jej cześć Kibic wywijał czasem wspaniałą „taniec ogona”, który polegał na zawrotnym kręceniu się w kółko i chwytaniu zębami tej krótko obciętej psiej ozdoby. Wrzask psiaka i obłąkane, radosne okrzyki Basi tworzyły orkiestrę wręcz jerychońską¹⁵⁶, gdyż mury drżały. Kibic wałęsał się za dziewczynką jak cień; w metodzie tej było wiele miłości, ale i wiele sprytnego wyrachowania, dość często bowiem zdarzało się, że Basia miała w rączce czekoladę. Po krótkiej chwili Kibic umiał ją wycygnąć w sposób oburzający. Był to wyjątkowy obwieś¹⁵⁷ i zapowiadało się, że w najbliższej przyszłości wyrośnie na zbrodniczą znakomitość. Tymczasem wprawiał się w swoim rzemiośle, rozdzierając puchowe poduszki i gryząc dywany oraz pantofle. Sprawiedliwie należy przyznać, że lalki Basi tarmosił na jej wyraźne żądanie, oboje bowiem chcieli dojsz koniecznie, co każda z nich ukrywa w swoim wnętrzu. Każda cierpiała też na „rozdarcie brzucha”.

¹⁵²stuoki — nawiązanie do Argusa (w mitologii greckiej stuoki potwór, potrafiący obserwować wszystkie kierunki jednocześnie). [przypis edytorski]

¹⁵³wykoncypować — wymyślić. [przypis edytorski]

¹⁵⁴indywiduum — poszczególne osoba, postać, osobnik. [przypis edytorski]

¹⁵⁵być pod pantoflem — wykazywać całkowitą uległość. [przypis edytorski]

¹⁵⁶jerychoński — niezwykle głośny; nawiązanie do trąb jerychońskich, których dźwięki, według Biblii, przyczyniły się do zburzenia murów Jerycha. [przypis edytorski]

¹⁵⁷obwieś — hultaj, nicpoń. [przypis edytorski]

Szczęście Basi było w tych warunkach całkowite i doskonałe. Dzień był pełen śmiechu i radości, a kończył się długą i bardzo złożoną ceremonią udawania się na spoczynek. Tylko wujcio posiadał przywilej układania książniczki do snu. Musiał siedzieć przy niej i trzymać jej rączki w swojej ręce, przemawiając pieszczotliwie i obiecując na następny dzień niezmierne, dotąd nie widziane, rozkoszne awantury. Gdy Basia łaskawie usnęła, pan Olszowski odchodził na palcach, a na straży pozostawał Kibic, gotów do zrobienia piekielnego hałasu, gdyby ktoś zbliżył się do najjaśniejszej panny Barbary.

W niezmaconą, jasną pogodę tego żywota musiało wkraść się coś chmurnego, gdyż wujcio Olszowski od kilku dni stracił ochotę do zabawy. Michałek siedzi cicho, w kuchni też jest jakoś dziwnie. Jeden Kibic machnął krótkim ogonkiem na wszystkie tajemnicze sprawy tego świata i wśród namiętnej żądz przygód, oszalały wiercipięta, umoczył noskę w kałamarzu¹⁵⁸ pana Olszowskiego, co Basię doprowadziło do „pęknięcia ze śmiechu”.

Zdumiona jest cokolwiek, że wujcio nie zdradza ochoty do takiej samej reakcji. Przyszł do niego jakiś pan, którego sobie Basia mętnie przypomina, i obaj bardzo żywo o czymś rozprawiają. Ponieważ jest to grubym nietaktem z ich strony, więc Basia usiłuje się obrazić, a Kibic wrzaskliwie daje wszystkim obecnym do zrozumienia, że nie należy tajemniczo szeptać, skoro w towarzystwie znajduje się dama.

Nagle pan Olszowski chwytą Basię, podnosi ją w górę i tuli w ramionach.

— Basieńko! — rzekł. — Czy bardzo kochasz wujcia?

Czułe serce Basi nie umie chować w sobie zawziętości, więc dziewczynka przytuliła się do swojego najukochańszego wujcia i tak go ścisnęła, tak ścisnęła, że temu dorosłemu panu wycisnęła jakąś wilgoć z oczu.

Szot patrzył wzruszony i uśmiechał się rzewnie.

— Nie dam cię, nie dam cię, maleńka! — szepnął gorąco pan Olszowski.

W tej chwili spojrział zalekły w stronę drzwi. Obaj zaczęli nasłuchiwać.

Na schodach słychać było jakiś niezwykły tumult¹⁵⁹ i rejewach¹⁶⁰. Najpierw zagrzmiął wielki głos Walentowej jak ryk gadającej basem armaty. Odpowiedziały mu trzy inne, cokolwiek cieńsze wprawdzie, lecz szybkostrzelne. Początkowo brzmiały z osobna, potem związały się razem i spletały w nieharmonijny chór. Znowu ochryply bas przykrył je i stłumił, jakby ktoś na tryskającą licznymi strugami fontannę położył ciężki kamień, lecz napór głosów był tak silny, że solo¹⁶¹ dzielnej pani Walentowej zaczęło chwiać się, słabnąć i konać jak zamierające echo. Zgiełk nie ustawał. Musiano tam na schodach grozić sobie zadawaniem mąk i gwałtowną śmiercią, trudno bowiem było przypuścić, że w ten namiętny sposób rozmawiano o pogodzie.

— Przyszli! — jęknął Olszowski.

— Kto to przyszedł? — zapytała Basia z nagłym zainteresowaniem.

— Słuchaj, Basieńko... To po ciebie przyszli... Nie rozumiesz, ale to wszystko jedno... Powiedz mi tylko... Zastanów się i powiedz: czy chcesz odejść od wujcia?

— Nie chcę! — z należytą energią oświadczyła Basia.

— Basiu, zrozum, jeśli cię zapytają, czy chcesz odejść, co powiesz?

Dziewczynka długo gryzła to pytanie jak gorzką czekoladę i nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, zaczęła całować twarz pana Olszowskiego.

— I ja mam oddać to dziecko? — krzyknął on. — Czy pan widzi, jak ona mnie kocha?

— Widzę — odrzekł cicho Szot. — Ale jej nie będą pytali...

W tej chwili do pokoju wśliznął się błądy ze wzruszenia Michałek, który stał na straży na wysuniętej placówce¹⁶².

— Już są pod drzwiami — oznajmił szeptem. — Walentowa nie dała rady, bo są trzy. Trzem babom nie poradzi... Co robić, proszę pana?

— Weź Basię, ukryj się z nią w gabinecie i ani mru-mru... Nie! Czekaj... Ja tracę głowę, panie Szot... Niech pan idzie z dzieckiem... Michałek będzie strzegł drzwi.

— Czy pan myśli się bronić? — zapytał Szot gorączkowo.

¹⁵⁸kałamarz — pojemnik na atrament. [przypis edytorski]

¹⁵⁹tumult — zamieszanie. [przypis edytorski]

¹⁶⁰rejewach (pot.) — hałas, zgiełk. [przypis edytorski]

¹⁶¹solo — tu: pojedynczy głos. [przypis edytorski]

¹⁶²placówka — tu: miejsce bronione przez żołnierzy. [przypis edytorski]

— A co? Będę się bronił! — krzyknął Olszowski. — To przecież napad!

— Ja nie śmiem radzić, panie autorze, ale może będzie lepiej, jeśli się wszystko od- będzie bez głośnej awantury. Skandal panu nie pomoże, a drogą traktatów¹⁶³ może da się cokolwiek uzyskać. O, dzwonek!...

Chwycił Basię i znikł za drzwiami. Kibic wahał się przez chwilę, czy szukać zaczepki z tym kimś na zewnątrz czy wziąć udział w ucieczce swojej pani. Drzwi jednak już się za nią zamknęły, a nikt nie pomyślał o ich otwarciu; wobec tego zawył przeciągle, rozdzierająco cienkim skowytem, pełnym niewysłowionej żalości i poczucia krzywdy. Głos ten musiał przyprawić o gniew wrogą armię, czekającą za drzwiami na ich otwarcie. Jak nieprzyjaciel, nie otrzymawszy odpowiedzi na wezwanie do poddania twierdzy, zaczyna taranami¹⁶⁴ szturmować¹⁶⁵ jej bramy, tak poczynali sobie też najeźdźcy. Ponieważ było mało prawdopodobne, aby przywlekli ze sobą tarany i wieże oblężnicze¹⁶⁶, należało przypuścić, że hetman¹⁶⁷ ich tłucze o drzwi pięściami, odgłosy bowiem były dudniące.

Michałek zerknął w rozpacz na swego pana, a ten spojrzał bladym wzrokiem na chłopaka.

— Rozbiją drzwi! — szepnął Michałek ze zgrozą. — Niech pan krzyknie, aby poszły precz!

Pan Olszowski, zrozumiawszy, że Szot miał wiele słuszności, doradzając unikanie głośnej awantury, myślał przez chwilę, a potem rozkazał z rezygnacją:

— Otwórz, Michałku!

Chłopak, jak wierny żołnierz, dzielący nieszczęsny los dowódcy, podszedł ze spuszczoną głową spełnić rozkaz.

Przez otwartą bramę twierdzy wtargnęła burza: na czele dreptała szybkimi krokami babka, wódz zastępu. „Z racji wieku i urzędu ten zaszczyt jej się należy”. Za nią maszerowała twardym krokiem pani Budziszowa. Mówiono kiedyś, że „Trawa nie porośnie tam, gdzie uderzył kopytem koń tatarski”¹⁶⁸. Gdyby na posadzce mogła wyrósć trawa, marny byłby jej los po przejściu pani Budziszowej. Panna Stanisława szła w straży tylnej — najcichsza ze wszystkich i jakby zaleźniona.

Olszowski stał na środku pokoju, na oko spokojny, lecz z burzą w sercu. Był bladym i dość ciężko oddychał. Jako człowiek wytworny nawet wobec wroga, pochylił głowę w ukłon i rzekł głosem wprawdzie mało serdecznym, lecz pełnym szacunku:

— Witam panie! Chociaż jestem zdziwiony...

— Ładnie nas pan wita — rzekła babka z przekąsem. — Najpierw jakaś koszmarna czarownica napada nas w bramie z miotłą w ręku, potem każą nam czekać przy drzwiach, a teraz namówił pan tego kundla, by wył.

— Michałku, zabierz psa! — zawołał Olszowski. — Czym mogę paniom służyć? Nie ukrywam, że jestem nieco zdziwiony tą nagłą wizytą.

— Tere-ferre! — krzyknęła Budziszowa. — Konfitury pięknych słówek może pan sobie darować. Mów pan prędko: gdzie jest dziecko? Gdzie jest Basia?

— Basia jest u mnie — rzekł twardo Olszowski. — I pozostanie u mnie!

Doktorowa chciała krzyknąć, ale ją „zatkało”. Podniosła jedynie obie ręce w górę na znak przeraźliwego oburzenia i spojrzała na babkę. Pani Tańska przyglądała się przez długą chwilę Olszowskiemu i rzekła spokojnie:

— O tym dopiero pogadamy, ale na siedząco. Chyba pozwoli pan usiąść starej babinie, skoro nie udało się panu zgładzić jej przy pomocy tej czarownicy z miotłą?

Olszowski czym prędzej podsunął jej krzesło i szerokim gestem zaprosił resztę armii do zajęcia miejsca. Panna Stanisława usiadła, doktorowa wołała pozostać w stojącej gotowości do boju.

— Dlaczego pan chce zatrzymać dziecko? — zapytała pani Tańska.

¹⁶³traktat — tu: ważna umowa międzynarodowa. [przypis edytorski]

¹⁶⁴taran — belka, służąca dawniej do burzenia murów i bram. [przypis edytorski]

¹⁶⁵szturmować — nacierać, atakować. [przypis edytorski]

¹⁶⁶wieża oblężnicza — rodzaj ruchomej maszyny oblężniczej, używanej do szturmowania murów obronnych. [przypis edytorski]

¹⁶⁷hetman — tu: najwyższy dowódca wojskowy w dawnej Polsce i na Litwie. [przypis edytorski]

¹⁶⁸Trawa nie porośnie tam, gdzie uderzył kopytem koń tatarski — parafraza fragmentu utworu George’a Byrona (1788–1824) pt. *Mazepa*: „A gdzie koń spahów ziemię nogą zryje, Grunt się skrawawiony trawą nie okryje”. [przypis edytorski]

— Bo je kocham! — odrzekł gwałtownie znakomity pisarz.

— Kocha je pan? To bardzo ładnie... Nie każdy mężczyzna jest potworem, czasem zdarzy się taki jak pan. Cóż z tego jednak? Dziecko dostało się do pana przez pomyłkę...

— Nic o tym nie wiem. Proszę szanownej pani... Oto tu jest kartka...

— Ja ją pisałam! — zawołała Budziszowa, odzyskawszy głos.

— Być może, lecz na tej kartce można odczytać wyraźnie mój adres!

— Niech pan nie udaje głupiego — mówiła doktorowa. — I pan wie, i my wiemy, w jaki sposób nazwisko „Olszańska” zostało przerobione na „Olszowskiego”. Niech pani babcia zwróci temu panu uwagę...

— Ja zwracam panu uwagę — rzekła babcia — że jeżeli ten kundel nie przestanie wycić za drzwiami, to się stanie nieszczęście. Poza tym myślę, że pan jest rozumnym człowiekiem. Podobno pisze pan książki. Wprawdzie żadnej z nich nie czytałam, bo ja mam siedemdziesiąt lat i tych waszych nowoczesnych hokus-pokus nie rozumiem, ale przypuszczam, że do napisania najgłupszej książki trzeba mieć odrobinę oleju w głowie. Moja wnuczka — mówiła, wskazując laską pannę Stanisławę — opowiada, że pańskie książki są bardzo piękne.

— Ależ, babciu...

— Mówiłaś, więc się nie zapieraj. Wspominam o tym dlatego, że jeżeli ten pan potrafi pisać mądre książki, w takim razie będzie miał też dość rozumu, aby oddać dziecko, które do niego nie należy. Basia została powierzona mojej wnuczce.

Pan Olszowski spojrzął szybko na śliczną panienkę, która skinęła głową, aby stwierdzić, że najśłodszy miód prawdy spływa z ust jej babki.

— To dziecko — rzekła cicho panna Stanisława — jest dzieckiem mojej najwierniejszej przyjaciółki i jedynie ja mam obowiązek otoczenia go opieką. Niech pan nie czyni trudności... Jestem wzruszona pańskim przywiązaniem do Basi, sam pan jednak przyzna, że jako mężczyzna nie będzie pan umiał jej wychować...

— Nauczy ją palić cygara i pić wódkę! — wtrąciła ironicznie pani Budziszowa. — A gdy mu ta zabawa spowszednieje¹⁶⁹, wyrzuci dziecko na mróz.

Olszowski spojrzął na nią chmurnie, ale czym prędzej zwrócił się do panny Stanisławy.

— Wychowanie tego dziecka powierzę mojej ciotce — rzekł spokojnie. — Może pani być pewna, że Basi nigdzie nie będzie lepiej niż u mnie.

Pani Tańska uderzyła laską o podłogę.

— Więc pan dziecka nie odda?

— Nie mogę, szanowna pani.

— Tak?! — krzyknęła doktorowa. I nabrawszy w płuca powietrza, wydała z siebie głos donośny i potężny:

— Basiu! Basiu! Chodź tutaj! Ciočia przyszła!

Odpowiedział jej pisk za drzwiami. Zanim Szot, nasłuchujący odgłosów burzy, zdołał powstrzymać dziewczynkę, Basia pchnęła drzwi i stanęła w nich, mocno zaciekawiona.

— Jest, jest! — wołała doktorowa i wyciągnęła ku niej rękę. — O Basieńko!

Czy głos pani Budziszowej był zbyt donośny i gruby, czy też obecność nieznanych osób przestraszyła dziecko — tego dość niepodobna. Dość, że Basia pędem podbiegła do Olszowskiego i schroniła się w jego ramionach.

— Oto jest odpowiedź Basi! — zawołał Olszowski triumfalnie.

— Nie poznajesz mnie, dziecinko? — zapytała najśłodszym głosem Budziszowa. — To ja, ciocia!

Basia spojrzała kącikiem ocząt, nie zdoławszy zaś odszukać w pamięci wizerunku tej dziwnej pani, objęła rączką szyję swojego obrońcy i przytuliła twarz do jego twarzy.

— Otumaniał niewinne dziecko — rzekła doktorowa z rozpaczą. — Nie ma innej rady, proszę pani babci, tylko trzeba iść po policję.

Babka nie odpowiadała, patrząc z tajemniczą zadumą na tego miłego pana i na śliczne dziecko, serdecznie się do niego tulące.

— Czymże pan ją karmi? — zapytała ku powszechnemu zdumieniu.

Olszowski spojrzął na panią Tańską życzliwie i szybko zaczął wymieniać przedziwne nazwy potraw.

¹⁶⁹spowszednieć — stać się zwyczajnym, utracić czar nowości. [przypis edytorski]

— Za wiele słodczy, ale na ogół dobrze — oświadczyła babka.
— Kupiłem sobie podręcznik o karmieniu dzieci! — zawołał Olszowski. — Zresztą Walentowa...

— To ta z miotłą? Rozumiem... Ale na dłuższą metę wychowanie będzie chodziło obłąkanymi drogami. Któregoś dnia ta dama z miotłą nakarmi dziecko baraniną w kapuście i trzeba będzie wołać doktora. Niech pan pomyśli o tym, co będzie dalej.

— Mówiłem już... Moja ciotka...

— Czy to panna?

— Tak, proszę pani.

— A skądże panna może znać się na chowaniu dzieci?

— Jeśli jestem dobrze poinformowany, wnuczka szanownej pani też jest panną.

— Tak, ale ja jestem babką! Ja własnego tałatajstwa¹⁷⁰ wychowałam siedmioro — zawołała pani Tańska. — Wychowam i tego bąka¹⁷¹.

Olszowski zrozumiał, że w łaskawym zainteresowaniu czcigodnej matrony¹⁷² mieści się wiele chytrłości. Chciała go opleść pajęczyną i chwycić Basię jak muchę.

— Być może — rzekł posepnie. — Ale ja dziecka nie oddam.

— Chodźmy po policję! — krzyknęła doktorowa. — To wariat! Basiu, pójdziesz z ciocią?

— Nie pójde! — oznajmiła Basia spoza głowy Olszowskiego. Trzy kobiety zaczęły spoglądać na siebie bezradnie, wreszcie pani Tańska powiedziała:

— Czy pan pozwoli, abyśmy się naradziły w przyległym pokoju?

Nie czekając na odpowiedź, wskazała łaską swojej armii drzwi na lewo. Olszowski został sam z Basią w ramionach i tulił ją przez chwilę gorąco do piersi. Potem zawołał ściszym głosem:

— Panie Szot!

— Wyrwała mi się... — zaczął aktor.

— Niech ją pan weźmie i lepiej pilnuje. Te panie naradzają się.

Czekał cierpliwie przez pół godziny, nasłuchując zmańczonych głosów damskiego sejmku. Narady musiały być burzliwe i namiętne, czasem bowiem tryskał w górę podniecony głos pani Budziszowej i słychać było uderzenie o podłogę marszałkowską¹⁷³ łaską babci.

Wreszcie otworzyły się drzwi i kobiety wyszły z powagą. Pani Tańska, zajmwszy swoje dawne miejsce, ogłosiła urzędowym głosem:

— Panie Olszowski! Sprawa jest przykra, a wobec pańskiego uporu niemal rozpaczliwa. Pan nie chce oddać dziecka, a my je musimy odebrać. Mogłybyśmy oczywiście zażądać pomocy prawa i jak pani doktorowa słusznie twierdzi, „dokończyłby pan swe życie w kajdanach, na więziennej słomie”... Uczyniłybyśmy tak niewątpliwie, gdybyśmy miały do czynienia z brutalem. Ja jednak wzięłam pana w obronę, bo jestem wzruszona pańskim przywiązaniem do dziecka.

— Dziękuję — bąknął Olszowski.

— Nie ma za co... Zdaje się, że jest pan porządnym człowiekiem, chociaż w tamtym pokoju kurz leży co najmniej od dwóch tygodni, a nad piecem jest pajęczyna... Policja tutaj na nic. Będzie awantura i więcej gadania, niż potrzeba. Aktorzy narobili bigosu, ale po co my wszyscy mamy się ośmieszać na scenie? My posiadamy do dziecka prawo formalne, pan powołuje się na prawo serca. Czy nie uważa pan, że można by tę sprawę załatwić ugodowo?

— W jaki sposób? — spytał Olszowski z niepokojem.

— Przez sąd polubowny¹⁷⁴. Zaprosimy dwóch niezainteresowanych ludzi i niech nas sądzą. Przecież to chyba uczciwe?

Olszowski zamyślił się głęboko. Rozumiał dobrze, że ta rozsądna staruszka mówi mądrze i że jego sprawa będzie przegrana, jeśli ją będzie sądzić prawo. Pomyłka wyjdzie na

Konflikt, Sąd

¹⁷⁰talatajstwo — hołota, hałastrza, motloch. [przypis edytorski]

¹⁷¹bąk — tu: małe dziecko. [przypis edytorski]

¹⁷²matrona — tu: dostojna, starsza kobieta. [przypis edytorski]

¹⁷³marszałkowski — tu: należący do marszałka, przewodniczącego sejmku lub senatu. [przypis edytorski]

¹⁷⁴sąd polubowny — niepaństwowy sąd, orzekający w niektórych sprawach cywilnoprawnych. [przypis edytorski]

jaw, doktorowa złoży przysięgę i będzie po wszystkim: odbiorą mu Basię na zawsze. Jego serdeczne przywiązanie i jego miłość nie wzruszą prawa, za to w sądzie polubownym można pokładać jaką taką nadzieję.

Potał gwałtownie ręką czoło.

— Niech się pan nie upiera — usłyszał tuż przy sobie cichy, głęboko wzruszony głos panny Stanisławy. — To dziecko jest i tak już bardzo nieszczęśliwe, po cóż jeszcze wnosić w jego smutne życie niezgodę, spory i jałową wojnę? Ja widzę, jaki pan jest dobry... Niech Bóg panu zapłaci za miłość do tej małej... Dlatego nie chciałabym, abyśmy się rozeszli w gniewie... Może się uda znaleźć jakieś możliwe wyjście z tej niemożliwej sytuacji...

— Słyszysz pan? — huknęła Budziszowa, bliska łez z wielkiego rozczulenia. — Sama mądrość mówi przez tę panią.

— Ona ma to po mnie — rzekła skromnie babcia.

— Więc jakże, drogi panie? — spytała prawie szeptem panna Stanisława.

Olszowski był błydy i miał taką minę, jakby nasłuchiwał głosów z daleka.

— Dobrze! — rzekł krótko.

— Gdybym nie miała siedemdziesięciu lat, zakochałabym się w panu! — ogłosiła babcia. — Zresztą bardzo mi pan przypomina jednego mego kuzyna, który spadł z konia i skręcił sobie kark.

— Co mam zrobić? — spytał Olszowski niecierpliwie.

— Niech pan zaprosi jednego ze swych przyjaciół i przyjdzie do mnie jutro o piątej. Ja zaproszę kogoś z naszej strony. Ale, ale... Czy pan da mi słowo, że pan dziecka nie ukryje ani go nie wywiezie?

— Babciu! — krzyknęła panna Stanisława.

— Zdarzały się już takie wypadki — tłumaczyła pani Tańska. — Mnie też chciało porwać... Wprawdzie miałam wtedy już dwadzieścia lat, ale chciano. No, już dobrze, dobrze... Niech pan tylko nie daje Basi tyle słodyczy. Lepiej raz na dziesięć dni, na przeczyszczenie. Ja dożyłam siedemdziesięciu lat, bo dawniej... Ale to wszystko jedno.

Wyrok sądu polubownego:

„Zważywszy trudną do rozwikłania zawilść sporu i obustronną dobrą wolę, mającą na względzie jedynie szczęście dziecka, my, podpisani, orzekamy: Barbara Bzowska ma przebywać — aż do dnia uzyskania pełnoletności lub odnalezienia bliższej rodziny — przez miesiące parzyste u Stanisława Olszowskiego, a przez miesiące nieparzyste u Stanisławy Olszańskiej. Obu stronom przysługuje prawo zamiany tych terminów, przedłużania ich i skracania po uprzednim porozumieniu. Zarówno p. Olszowski, jak i p. Olszańska przyrzekają dziecku najtroskliwszą opiekę i usilne starania o zdrowie jego duszy i ciała. W razie sporów, które nie mogą być przewidziane, obie strony wezwą zawsze sąd polubowny.

Podpisano:

Ksiądz Mikołaj Mościcki¹⁷⁵, proboszcz

Kornel Makuszyński, powieściopisarz”.

7. TAK SIĘ MUSIAŁO SKOŃCZYĆ

— Babciu, chodź biegać — zaproponowała Basia pani Tańskiej.

— Moje dziecko, przecież ja mam siedemdziesiąt lat! — powiedziała pani Tańska z goryczą.

— No to co, że siedemdziesiąt lat! — rzekła Basia zuchwale.

Babka *obstupuit*¹⁷⁶. Znieruchomiała na chwilę jak „Dafnis¹⁷⁷ w drzewo bobkowe zamieniona”¹⁷⁸, nagle jednak oczy jej rozbłyły.

— A wiesz, dziewczyno, że masz rację! — wykrzyknęła promiennie i rozpoczęła z Basią bieg na przełaj.

Zabawa, Starość, Młodość

¹⁷⁵Mikołaj Mościcki — być może chodzi o ks. Mikołaja Mościckiego, który przed II wojną pracował przy niektórych filmach jako konsultant religijny (Makuszyński mógł go znać osobiście). [przypis edytorski]

¹⁷⁶*obstupuit* (łac.) — zdziwiła się, osłupiała. [przypis edytorski]

¹⁷⁷*Dafnis* a. *Dafne* — w mitologii greckiej jedna z nimf; ukochana boga Apollina, która odrzuciła jego zaloty i została zamieniona w drzewo laurowe. [przypis edytorski]

¹⁷⁸*Dafnis w drzewo bobkowe zamieniona* — nawiązanie do utworu Samuela Twardowskiego (1595/1600–1661) pt. *Dafnis drzewem bobkowym*. [przypis edytorski]

Dobiegłszy do kanapy rozpartej szeroko, padła na nią bez ducha, jak ów posłaniec¹⁷⁹, co z Maratonu¹⁸⁰ jednym tchem przybiegł do Aten. Słynny maratończyk nie zwałił się wprawdzie na kanapę, inne natomiast szczegóły w tym sportowym porównaniu są ścisłe.

Panna Stanisława, zwabiona hałasem, załamała ręce, splótłszy je w ósemkę.

— Na Boga, co babcia wyprawia?

— Nic nie wyprawiam... Młodziej! — oświadczyła babka gromko. — Nie jestem jeszcze taka stara, aby trochę nie pobiegać.

— Przecież babcia ma siedemdziesiąt lat!

— Siedemdziesiąt? Może być! I cóż z tego? Byli tacy, co w moim wieku fikali koziolki...

Basia, dowiedziawszy się o tym, z niebiańskim zachwytem chciała właśnie namówić babcie do natychmiastowej demonstracji¹⁸¹ niesamowitej legendy, lecz w tym momencie wszedł pan Olszowski. Trzeba go było powitać z piskiem i rzucaniem się na szyję.

Tego dnia kończył się miesiąc pobytu Basi u panny Stanisławy, więc pisarz zjawił się po „odbiór pakunku”. Pilnował terminów co do godziny. Roztropny wyrok Salomonowy dwóch niepospolicie świątłych¹⁸² mężów, którzy go wydali, trwał w swej mocy i dotąd nie budził żadnych zastrzeżeń. Ta wesoła historia trwała już od roku i obyla się bez tarć i niespodziewanych wybuchów. Olszowski zyskał sobie gorącą sympatię babci, która, chcąc mu ją okazać w sposób nieprawdopodobnie serdeczny, obiecywała niezmiennie, że przeczyta jego książki.

— Przeczytam je, drogi panie, kiedy będę chora. Jak długo jestem zdrowa, szkoda czasu.

— Oby ich droga pani wobec tego nigdy nie przeczytała! — śmiał się Olszowski.

— Bardzo rozumnie pan gada! — odpowiadała babka. — I za to pana lubię, i za miłość do Basi. Czy panu to dziewczynisko nie dokuczyło jeszcze? To dziwne! Ja jestem zmachana podczas jej pobytu jak koń po wyścigach. Wczoraj musiałam wylazić na komodę, ale dziękowałam Bogu, że nie na szafę. A ten pański przeklęty pies wyl z radości... Ten kundel ma pomieszanie zmysłów. Gdy nie szczeka, wtedy kradnie. A wie pan, kto tu był wczoraj z wizytą u Basi? Ten stary aktor, Walicki. Bardzo miły człowiek, tylko że służąca, która mu otwierała drzwi, zemdlała, bo taką zrobił minę. Czemu on wyprawia z gębą takie sztuczki? Jego też bardzo lubię. Zatrzymałam pana Walickiego na obiedzie, bo Basia nie chciała go wypuścić. Pytam go, czy cielęcina była dobra. Nie odpowiedział nic, tylko zazgrzytał, a Basia zaraz po nim. „To może sos się udał?” — ciągnę dalej za język tego mandryla. „Sos ten byłby dobry do zalepiania okien na zimę!” — odpowiedział głosem z brzucha. Bardzo zabawny jegomość... Stasia przepada za nim. Coś bym jeszcze panu powiedziała, ale się boję, że się pan wygada. Mężczyźni to straszni plotkarze... Kobieta nie zdradzi tajemnicy, nawet gdyby z niej pasy darto, ale mężczyźni...

— Au, au, au! — zawył przeciągle Kibic.

Pan Olszowski pomyślał, że to mądry pies.

— Przysięgam pani, że ja nie zdradzę! — rzekł z uśmiechem.

— Więc powiem panu... Moja Stasia przepada nie tylko za tym hebesem¹⁸³ ze zbojcką gębą, ale i za panem!

— Nie może być!

— Może być, a pan poczerwieniał jak rak. Pewnie pan tymi swoimi książkami zawrócił dziewczynie w głowie. Teraz pan rozumie, dlaczego ja boję się je czytać? Miałam dwóch... Nie! O ile sobie przypominam, miałam trzech mężów, tylko mi się trochę rachunek pomieszał... Wystarczy! Czemu się pan śmieje? Mogę jeszcze wyleźć na komodę, mogłabym się machnąć kolejny raz za mąż.

— Niech się babcia machnie! — wykrzyknęła Basia z entuzjazmem.

¹⁷⁹ów posłaniec — goniec, który według legendy przebiegł ok. 40 km z Maratonu do Aten z wieścią o zwycięstwie, po czym zmarł z wyczerpania; wydarzenie to było inspiracją dla powstania współczesnego biegu maratońskiego. [przypis edytorski]

¹⁸⁰Maraton — miejscowość w Grecji, położona na wybrzeżu Attyki. [przypis edytorski]

¹⁸¹demonstracja — tu: pokaz. [przypis edytorski]

¹⁸²świątły — wykształcony i doświadczony. [przypis edytorski]

¹⁸³hebes (daw.) — tępak, głupiec. [przypis edytorski]

— Słyszysz pan? — śmiała się Tańska. — Bóg przemawia przez usta dziecka. Nie wiedziałam, że ten skarb tu się płacze.

Znakomity pisarz zamyślił się i patrzył w ścianę, jak gdyby działał się na niej niesłychane historie, pani Tańska zaś wpatrywała się w niego z czujną, łapczywą uwagą, jak rybak wpatruje się w splawik wędk: chwyciła ryba czy nie? Pani Tańska bowiem, pierwszorzędny dyplomata, miała swoje tajemne plany. Nikt o nich nie wiedział prócz kucharki, która przy tym ministrze grała rolę tajnego radcy. Była ona słynnym autorytetem w sprawach sercowych. Tępy człowiek, patrząc na świeżą polędwicę, pomyślałby głupio, że to tylko polędwica; w jej oczach przybierała ona kształt cierpiącego, krwawiącego serca, które nieszczęśliwa miłość przywiodła do ostatecznej zguby. Na tajemnych naradach z panią Tańską oświadczyła dobitnie, że prowadzenie dwóch domów dla Basi jest jawnym nonsensem i że panna Stasia powinna wyjść za pana Olszowskiego.

— To nic — mówiła roztropnym szeptem — że pan Olszowski nie ma uczciwego zajęcia i musi pisać książki. Gdyby trochę pochodził i poszukał, pewnie by znalazł jakąś pracę i wtedy by go odeszło to pisanie. Takie czasy, proszę wielmożnej pani, że człowiek czepia się byle czego i musi wymyślać różne figle-migle, a potem staje się pośmiewiskiem. W naszym domu wszyscy go palcami pokazują, a jedna pannica z trzeciego piętra zawsze na schody wybiega, aby go zobaczyć — jak cudaka. Niechby się tak ożenił z naszą panienką, zaraz by się to skończyło. Chłopisko musi być dobre, a wąs ma taki śliczny jak ten sierżant¹⁸⁴, którego mi odbiła jedna małpa z ulicy Złotej¹⁸⁵.

Babcia także zajmowała lekceważące stanowisko wobec literatury, pan Olszowski jednak bardzo się jej podobał. Nie był też w zamyśle babki do pogardzenia fakt, że na „wyprawnej”¹⁸⁶ bieliźnie nie trzeba by zmieniać znaków. Inicjały¹⁸⁷ Stasi i pana Olszowskiego były przecież te same. To też dobra wróżba. Dlatego, gdy Basia spędzała czas w jej domu, zapraszała go często, a on skwapliwie korzystał z tych zaproszeń. Gdy pochwalił jakąś potrawę, babcia objaśniała go szeptem:

— To Stasia robiła!

Panna Stanisława, usłyszawszy to pewnego razu, zaprotestowała gwałtownie:

— Po co babcia opowiada panu Olszowskiemu takie rzeczy? Przecież babcia wie, że nie ja to robiłam, tylko Marcysia.

— I co z tego? Mam siedemdziesiąt lat i mogłam zapomnieć. A zresztą, ja wiem, co robię... Ho, ho! Stary ze mnie wróbel!... Czy ty myślisz, że mężczyzna ma serce? Gadanie! Może czasem i ma, ale zawsze ma przede wszystkim żołądek.

— Ale co to wszystko ma znaczyć?

— Nic, nic... Dlaczego ma zaraz coś znaczyć? — chichotała babka, słynny dyplomata.

Słynny dyplomata — Talleyrand¹⁸⁸ w kiecce — nie zauważyła, że Basia przysłuchiwała się pilnie jej naradom z tajnym radcą kuchennym. Któż by zważał na berbecia dokazującego z obłąkanym psem?

Berbecę przeniósł się tego dnia do pana Olszowskiego z całym swoim żywym i martwym inwentarzem¹⁸⁹. Pobyt u mężczyzny, któremu można było włożyć na głowę i robić z nim, co tylko damska dusza zapragnie, uważała Basia za szczęśliwe wakacje. Z kobietami zawsze trudniej. Panna Stanisława zaczęła ją zapędzać do abecadła, a babka nauczała domowych porządków. Pani Tańska nigdy nie chorowała, raz jednak zmgogła ją, gdy Marcysia, mając wtedy głowę nadzianą szczęśliwą miłością, wylała mleko na dywan. Babcia dostała gorączki i leżała trzy dni. Aż dziw, że nie wołała o lód na nieszczęsną głowę teraz, kiedy lajdacki pies Kibic, niemający zielonego pojęcia o wstydlivej skromności, w obliczu całego świata czynił rzeczy, o których w wytwornym towarzystwie mówić nie wypada. U pana Olszowskiego panowała złota, najbardziej złocista wolność. Można było śmiać się przez cały dzień i wywracać dom do góry nogami. Mężczyzna wcale się nie liczy! Nic mu to nie szkodzi, że Michałek wozi Basię na dywan, a Kibic, nie mając nic lepszego do

¹⁸⁴sierżant — stopień podoficerski. [przypis edytorski]

¹⁸⁵Złota — ulica w warszawskich dzielnicach Śródmieście i Wola. [przypis edytorski]

¹⁸⁶wyprawy (daw.) — należący do wyprawy panny młodej. [przypis edytorski]

¹⁸⁷inicjał — pierwsza litera. [przypis edytorski]

¹⁸⁸Talleyrand, Charles-Maurice de Périgord (1754–1838) — francuski polityk i dyplomata, minister spraw zagranicznych Francji. [przypis edytorski]

¹⁸⁹inwentarz — majątek, dobytek. [przypis edytorski]

Literat, Pozycja społeczna,
Praca

Podstęp

roboty, obgryza liście palmy. Poza tym w domu dobrego wujaszka wiadomo bujne życie towarzyskie. Wciąż ktoś przychodził, śmiał się, gadał i odchodził. Przyjaciele pana Olszowskiego byli najmiłszymi ludźmi. Każdy zawsze coś przyniósł w kieszeni dla infantki¹⁹⁰ Barbary, a jeden z nich namalował Basię na obrazie, który Kibic z zachwytem oszczeakał. Rozkoszy było mnóstwo. Do największych należały wyprawy z wujaszkiem do parków i jazda automobilem¹⁹¹, o czym zawsze wiedziała stolica. Kibic bowiem, przez rozkosz pędu pozbawiony tej odrobiny zmysłów, którą posiadał, darł się jak opętany i szczeakał na ludzi, na domy, na latarnie — na wszystko zresztą, z czego składa się świat.

Dniem niezapomnianym było dla Basi przedstawienie teatralne. Trochę jej było markotno¹⁹², że nie zabrano tego idioty Kibica, ale zapomniała o tym szybko, niebotycznie przejęta. Stała obok pana Olszowskiego, siedzącego w pierwszym rzędzie tuż przed samą sceną. Miała wypieki na twarzy, jak zresztą cała obecna w teatrze dzieciarnia. Czegoś podobnego jeszcze chyba nie widziano na świecie! W wielkim blasku zjawiły się tęczne anioły i tak cudnie śpiewały, że pewnie niebo się otworzyło i było słycać, co się tam dzieje. Pastuszkowie przybieżeli i nawoływali się tak śmiesznie, że boki zrywać. Jeden wołał do drugiego: „Mój Macieju, ty nam powiesz, albowiem ty sam wszystko wiesz!”. Potem, gdy zasłona uniosła się w górę, pan Olszowski szepnął:

— Teraz uważaj, Basieńko!

Na tronie siedział straszliwy król Herod i tak nagle zaryczał, że wszystkie dzieci, jak zastrachane pisklęta, przytuliły się do swoich matek. Okropny to był widok! Srogi król toczył dookoła ponurym wzrokiem, jak gdyby szukał, kogo ma pożreć. Basia cofnęła się z lękiem i przyłgnęła do pana Olszowskiego. Przecież ten zły król może tylko ręką sięgnąć i porwie ją jak kurczę. Dusza dziewczynki zaczęła szukać ciemnego zakątka i byłaby odwiecznym zwyczajem uciekła do najciemniejszego — w pięty — gdyby król Herod nie zazgrzytał. Uczynił to tak przerażliwie, jak gdyby zgrzył garść orzechów. W ciemnej sali pisnęło przelekkłe dziecko. A Herod znów zgrzytnął tak, że mu się z zębów posypały iskry, i zakrzyknął piekielnym głosem: „Jam jest król Herod, potężny pan świata!”.

Wtedy stało się coś niesłychanego!

Basia zaczęła słycać jak oczarowana i nagle na jej zalękkłej twarzycze zjawił się szcze-śliwy uśmiech.

— Wujcio! — pisnęła z radością.

Zanim pan Olszowski zdołał ją powstrzymać, Basia jak sarenka przebiegła przez kilka stopni wiodących na scenę i z krzykiem rzuciła się w ramiona zdumionego Heroda. Berło¹⁹³ wypadło z jego krwawej ręki, dzikie spojrzenie przybrało wyraz cokolwiek głupawy, a gębę otworzył szeroko. Wszystkie dzieci w teatrze znieruchomiały, ujrawszy ten czyn nadludzkiej odwagi, bo przecież Herod jednym kłapnięciem paszczy pożre tę głupią dziewczynkę. Straszny król jednak tak całkowicie otumaniał, że zapomniał o swoich obowiązkach i zamiast schrupać niewinne stworzenie bez soli i pieprzu, zawył nadludzkim głosem:

— Basia!

Zrobił się nieprawdopodobny rwetes¹⁹⁴ i tumult, gdy dziewczynka jednym skokiem znalazła się na kolanach krwawego straszliwca i w radosnym opętaniu pociągnęła za jego kruczoczną brodę, spoza której, jak zza burzliwej chmury, ukazało się przerażone oblicze Walickiego, najbardziej krwawego Heroda wszystkich czasów.

W gazetach napisano o tym zdarzeniu, a Walicki przez cały tydzień nie pokazywał się ludziom na oczy.

— Jaki z ciebie łapserdacki Herod! — mówił do niego przyjaciel Szot. — Nawet dziecka nie przestraszysz!

— Poznała mnie po zgrzytaniu... — odrzekł Walicki śmiertelnie smutnym głosem.

Pan Olszowski serdecznie go przeproszał i pocieszał.

¹⁹⁰*infant, infantka* — tytuł nadawany dzieciom hiszpańskiej i portugalskiej rodziny królewskiej. [przypis edytorski]

¹⁹¹*automobil* (daw.) — samochód. [przypis edytorski]

¹⁹²*markotny* — przybity, smutny. [przypis edytorski]

¹⁹³*berło* — kuliste zakończona pałka, symbolizująca władzę królewską. [przypis edytorski]

¹⁹⁴*rwetes* — hałaśliwa, pospieszna bieranina. [przypis edytorski]

— Nawet ja pana nie poznałem — mówił. — Ale to dziecko tak pana kocha, że rozpoznaloby pana nawet w przebraniu diabła. Pan jest świetnym aktorem, a Basia jest nieznośną dziewczynką.

— Wczoraj kilkoro pędraków omal nie zemdląło na widowni! — rzekł z dumą Walicki.

Basia, której pan Olszowski wytłumaczył, że nie wolno było króla Heroda ciągnąć za brodę, wycalowała oblicze aktora, odnosząc dość niejasne wrażenie, że całuje szczotkę ryżową, więc morderca niewinnych młodzianków rozrzewnił się i obiecał, że już będzie dobry i nie będzie dybał¹⁹⁵ na niewiniątka.

Babcia Tańska tak się śmiała z tej awantury, że kucharka musiała ją mocno trzymać, aby się kobiecina nie rozleciała. Przyszedszy jednak do równowagi i do przyrodzonego rozsądku, udzieliła panu Olszowskiemu zbawiennych rad.

— Po co pan smarkulę prowadzi do teatru? Co to za pomysł? Ja byłam w teatrze po raz pierwszy, gdy doszłam do pełnoletności, a przecież zemdląłam, kiedy na scenie jakiś dziki Murzyn zadusił swoją biedną żonę.

— Otello¹⁹⁶! — śmiał się pan Olszowski.

— Ach, to pan zna tę sztukę? — zdziwiła się babcia, patrząc na niego z szacunkiem. — Myślałam, że już wszyscy zapomnieli o tym sztuczyle, bo to przecież grali przed pięćdziesięciu laty. Gdyby to teraz wystawiali, ten Walicki nie tylko że zadusiłby niewinną kobietę, ale by jej jeszcze dla wszelkiej pewności poderznął gardło scyzorykiem. Zaprosiłam go na niedzielę na obiad, ale pod warunkiem, że przyjdzie z przyprawioną brodą. A wie pan, co mi ten Herod odpowiedział? Powiada: „To zbyt cenne, proszę pani! U pani i bez tego można często znaleźć włos w zupie!”. Taki opryszek! Ale ja go lubię... Pan też niech przyjdzie, bo będzie indyk. Rodzice Stasi przysłali... Pewnie zdechł, bo teraz na indyki przyszła jakaś cholera, ale kto nie wie, ten zje.

Pan Olszowski nie zjadł jednakże indyka ani też pan Walicki nie przyczepił sobie sztucznej brody, bo stało się nieszczęście.

W piątek wieczorem zadzwonił telefon w mieszkaniu pani Tańskiej.

— Basia zachorowała! — mówił zdławionym głosem pan Olszowski. — Niech panna Stanisława...

— Już jedziemy! — krzyknęła babcia, nie pozwoliwszy mu dokończyć.

Panna Stasia nie mogła za nią nadażyć. Starowinka biegła przez ulice, nie zwracając na nic uwagi, byle szybko znaleźć auto. Po upływie dziesięciu minut zapytała, zdyszana:

— Co się stało, na Boga?

Dziewczynka była bardzo chora. Leżała rozpalona i niewiedząca o świecie. Krótko obcięte, płowe włoski, rozrzucone na białej poduszce, wyglądały jak żytni¹⁹⁷ wianuszek dokoła głowy. Rozchylone usteczka z trudem piły powietrze.

Pan Olszowski miał przerażenie w oczach i patrzył z niepokojem na lekarza, pochylonego nad Basią.

— Zapalenie płuc... — szepnął ten ostatni po chwili.

— O Boże! — jęknęła panna Stanisława.

Babka spochmurniała. Spojrzała na lekarza i spytała groźnie szeptem:

— Czy pan jest dobrym lekarzem?

Lekarz spojrział na nią z głębokim zdumieniem.

— Mam wrażenie, szanowna pani...

— Bo jeżeli sam pan nie poradzi, zawezwie się dwóch... Trzech...

— Myślę, że ja wystarczę, jeśli jednak szanowna pani...

— Daj pan spokój z tą „szanowną panią”... Niech się pan nie gniewa. Gadam głupstwa ze strachu, bo ja mam siedemdziesiąt lat. Czy to groźne?

— Nie będę ukrywał...

Pani Tańska załamała się i tak nagle osłabła, jak gdyby jej podcięto nogi.

Dziecko, Choroba

Lekarz

¹⁹⁵dybać (pot.) — mieć złe zamiary. [przypis edytorski]

¹⁹⁶Otello — tytułowy bohater tragedii Williama Shakespeare’a (1564–1616), powstałej prawdopodobnie w latach 1602–1604. [przypis edytorski]

¹⁹⁷żytni — zrobiony z kłosów żyta. [przypis edytorski]

— Panie doktorze... — mówiła słabiutkim, wymęczonym szeptem. — Niech pan ratuje to dziecko... To sierota... I cała nasza pociecha... Bóg panu zapłaci... No i ja też!... Niech ją pan ratuje!

— Uczynię, co tylko jest w ludzkiej mocy — odrzekł lekarz, wzruszony. — Śliczne, biedne dziecko!

Spojrzał z żywym współczuciem na trzy załękłe twarze i serdecznie, zachęcająco uśmiechnął się do każdej.

— Proszę mną rozporządzać... — mówił. — Zjawię się o każdej porze, w każdej chwili.

Potem odbył długą naradę z babką w osobnym pokoju.

Nie było można przenieść dziecka do mieszkania pani Tańskiej, więc dom Olszowskiego zamieniono w sanatorium, na którego czele stanęła ona. Po krótkiej, załękłej chwili słabości odzyskała swoją czerstwą¹⁹⁸, wspaniałą energię. Juliusz Cezar¹⁹⁹ w najsroźszej bitwie z Wercyngetyryksem²⁰⁰ nie dowodził genialniej niż ona. Siódme poty były na Michałka, a panna Stanisława i Olszowski przypominali Murzynów z najczarniejszych czasów niewolnictwa. Dzielną starowina walczyła o życie dziecka z dziką pasją. Gdyby mogła była ujrzeć na własne oczy wciąż zbliżającą się śmierć, byłaby jej porachowała kości²⁰¹. Przez kilka nocy nie zmrzyła oka, czujna na każdy szelest i na każde, najcichsze westchnienie Basi. Nie trzeba mu było mierzyć gorączki jakimś głupim termometrem — wrażliwa jak najczulszy przyrząd, kobieca ręka pani Tańskiej, położona na piersi dziecka, zdawała się nieomylna. Sędziwa²⁰² matka kilkorga dzieci znała dobrze wszystkie podstępne sposoby śmierci i wszystkie metody unikania jej pajęczych zasadzek.

Wspaniałe, wilcze, zawsze gotowe do śmiertelnej walki macierzyństwo obudziło się w niej raz jeszcze. Gorącym blaskiem rozżłociła się iskra w spopielałym życiu. Tylko ona naradzała się z lekarzem, tylko ona tkwiła przy drobnej, bezbronnej istocie jak żołnierz na warcie — opanowana, rozumna, zbrojna w siwe doświadczenie. Wesole jej oczy spoglądały teraz twardo i ostro.

— Nic tu po was! — rzekła do panny Stasi i do Olszowskiego.

Oni też czuwali ustawicznie. Panna Stasia miała podkrążone z bezsenności oczy, a Olszowski, milczący i ponury, nie wiedział, co ze sobą począć. Teraz zrozumiał, jak bardzo kochał to dziecko. Nie mógł ani czytać, ani pisać. Patrzył rozrzuwionym, najtkliwszym wzrokiem na tego bezbronego ptaka, nad którym pływa śmierć — bystrooki jastrząb. Czasem wybiegał na godzinę, aby zanieść wiadomość Walickiemu, Szotowi i swoim przyjaciółom. Babce całował ręce i bez jednego słowa cisnął je do swoich piersi.

Przyszła taka jedna noc, ta najgorsza, podczas której śmierć waha się: odejść czy pozostać? W pokoju Basi czuwała pani Tańska z lekarzem, który nie odchodził ani na chwilę. Olszowski siedział w gabinecie z panną Stanisławą i czekał. Milczeli oboje, patrząc sobie w oczy w nagłym przerażeniu, ile razy usłyszeli jakiś szmer.

Nad ranem babka stanęła we drzwiach. Miała promienie w oczach.

— Uratowana! — ogłosiła jakby z radosnym jękiem.

Olszowski tkwił przez moment na miejscu, jak gdyby nie mógł się poruszyć, a potem, zerwawszy się niespodziewanie, chwycił zdumioną babkę w ramiona i zaczął ją całować. Śmiał się, chociaż miał łzy w oczach.

— O babciu! Babciu! — gadał ze zdyszczym pośpiechem.

Pani Tańska, śmiejąc się, usiłowała wydobyć się z jego uścisku.

— Niech pan przestanie całować starą babę! Wprawdzie jestem przystojna, ale już dość... Już dość! A idźże pan do licha!

Babcia, wytrwawszy na pozycji prawie że straconej, zaczęła odsypiać wszystkie noce, pozostawiwszy na straży swoją wierną gwardię. Panna Stasia spędzała przy Basi całe dnie,

Rodzina, Choroba

Pies

¹⁹⁸czerstwy — tu: zdrowy, krzepki. [przypis edytorski]

¹⁹⁹Juliusz Cezar a. Gajusz Juliusz Cezar (100/102–44 p.n.e.) — rzymski polityk, wódz, dyktator i pisarz. [przypis edytorski]

²⁰⁰Wercyngetyryks (ok.82–46 p.n.e.) — wódz galijskiego plemienia Arweronów i przywódca powstania Galów, walczący przeciwko Juliuszowi Cezarowi. [przypis edytorski]

²⁰¹porachować kości — spuścić lanie, zbić. [przypis edytorski]

²⁰²sędziwy — stary. [przypis edytorski]

zaś Olszowski z pielęgniarką — noc. Łajdacko mądry Kibic, osowiaily²⁰³ dotąd i smutny na wygnaniu w kuchni, zrozumiał, że można już zawyć radośnie, i został dopuszczony do dziewczynki. Zanim zdołano go powstrzymać, w obłąkanym napadzie radości polizał jej nos i policzek, bladziutki jak mgiełka. Zrzucony przemocą z łóżka, wykonał wspaniały „taniec ogona”, bardzo wymyślny i urozmaicony.

Basia wracała do zdrowia powoli i zdawało się, że z promienistą ciekawością rozgląda się po świecie. Na jej ustach zakwitł uśmiech jak krokus. Potem zaczęła szczebiotać.

— Prędko wyzdrowieje, bo dużo gada — oświadczyła babka. — Prawdziwa kobieta, musi sobie odbić wszystkie stracone słowa.

Potem zaczął przychodzić wujcio Herod Walicki, aby i panna Stasia, i Olszowski mogli odpocząć. Urządzał dla Basi całe przedstawienia, wywracał oczami, ruszał uchem i włosami i zgrzytał tak cudownie, że dziewczynka płakała z radości.

Jednego dnia z obiadu u pani Tańskiej przyszli wszyscy troje razem.

— Co się tam dzieje, u Boga Ojca! — zapytała babka w przedpokoju.

Z pokoju Basi wylatywał ryk rozszalonej burzy — słychać było bulgotanie piorunów i poświsty wichru, głucho warczenia lwa oraz przeciągły skowyt wilka.

— To Walicki! — szepnął pan Olszowski.

— Dziecko umrze ze strachu — krzyknęła babka.

— Niech babcia słucha... — rzekła panna Stasia.

— Jeszcze, jeszcze! — wołała Basia. — To było bardzo śmieszne!

Walicki odsapnął i znowu zaczął:

— Uważaj, dziewczyno! Teraz będzie z *Króla Lira*²⁰⁴. Wielki monolog²⁰⁵, ha! Tamto było z *Hamleta*.

Rozległ się przeraźliwy jęk potwornej skargi, a słowa kapwały jak lzy wielkości młynskich kamieni.

— Oszalał stary Herod! — rzekła babka.

— Nie, droga pani! — mówił rozrzewniony Olszowski. — Każdy chwali Pana Boga, jak umie. Był taki kuglarz²⁰⁶—prostaczek, co się modlił pokazywaniem swoich sztuk. Ten biedaczysko nie umie się radować, bo i skąd weźmie odrobinę śmiechu? Chciałby rozweselić dziecko, więc mu wygłasza najwspanialsze tyrady²⁰⁷ i poświęca się, byle ono się śmiało, O, jakiż to dobry, dobry człowiek! Zróbmy trochę hałasu, bo mu będzie przykro, żeśmy słyszeli.

Gdy weszli, stary aktor spojrzął na nich podejrzliwie, czerwony i zasapany.

— Pan byłby doskonałą niańką — rzekła serdecznie panna Stasia. — Dziecko jest rozradowane...

— U ludożerców zrobiłby karierę — mruknęła babcia.

Uśmiechnęła się jednak do zacnego aktora.

— Panie Antoni — rzekła. — Niech pan jutro do mnie zajdzie, będą pączki.

— Nie mam armaty — odrzekł Walicki głucho. — A pączki u pani przypominają armatnie pociski. Ale przyjść mogę... — dodał śmiertelnie smutno. — Wszystko mi jedno, od czego umrę...

Tego wieczoru słońce zachodziło bogato, jak gdyby zamierzało ogrzać pokrytą śniegiem ziemię. Złotą, drżącą smugą czepiało się dachów, jakby chciało się tą pajęczą nitką związać ze światem, na który czyhała noc. Babka podreptała do domu, po raz pierwszy wiedząc dokładnie, dokąd się śpieszy. Panna Stasia usiadła z jednej strony przy łóżku Basi, a Olszowski z drugiej. Było bardzo cicho i przytulnie. Kibic w głębokiej zadumie rozmyślał przy ciepłym piecu o ważnych psich sprawach.

— Dobrze ci, Basieńko? — spytał pieszczotliwie Olszowski.

— Byczo²⁰⁸! — odrzekła Basia.

— Co takiego? Co to znaczy: „byczo”? Kto cię tego nauczył?

²⁰³osowiaily — smutny, przygnębiony. [przypis edytorski]

²⁰⁴*Król Lir* — tragedia Williama Shakespeare'a (1564–1616), prawdopodobnie powstała w roku 1605. [przypis edytorski]

²⁰⁵monolog — w utworze literackim dłuższa wypowiedź jednej osoby. [przypis edytorski]

²⁰⁶kuglarz — wędrowny aktor a. sprytny oszust. [przypis edytorski]

²⁰⁷tyrada — tu: długie przemówienie bohatera tekstu dramatycznego. [przypis edytorski]

²⁰⁸byczy (pot.) — świetny, wspaniały. [przypis edytorski]

— Wujcio Herod. A bo co? A o cioci Stasi mówił: „morowa²⁰⁹ dziewica”. To bardzo śmieszne! I jeszcze mówił, że „zje diabła, kto da babci radę!”.

Olszowski spojrział na pannę Stanisławę.

— Słyszysz pani, co ten bęcwał²¹⁰ wygaduje przed dzieckiem?

Panna Stasia uśmiechnęła się ślicznym uśmiechem.

— Ja się nie obraziłam za „morową dziewicę”... Będziesz już spać, maleńka?

„Maleńka” wcale nie chciała spać, bo głęboko nad czymś rozmyślała. Patrzyła bardzo poważnym wzrokiem to na wujcia, to na ciocię i zdawało się, że coś sobie uparcie przypomina. Wreszcie położyła jedną rączkę na dłoni Olszowskiego, drugą na ręce panny Stanisławy i mówiła cichutko:

— Ciociu Stasiu...

— Co, Basieńko?

— Coś ci powiem... Czemu ty się z nim nie ożenisz?

— Z kim?! — zduszonym głosem wykrzyknęła panna Stasia.

— Z nim... Z wujciem... Mówię ci: ożeń się!

Zrobiło się tak cicho, że słychać było stukot jakiegoś serca.

Pan Olszowski dziwnie pobladł i lekko, pieszczotliwie położył rękę na ręce panny Stanisławy.

— Ja robię zawsze wszystko — mówił wzruszonym głosem — co każe Basia.

— Ja też... — szepnęła panna Stasia po dłuższej chwili.

— To ja już będę spać! — oświadczyła Basia.

Minęło pierwsze to wiosenne rano,
Gdy się spod śniegu wychylił pierwiosnek,
Patrząc na ziemię, słońcem malowaną,
Pełną uśmiechów i ptaszęcych piosnek.

Z wiosennym wiatrem radość wciąż przylata,
Niebo się rzeką rozlewa błękitną,
Miłością wzbiera wielkie serce świata,
A ludzkie serca tak jak kwiaty kwitną.

Zbierzmy, dziewczynko, kolorowe kwiatki,
Co przystroiły wszystkie łąki boże,
Potem je zanieś na grób swojej matki,
A ją tę książkę obok nich położę.

Mateczka twoja cicho się obudzi,
Potem czym prędzej tve przeczyta dzieje,
A gdy się dowie, żeś wśród dobrych ludzi,
Wtedy, szczęśliwa, w głos się roześmieje.

A my pójdziemy dalej, coraz dalej,
Na świat daleki i na świat szeroki,
I tak będziemy razem wędrowali,
Jako po niebie wędrują obłoki.

Minął poranek, minęła godzina,
Co tak beztrosko jak ptaszek świergota;
Z Basi się duża zrobiła dziewczyna:
W głowie zielono, a serce ze złota.

Autora ciężka czeka teraz praca,
Bo czytelniczek tak woła gromada:

²⁰⁹morowy (pot.) — dzielny, porządny. [przypis edytorski]

²¹⁰bęcwał — osoba bezmyślna. [przypis edytorski]

„Niech pan wierszami głowy nie zawraca
I co się stało, prędko opowiada!”.

Dobrze już, dobrze! Lecz niech spokój będzie,
Bo, jak rzekł mędrzec rozgadanej pannie:
„Biedny jest autor, gdy pod drzewem siedzie,
Na którym wróble krzyczą nieustannie!”.

8. OJ, BASIU, BASIEŃKO

Panna Barbara Bzowska została uznana oficjalnie za przybraną córkę państwa Olszowskich, którzy ją kochali tak jak własnego syna. Ten zjawił się na bożym świecie ku niezmiernemu szczęściu babci Tańskiej. Nie zdołała ona do tej chwili przeczytać książek sławnego męża swojej wnuczki, zdrowie bowiem dopisywało jej niezmiennie. Potężnym sercem babci można było wbijać gwoździe w ścianę jak żelaznym młotkiem. Żyła w wielkiej przyjaźni ze starym aktorem Walickim, pilnie jednak strzegąc, aby jej ukochany prawnuczek, Tadzio, nie ujrzał z bliska jego chmurnej twarzy.

— Niech się pan nie zbliża do dziecka — mówiła serdecznie. — Na widok takiej złodziejskiej gęby chłopiec może dostać konwulsji albo straci mowę z przerażenia.

— Pani też powinna mieć maskę na twarzy, gdy go bierze na ręce! — odpowiadał Walicki, malując każde słowo czarną mazią.

— Słusznie — odpowiadała babka — ale do mnie już przywykł. Jak panu nie wstyd, aby tak wyglądać jak zmora? Czy to jest twarz? To jest katastrofa, a nie twarz ludzka. Przyjdzie pan jutro na obiad?

— Pójdę raczej na cmentarz, bo tam weselej. A co będzie na ten obiad?

Walicki przychodził i grywał z babcią w pikietę²¹¹. Było to przedstawienie, za które należało płacić wstęp.

— Pan albo szachruje — mówiła babcia — albo pan ma spółkę z diabłem, co wcale nie byłoby dziwne, gdyż posiada pan z nim rodzinne podobieństwo. Niech pan tak nie zgrzyta, bo mnie pan nie nastraszy. Ja się i diabła nie boję!

— Oczywiście! Ciocia nie boi się siostrzeńca! — ryczał aktor.

Basia odwiedzała starowinkę codziennie i musiała zdawać sumiennie sprawozdania z tego, co się dzieje w szkole. Pani Tańska słuchała zachłannie, cmokając z podziwu.

— Tego wszystkiego was uczą, Panie Świąty? Ty to wszystko rozumiesz? I głowa cię od tego nie boli? Straszne rzeczy wyprawiają teraz z kobietami... Mnie tam tyle nie uczyli, a dałabym radę całemu światu. Starali mi się wytłumaczyć, że Ziemia jest kulista, ale powiem ci po cichu, że ja w to do dnia dzisiejszego nie wierzę. A co robi Tadzio?

— Krzyczy! — śmiała się Basia. — Krzyczy i ciągnie staruszka Kibica za imitację²¹² ogona.

— A co wujcio?

— Wujcio krzyczy na Tadzia, że Tadzio krzyczy, a ciocia krzyczy na wujcia, że krzyczy na Tadzia. Mogłaby babcia przyjść, aby trochę nakrzyczeć na ciocię, bo wujcio krzyczy, że nie może pisać, a właśnie pisze nową książkę.

— O czym znowu?

— O miłości! — krzyknęła z niebiańskim zachwytem Basia. — Nikt tak na całym świecie nie umie pisać o miłości jak wujcio Olszowski.

— A skąd ty, smarkulo, możesz wiedzieć o tym? — zdumiała się babcia.

— Ja? Babciu złota, przecież ja mam piętnaście lat!

— A ja mam osiemdziesiąt. Marcysiu! Ile ja mam lat właściwie?

— Czy ja wiem? — odpowiadała Marcysia, wzruszając ramionami. Chyba już ze sto...

— Przepadnij, ty mętna kreaturo! Mam osiemdziesiąt i długo je będę miała. Słyszysz?

A o miłości niczego nie wiem.

— Wujcio mówił — śmiała się Basia — że pan Walicki w babci się kocha!

²¹¹pikieta — dawna gra w karty. [przypis edytorski]

²¹²imitacja — rzecz naśladowująca inną, podróbka. [przypis edytorski]

— Walicki? Czekaj! To możliwe... Wciąż przewraca oczami i tak wzdycha, jakby miał cierń w żołądku. Czasem tak na mnie patrzy, jak gdyby chciał poderżnąć mi gardło, a teraz dowiaduję się, że to z miłości.

— A cała nasza klasa — mówiła w głębokim zaufaniu Basia — kocha się w wujaszku Olszowskim.

— Ho, ho! A ty w kim?

Basia zmieniła się w purpurową piwonię.

— Ja? — mówiła z niewinną miną. — Ja jeszcze dobrze nie wiem, bo nie jestem pewna. Nie mogę się zdecydować, bo ich jest dwóch...

— Dwóch? — z nagłym zainteresowaniem zapytała babcia. — Kręcisz w głowie dwóm od razu? Szalona dziewczyno!

— To nie ja im kręcę, to oni... Jeden, proszę babci, to jest Julek, który jest prawie że genialny, bo umie naprawić radio i elektryczne dzwonki, a drugi, Zygmunt, pisze wiersze. Wujcio czytał...

— I co powiedział, co powiedział?

— Trochę za surowo. Powiedział, że Zygmunt nie pisze poezji, tylko zawiązuje rymom kozie ogony. A to naprawdę śliczne wiersze... Śliczne! Wszystkie o mnie... Ja to babci mówię w wielkim zaufaniu... Niech babcia nic nie opowiada cioci, moja złocienka...

— Nic nie powiem, ale dwóch to za wiele. Mogłabyś jednego odstąpić Marcysi, od której uciekł trzydziesty szósty narzeczony.

— E! Babcia żartuje, a mnie się serce krwawi. Babciu! Oni się nienawidzą! Z tego będzie jakieś nieszczęście! Julek, ten od radia, powiedział, że „z tego wierszoklety²¹³” wypuści ducha. A musi babcia wiedzieć, że on jest strasznie silny, tymczasem Zygmunt jest bardzo delikatny, bo każdy poeta jest delikatny. Ja niedawno przez całą noc nie mogłam zmrużyć oka, bo dostałam od Julka list. Napisał do mnie: „Wybieraj, bo się czarna krew poleje!”

— I polala się?

— Jeszcze nie... Ale mówię babci, że z tego będzie nieszczęście, gdyż prawdziwa miłość bez nieszczęścia nie ma wielkiego znaczenia. W ostatniej powieści wujaszka dwie osoby umarły z miłości, dlatego ta powieść jest taka śliczna. Cała nasza klasa płakała!

— A co na to panie nauczycielki?

— Też strasznie płakały.

— To jakaś dziwna szkoła — rzekła babcia z powątpiewaniem.

— Drugiej takiej nie ma na świecie! — zawołała Basia z zachwytem. — A ja w niej mam ogromne poważanie, dlatego że jestem bardzo blisko wujaszka. Babcia nie ma pojęcia, ile jego fotografii jest w naszej klasie.

— Skąd?

— Wszędzie sprzedają wujaszka po pięćdziesiąt groszy, a jeżeli się kupuje od razu cały tuzin²¹⁴, to po trzydzieści.

— To za tanio — rzekła babcia. — Kilo cielęciny kosztuje tyle, co cały tuzin sławnych pisarzy. Zresztą słusznie. No, no! To wujaszek taka znakomitość... Patrzcie, patrzcie!

— Przecież babcia wie o tym...

— Wiem z waszego gadania, polegam jednak tylko na własnych sądach. Muszę się wreszcie zabrać do czytania jego książek. Ile tego jest?

— Czy ja wiem? Więcej niż dwadzieścia!

— Dwadzieścia? Nie dam rady. Ja jedną książkę czytam przez cały rok. Czy we wszystkich pisze o miłości?

— Oczywiście! O czym innym warto pisać?

Pan Olszowski pisał właśnie, ku strapionemu²¹⁵ zdumieniu pani Tańskiej, dwudziestą pierwszą książkę. Czarne znaki liter, jak czarne motyle przylatujące nie wiadomo skąd, pokrywały gęsto białe kartki papieru. Basia oglądała własnymi, oczarowanymi oczami tajemniczy cud tworzenia. Z niczego powstawało coś, co żyje i nie przemija. Z pustki wyłaniali się żywi ludzie, mający serce i mózg, krew i namiętności. Od razu umieli

²¹³wierszokleta — słaby poeta. [przypis edytorski]

²¹⁴tuzin — dwanaście sztuk. [przypis edytorski]

²¹⁵strapiony — zmartwiony. [przypis edytorski]

mówić językiem wspaniałym i przeczystym. Kochali się lub walczyli ze sobą, odnosili zwycięstwa lub umierali. Pisarz przywoływał ich z jakiejś czeluści nocy, z jakiegoś odległego świata, jak czarnoksiężnik zwołuje zaklęciem geniusze²¹⁶ i demony²¹⁷. Czynił to zawsze w wielkiej ciszy i w skupieniu. Basia widziała nieraz przez niedomknięte drzwi Olszowskiego, pochylonego nad białą kartką papieru. Na czole miał pionową bruzdę, oczy jakby rozświetlone, a twarz jak gdyby cierpiącą. To zwoływanie duchów musiało być ciężką pracą, nadludzkim trudem, bo pisarz czasem westchnął tak ciężko, jak gdyby jęknął. Wtedy pani Olszowska kładła palec na usta, ostrzegając wszystkich, że muszą zachować ciszę. Te widma bezcielesne, które pan Olszowski oblekał w ciało, sprowadziwszy je na ziemię, musiały być płochliwe i lękały się krzyku.

Koleżanki Basi słuchały — z należyтым podziwem — historii Basi o tym, jak i kiedy pisze znakomity autor. Musiała im więc opowiadać o wszystkim. Czyniła to z dumą, a o swoim uwielbianym wujaszku mówiła z tklivością. Zdawało się jej, że i na nią pada jeden promyczek jego wielkiej sławy. Było jej niezmiernie miło, że każdego słowa o nim dziewczęta słuchają z wniebowziętymi minami. Trzeba się było jakoś odwdziżyć.

Od pewnego czasu pan Olszowski, zasiadając do pisania, zaczynał je od wielkiej awantury.

— Gdzie, u licha, podziało się moje pióro?

Wiadomo, że żołnierz nie może strzelać, nie mając karabinu, a pisarz bez pióra nie może pisać samym palcem.

Zaczynało się poszukiwanie pióra.

— Może Tadzio gdzieś zapodział? — pytała pani Olszowska bez wiary we własne słowa.

— Tadzio na biurko nie wylezie! — wołał pan Olszowski.

Kucharka nie używała pióra, gdyż była niepiśmienna, a jej listy miłosne pisał pewien student z czwartego piętra.

— Może Kibic!... — nieśmiało podsunęła Basia.

— Kibic? Skąd Kibic? Czy pisze na starość wiersze?

Długo szukano wspaniałego narzędzia znakomitego pisarza, jednakże pióro zapadło się pod ziemię. I to nie raz — trzy nowe zapadły się po trzykroć. Jeszcze większym zdumieniem nappełnił pana Olszowskiego gwałtowny ubytek czarnej krwi, którą ludzie pospolicie nazywają atramentem. Można było z małym prawdopodobieństwem oskarżać Kibica, mającego wrodzone złodziejskie instynkty²¹⁸, o zagubienie piór, stanowczo jednak nie można było przypuścić, aby zachłannie i maniacko wypijał atrament. Psy miewają najdziwniejsze upodobania, nauka jednakże nie zanotowała tak pomyłonego psa, by wypijał atrament.

— To zaczyna być niepojęte! — wołał pan Olszowski.

Od tej chwili atramentu ubywało tylko tyle, ile go zużywał na pisanie, natomiast rozpoczęły się dziwne historie innego rodzaju.

Zakłopotana pani Olszowska oznajmiła pewnego dnia, że w sposób niewytłumaczony zdematerializowało się²¹⁹ czy przepadło z tego świata sześć kołnierzyków wielkiego pisarza numer czterdzieści jeden, z napisem *Splendid*²²⁰, a do tego zużytych, przygotowanych do wyprania. Kibic nie mógł być posądzony. Nie można też było podejrzewać o tę posotę mieszkańców rodzaju ludzkiego, na cóż bowiem przydałby się męski kołnierzyk Basi, Tadziovi czy wybornej kucharce?

— Może sam gdzieś zgubiłeś? — pytała beznadziejnie pani Olszowska.

Sławny pisarz oznajmił spokojnie, że może jest dziwakiem, nie ma jednak zwyczaju zdejmowania kołnierzyka na mieście i porzucania go na ulicy, tym bardziej — sześciokrotnie. Sprawa pozostała niewyjaśniona. Jak się to stało, nie wiedział nikt. Pan Olszowski machnął ręką, najpierw lewą na pióra i atrament, potem prawą na kołnierzyki, lecz niedługo potem chwycił się za głowę od razu ręką i lewą, i prawą.

— Na miłosierdzie boskie! — wołał potężnie. — Zginęło mi sześć kartek rękopisu!

²¹⁶geniusz — tu: w mitologii rzymskiej duch opiekuńczy. [przypis edytorski]

²¹⁷demon — zły duch, wrogi człowiekowi. [przypis edytorski]

²¹⁸instynkt — wrodzona zdolność do działań zapewniających przetrwanie. [przypis edytorski]

²¹⁹zdematerializować się — zniknąć. [przypis edytorski]

²²⁰splendid (ang.) — wspaniały. [przypis edytorski]

Była to już sprawa gruba, rzecz można „kryminalna”. Basia, powróciwszy ze szkoły, trafiła na trzęsienie ziemi i domu, który został wywrócony do góry nogami. Szczęściu bezcennych kartek szukano nawet na lampie zwisającej u pułapu²²¹. Właśnie toczyło się śledztwo. Ponieważ kucharka okazywała zawsze dla przedmiotów zapisanych lub zadrukowanych ponurą obojętność, wyciągnięto w tej chwili kosmatą duszę z jej ospałego ciała i wypytywano, czy małej cząstki twórczości znakomitego autora nie wykorzystywała przypadkiem do prywatnego użytku, na przykład zakręcania bujnych włosów w kunsztowne²²² esy-floresy? Ta szanowna osoba przysięgała na własną śmierć, że głupia by była, gdyby do tych zabiegów używała zapisanego papieru, mając do rozporządzenia czysty.

Pan Olszowski był bardzo smutny, a Basia dostrzegła z przerażeniem, że pani Olszowska ma łzy w oczach.

— Czy to wielka strata? — zapytała Basia cicho.

— Dziewczyno! — rzekła zapłakany głos pani Olszowska. — Wujaszek pracował nad tym prawie całą noc.

— O Boże! — jęknęła Basia. — To z nowej książki?

— Tak, z nowej...

Basia zamknęła się w swoim pokoju. Po dłuższej chwili weszła do gabinetu pana Olszowskiego, który wciąż jeszcze szukał, przewracając papiery. Stała przy drzwiach i powiedziała drżącym głosem:

— Niech wujcio nie szuka... Ja to jutro odniosę... Bo to ja zabrałam...

Pan Olszowski spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Och, Basiu! — rzekł głosem boleśnie drżącym.

— Niech mnie wujcio zabije — mówiła Basia przez łzy. — Ale niech tak na mnie nie patrzy... Ja nie wiedziałam, że to z nowej książki... Ja bym nigdy... Myślałam, że już niepotrzebne... O wujciu, wujciu, jaka ja jestem nieszczęśliwa... Jutro odniosę! Przysięgam!

Pan Olszowski spojrzał na nią bystro.

— Chodź tu bliżej, moje dziecko! — rzekł miękko.

Basia szła machinalnie²²³, jakby nie wiedząc, że się porusza. Patrzyła w jego oczy z niewysłowionym lękiem. Była blada jak kartki z jego nowej książki. Zaczęła mówić urywanym, zwiotczalym od łez głosem:

— Ja zabrałam i te kartki, i pióra, i atrament, i kołnierzyki... Ja jestem podła... Że się nie przyznałam...

— Atrament zabrałaś i kołnierzyki? Na Boga Ojca! Na co ci są potrzebne moje kołnierzyki?

— Ja nie dla siebie... Wujaszku... Ja nie dla siebie... Ja cię tak kocham, że już nie wiem jak... Ale ja to wszystko dla szkoły...

Zdumiał się po raz drugi pan Olszowski. Podeszedł do niej, objął serdecznie i posadził na krześle naprzeciwko siebie.

— Gadaj, Basiu, co i jak — rzekł łagodnie. — I nie płacz!

— Ja wcale nie płaczę... — mówiła Basia, oblewając łzami twarz, nos, dywan na podłodze i każde słowo. — Ja chcę umrzeć, bo jestem strasznie podła.

— Nie jesteś podła, tylko głupiutka. Co z tą szkołą?

— W szkole mam sześć przyjaciółek... Cała moja klasa kocha się w wujaszku, a te sześć najbardziej... Każda ma fotografię wujaszka, a jak są wujaszka imieniny, to ją stawiają wśród kwiatów i palą przed nią świeczkę.

— Nie może być! — zawołał uradowany pisarz.

— Słowo honoru daję! — rzekła Basia. — Tak strasznie wujaszka kochają, że już bardziej nie można... Więc ja im musiałam dać te pióra i ten atrament... Trzy dostały pióra, a trzy atrament...

— I co one z tym robią?

— Chowają na pamiątkę, a atrament jedna chciała wypić... Mówiła, że wojownik, który zje serce lwa, staje się nieustraszony. Jeżeli ona wypije ten atrament, to będzie tak

²²¹pułap — tu: (daw.) drewniany strop albo sufit. [przypis edytorski]

²²²kunsztowny — zrobiony z artyzmem i precyzją. [przypis edytorski]

²²³machinalny — nieświadomy, automatyczny. [przypis edytorski]

pisala jak wujaszek... Taka głupia... A kołnierzyki wzięłam, bo dziewczyny mi nie dawały żyć... I koniecznie chciały, żeby były nieprane.

— I noszą je? — pytał pan Olszowski, czyniąc dziwne grymasy.

— Nie, bo za wielkie... A potem zakłęły mnie, abym przyniosła autograf²²⁴... Ja chciałam wziąć stare kartki, ale przez pomyłkę wzięłam nowe... O wujaszku, niech mnie wujaszek zabije! Nie jestem warta lepszego losu... A kartki jutro odniosę... Czy wujaszek mi przebaczy?

Pan Olszowski śmiał się szeroko i serdecznie.

— Przebaczam, przebaczam, ale już tego więcej nie rób. Co będzie, jeżeli twoja klasa zażąda mego fraka²²⁵ albo biurka? Przebaczam teraz, bo zbrodnia została popełniona z miłości... Basiu! Co robisz? Czy chcesz mnie udusić? Dostaniesz jeszcze trzy pióra... Dość, dość, niemądra dziewczyno!

Nazajutrz Basia wróciła ze szkoły z rozpaczą w oczach.

— Gdzie rękopis? — spytał pan Olszowski na tajemniczej konferencji.

— Nie chcę oddać — mówiła Basia zduszonym głosem. — Podle kobiety! Jedna powiedziała: „Po moim trupie!”... Ale wszystko będzie dobrze, wujaszku, tylko trzeba się potargować.

— Co ty wygadujesz?

— Mówię prawdę... Każda z nich odda kartkę, ale tylko wtedy, gdy wujaszek wpisze się jej do pamiętnika.

— To gwałt²²⁶! — zaśmiał się autor. — O kozy nieznośne! Ładne masz przyjaciółki... Ale trudno! Napiszę każdej ze dwa słowa.

— Dwa słowa? Będzie mało...

— Więc napiszę więcej. Przynies jutro te pamiętniki.

Basia zaczęła kręcić głową.

— Tego też się nie da zrobić. One chcą z ręki do ręki, szczególnie ta, co powiedziała: „Po moim trupie!”. Wujaszku najdroższy! Czy one same mogą przyjść?

— Skaranie boskie! — zawołał pan Olszowski. — Niech przyjdą.

Ekipa, złożona z sześciu przyjaciółek Basi, stała najpierw przez pół godziny u drzwi. Serca tłukły się nieznośnie w całej grupce, tak że można było słyszeć ten stukot na schodach. Żadna nie chciała zadzwonić.

Sześć par długich i cienkich nóg drżało jak trzcina na wietrze. Wreszcie ta, co to „Po moim trupie!”, zamknęła oczy i z rozpaczliwą odwagą zadzwoniła.

Otworzyła Basia — blada i przejęta.

— Która będzie mówić? — zapytała cicho.

Cała ekipa pozbawiona została jednak ryczałtem²²⁷ mowy ludzkiej.

— Basińko, mów ty! — błagało sześć rozdygotanych serc.

Weszły do gabinetu Olszowskiego jak gęsi, jedna za drugą. Zbiły się w gromadkę i dygnęły²²⁸, co im przyszło z wielką łatwością, gdyż nogi uginały się same. Sześć par oczu spojrzało z lękiem i ujrzało łagodny, rozbawiony uśmiech znakomitego pisarza.

„Nie gniewa się! Morowy chłop!” — krzyknęło sześć serc.

— Wujaszku, to właśnie one! — wygłosiła Basia potężne przemówienie.

— Niech panie usiądą — rzekł Jowisz²²⁹ łaskawie.

— My postoiemy — odpowiedziała z niesłychaną odwagą ta, co to „Po moim trupie!”.

Pół tuzina rumieńców zakwitło na sześciu dziewczęcych twarzyczkach. Spojrzenia zaczęły błyskawicznie łowić wszystko, co było dokoła, aby zapamiętać i wynieść w oczach. Trzeba będzie przecież opowiadać całej klasie.

Handel wymienny odbył się w atmosferze wybitnie przyjaznej i pełnej uśmiechów. Pan Olszowski bawił się jak w wesołym teatrze i pisał, pisał, pisał.

— Imię pani? — pytał, trzymając pióro.

Literat

²²⁴autograf — podpis własnoręczny. [przypis edytorski]

²²⁵frak — męski strój wieczorowy na specjalne okazje. [przypis edytorski]

²²⁶gwałt — tu: przemoc. [przypis edytorski]

²²⁷ryczałtem — licząc ogólnie, bez rozbięcia na poszczególne pozycje. [przypis edytorski]

²²⁸dygnąć — uklonić się, zginając kolana. [przypis edytorski]

²²⁹Jowisz a. Jupiter — w mitologii rzymskiej bóg i najwyższy władca nieba i ziemi, ojciec bogów. [przypis edytorski]

- Kicia... — odpowiedział szklany głosik.
- Od czego to jest zdrobnienie?
- Od Marii.
- Aha! To łatwo odgadnąć — śmiał się autor i wpisywał barwne zdanie.

Bystre oczy śledziły, czy następnej nie napisał mniej niż poprzedniej, ale był to mąż sprawiedliwy i nie pragnął niczyjej krzywdy.

- A co? — pytała rozjaśniona Basia w przedpokoju.

Na znak, że ludzkim głosem niepodobna wyrazić zachwytu, pół tuzina oczu wzniosło się ku pułapowi, nad którym wedle wszelkich obliczeń było niebo.

— W naszej szkole jest rewolucja! — oznajmiła Basia nazajutrz. — To się wszystko musi źle skończyć... Cała szkoła tutaj przyjdzie...

Wróżba Basi okazała się prawdziwa. Molestowano ją ze wszystkich stron, ale dziewczyna była jak skała. Sześciokrotna awantura była wystarczająca, tym bardziej że wzniosły i wspaniały pan Olszowski nie zażądał zwrotu kolnierzyków numer 41. Triumfatorce przechwalają się jednak ponad ludzką miarę, co wielce rozjątrzyło społeczność szkolną. Niektóre dziewczęta nie śmiały marzyć o wielkim szczęściu posiadania autografu, inne ukryły gorycz w sercu. Jedna tylko — panna Wanda — nie mogła usnąć. Była to śliczna dziewczyna o zielonych oczach. Wiedziała o swojej urodzie i obnosiła ją jak paw, ptak nadobny i nadobnie głupi. Uporczywie przynosiła Basi swój pamiętnik, oprawiony w safian²³⁰, i równie natarczywie prosiła o „protekcję”²³¹.

— Nie mogę, Wandziu! — tłumaczyła się Basia. — Wujaszek jest dobry, lecz nie mogę nadużywać jego dobroci.

- A dla innych mogłaś to zrobić?
- Mogłam, ale wplątałam się w awanturę, a wujaszek...
- Więc nie weźmiesz mojego pamiętnika?
- Teraz nie. Może kiedyś, później...
- Nie weźmiesz?
- Nie!

— Daj jej spokój! — wołały koleżanki. — Odczep się!

Zielone oczy ślicznej dziewczyny przygasły. Powiedziała złym głosem:

— Wiesz, co ci powiem? Kpię²³² sobie z twego niby-wujaszka i z ciebie... Ty... Ty... znajdo!

— O Boże! — jęknęła Basia.

Kilkanaście dziewczynek, nie rozumiejąc, co ma oznaczać to ostatnie słowo, zdrętwiało z innego powodu: ta bezczelna Zielonooka obraziła wielkiego pisarza, grudą ziemi cisnęła w bóstwo! Ha! Z niemej chwili zdumienia wytrysnęła z dzikim szumem fontanna awantury. Zielonooka zostałaby na miejscu ukamienowana, zarząd szkoły jednakże — nie mogąc przypuścić, że kiedykolwiek zajdzie taka potrzeba — nie postarał się na czas o niezbędną do nagłej operacji liczbę kamieni. Obrzucono więc Zielonooką kamiennymi słowami, co nie zrobiło na niej zbyt wielkiego wrażenia. Została jednak, bez żadnych narad w tym względzie, uznana za trędowatą²³³. Wszystkie serca zostały dla niej zamknięte, jak się zamykają niektóre kwiaty przed nocnym chłodem. Ciężkie to było postanowienie. Człowiek nie może srożej ukarać drugiego człowieka, niż zamykając przed nim serce.

Basia była wstrząśnięta. Pan Olszowski jest zbyt wielkim i wzniosłym człowiekiem, aby mogły go dotknąć lub poniżyć jadowite, ze złości narodzone słowa. Lecz co miało oznaczać to ostatnie? Czemu ta dziewczyna nazwała ją „znajdą”? Rzuciła tym słowem jak ciężkim pociskiem. Co to znaczy „znajda”? Basia wie, że „znajdą” nazywają najbardziej nieszczęśliwą istotę na bożym świecie: dziecko bez rodziców, których albo zabrała śmierć, albo jakieś inne nieszczęście. Nie ma dość ciepłej, dość tkliwej i serdecznej miłości, z którą człowiek powinien ogarnąć i otulić takie stworzonko, porzucone na srogiej ziemi. „Znajda” jest najbardziej niewinnym stworzeniem bożym, któremu dzieje się najstraszliwsza krzywda. Płacze, a nie ma matki, która by scałowała z jej ocząt lzy. Tylko zbrodnicza głupota wymawia straszne słowo: „znajda”, z pogardliwym uśmiechem. Przecież to słowo

Sierota, Cierpienie,
Krzywda

²³⁰safian — barwiona kozia skóra. [przypis edytorski]

²³¹protekcja — ochrona i pomoc ze strony wpływowej osoby; wstawiennictwo. [przypis edytorski]

²³²kpić — traktować lekceważąco, drwić. [przypis edytorski]

²³³trędowaty — tu: osoba nieakceptowana w środowisko. [przypis edytorski]

jest jak łyż. Mieści się w nim nieogarniona krzywda. „Znajda” jest bezbronnym pisklęciem, wyrzuconym z gniazda przez burzę. Najtkliwszym czynem dobrego człowieka jest podniesienie samotnego dziecka z bruku i przytulenie go do serca. Czyn taki Bóg zapisuje złotym piórem.

Basia wie o tym wszystkim. Nie rozumie jednak, dlaczego koleżanka nazwała ją „znajdą”. Jaka gorzka myśl tkwiła w tym ohydny szyderstwie²³⁴?

Gdy wróciła do domu, miała oczy pełne łez.

— Co ci jest, Basieńko? — spytała ją zaniepokojona pani Olszowska.

— Nic, cioteczko, nic mi nie jest...

— Chyba nie z radości płaczesz?

— Czy ja płacę? O ciociu!

Wtuliła głowę między ramiona pani Olszowskiej, która zaczęła ją gładzić po włosach.

— Co się stało dobrej dziewczynce? — pytała pani Olszowska serdecznie. — Co się stało?

Z zaciśniętymi ustami i nieruchomym spojrzeniem wysłuchiwała opowiadania Basi.

— Dziecko drogie! — mówiła najtkliwszym głosem. — Ta zła koleżanka myślała, że cię obrazi. Nie wiadomo, skąd wie o tym, że nie masz rodziców, że jesteś sierotą. To głupia pannica... Gdybyś nawet była, jak powiedziała, „znajdą”, byłabyś nieszczęśliwym dzieckiem, któremu nie wolno przypominać jego niezmiernego nieszczęścia. Ciebie jednak znaleziono w martwych ramionach matki.

— Jak to było? — spytała Basia bez tchu.

Dotąd nie rozmawiano o tym nigdy. Basia wiedziała, że jej rodziców zabrała śmierć, lecz nie chciano rzucać mroku na jej małe serce opowieścią o tragedii. Pan Olszowski miał jej pewnego dnia powiedzieć o wszystkim — kiedy to dziewczęce serce dojrzeje i mężnie²³⁵ zniesie krwawą historię nieszczęścia. Widać jednak, że zachłanna, żarłoczna ciekawość ludzka znała dzieje Basi, a teraz zła dziewczyna ulepiła z jej nieszczęścia pocisk i ugodziła nim zdumione i zalękłe serce.

Pani Olszowska zaczęła jej opowiadać.

W pokoju było ciemno, a słowa wsiąkały w mrok jak wilgoć łez w czarną tkaninę. Mówiła Basi o ojcu, o którym słuch zaginął po wyprawie do południowoamerykańskiej puszczy. O matce, do obłądzenia zrozpaczonej, ogarniętej nieprzytomnym bólem podczas podróży — zapewne po otrzymaniu okropnej wiadomości z Ameryki. O pani Budziszowej, dobrej kobiecie, o pomyłce zacnego straszliwca Walickiego, o krewnych mieszkających we Francji.

— Resztę przeżyłaś z nami, drogie dziecko. Wiesz o tym, jak cię kochamy... Bóg nam cię zesłał, małeńka, i pozostaniesz z nami, jak długo zechcesz. Mamy oboje z wujaszkiem jedno serce, a ty wiesz, że się ono nigdy nie odmieni... Czy jeszcze chcesz wiedzieć o czymś, Basieńko?

Basia słuchała całą duszą, wpatrzona bystrze w mrok, jak gdyby w jego czeluści toczyły się te wszystkie historie, które jej opowiadano. Wysiłkiem pamięci wywołała z niego bladą, woskową, śliczną twarz matki. Usłyszała w mroku rozpaczliwy krzyk, piekielny warkot i zgrzyt. Potem się wszystko zatarło i rozplynęło, a mrok słonecznie pojaśniał.

— O mamusiu... — westchnęła tak cichutko i tak przejmująco, że pani Olszowska zadrżała i przytuliła ją do siebie tak blisko, że aż do serca.

9. UŚMIECH KRWAWEGO HERODA

W zawsze wesołych oczach Basi zjawiała się niezwykła powaga. Dziewczyna ucichła i często zapadała w zadumane milczenie. Przez pierwsze dni po mrocznej i smutnej rozmowie z panią Olszowską uśmiechała się z przymusem, choć wcześniej uśmiech zdawał się przyrośnięty na stałe do jej chłopięcej twarzy. Największe nawet zmartwienie nie mogło go z niej zetrzeć, rześiste łyż też nie dawały mu dać rady. Radość tkwiła głęboko w tym stworzeniu, kochającym cały świat i wszystko co na nim, więc teraz Basia jakby nieco przywiędła.

— Cios był zbyt gwałtowny — mówiła pani Olszowska do męża.

²³⁴szyderstwo — lekceważący, pogardliwy stosunek i jego wyrażanie za pomocą słów. [przypis edytorski]

²³⁵mężnie — odważnie. [przypis edytorski]

— Biedactwo kochane — szepnął pan Olszowski. — Trzeba odwrócić jej myśli i zająć czymś wesołym.

Basia jednak sama znalazła sobie zajęcie, zapalawszy niespodziewaną miłością do geografii. Wędrowała przez długie godziny po mapach, upodobałszy sobie podróże po krajach Ameryki Południowej. Przez dzicze, przez kamienne pustynie, przez puszcze buchające gorącym i przez zbałwanione rzeki w jedną noc wzdymające się mętną, wodną puchliną²³⁶ wiodły ją książki, wyszukiwane troskliwie. Oczami wylawiała z nich wszystkie wieści o tych „niehumanicznych ziemiach”, a równocześnie palcem kreśliła na mapie obłądne drogi. Dziwne myśli, jak podzwrotnikowe²³⁷ motyle, latały nad jej zadumanym sercem.

— Szuka ojca na mapie — rzekł Olszowski do żony. — Serce się kraje, gdy się na to patrzy...

Pewnego dnia Basia zjawiała się w jego gabinecie.

— Mój wujaszku złoty — rzekła cichutko. — Czy ty znasz profesora Somera?

— Tego sławnego geografę? Znam. Czemu o to pytasz?

— Czy mógłbyś mi do niego napisać list polecający?

— A na cóż... — zaczął Olszowski, ale nie skończył. — Dobrze, dziecko! — dodał szybko. — Wiesz, gdzie mieszka?

— Wiem już od dawna.

Z listem gorąco napisanym Basia stanęła przed słynnym uczonym. Był to człowiek drobnej postaci, o przenikliwych oczach. Przewiercił nimi glob ziemski i wzrokiem dotarł do owych przepaścistych mroków, wśród których, w konwulsjach i w piekle ognia, z niewysłowionego cierpienia żywiołów rodziła się biedna Ziemia. Głośny na całym świecie geograf, ujrawszy przed sobą zamiast nieznannej góry, co by mu wielką sprawiło przyjemność, drobną ludzką okruszynkę, zmarszczył czoło. Ludzie obchodzili go najmniej. Trzęsienie ziemi, porządny kataklizm²³⁸, rozpadnięcie się globu albo najazd oceanów na ziemskie padóły²³⁹ mogły mu zabrać odrobinę czasu, którego nie miał wiele — czego jednak chce ta mała?

Basia dygnęła ślicznie i podała mu list.

— Niech panienska siada, jeśli tylko jest na czym — rzekł opryskliwie²⁴⁰.

Nie było jednak na czym usiąść, bo cała pracownia zavalona była książkami i mapami. Gdyby nastąpił koniec świata i wszystko przepadło, pan profesor Somer, cudem jakimś ocalony, odtworzyłby go bez najmniejszego trudu wedle swoich map i biblioteki. Ponieważ w tej chwili nic światu nie groziło, zajął się czytaniem listu. Przerwał w połowie i spojrzał na Basię. Czytał dalej, jak gdyby już z większą uwagą. Skończył, zdjął okulary i milczał przez dłuższą chwilę.

— Bzowski... Bzowski... — zaczął mówić jakby sam do siebie. — Mój najlepszy uczeń... Adam Bzowski. Miło mi, moje dziecko, że cię widzę. Bardzo kochałem twojego ojca, bardzo... Byłby po mnie... Trudno! Nieszczęście. Czego chcesz się dowiedzieć, dziewczyno?

— Chcę się dowiedzieć, proszę pana profesora, dokąd naprawdę udał się mój ojciec i gdzie zginął — odparła Basia z powagą.

— Zaraz cię objaśnię.

Zręcznym ruchem nogi odrzucił na bok nikomu w tej chwili niepotrzebną Europę, zwałił na jakieś rupiecie Azję i wreszcie, jak Kolumb²⁴¹, odnalazł koło pieca obie Ameryki.

— Zrozumiesz coś z tej mapy? — zapytał podejrziwie.

Basia przejechała palcem przez Amerykę Południową i jednym tchem wyrecytowała nazwy wszystkich republik, w których jest zawsze gorąco i zawsze jest rewolucja.

Wielki geograf spojrzał na nią z nieukrywana radością.

— Doskonale, mała kobieto! — krzyknął z zachwytem. — A teraz powiedz, gdzie się znajduje mój palec.

²³⁶ *puchlina* — nadmierne gromadzenie się wody w jamach ciała. [przypis edytorski]

²³⁷ *podzwrotnikowy* — położony w pobliżu zwrotnika, jednego z dwóch równoleżników na Ziemi, znajdującego na 23° szerokości geograficznej płn. lub płd. [przypis edytorski]

²³⁸ *kataklizm* — klęska żywiołowa powodująca wielkie zniszczenia. [przypis edytorski]

²³⁹ *padół* — tu: (daw.) teren położony poniżej otaczającego go obszaru. [przypis edytorski]

²⁴⁰ *opryskliwie* — nieuprzejmie. [przypis edytorski]

²⁴¹ *Kolumb, Krzysztof* a. *Cristoforo Colombo* (1451–1506) — włoski żeglarz i podróżnik, uważany za odkrywcę Ameryki. [przypis edytorski]

— W Ekwadorze!
— Twoja bystrość przynosi zaszczyt rodzajowi damskiemu. Osiem kobiet na dziesięć rzekłoby, że to Zakopane²⁴², gdyż widać jakieś góry.

— To Andy²⁴³ — wyjaśniła Basia słynnego geografa.

— Zdaje mi się, że słuszność jest po twojej stronie! — śmiał się uczony.

Śmiał się jednak jakoś dziwnie — pokrywał śmiechem wzruszenie podczas wymaginowanej²⁴⁴ podróży na grób ojca tej dziewczyny.

— Byłam tu już dziesięć tysięcy razy — rzekła Basia cicho.

Profesor spojrział na nią ze szczerym zdumieniem, potem, zrozumiałwszy, w jaki sposób i w jakim celu wędrowała po tej krainie, a także po wszystkich sąsiednich, spędził z ust uśmiech jak pszczołę i rzekł poważnie:

— To dolny Ekwador, bagnisty, zarażony malarią²⁴⁵ i gorączką... A tu górny, zagubiony wśród gór i przepaści. Po hiszpańsku: *tierra fria* — „zimna kraina”. Na te wyżyny zmierzał twój ojciec z dwoma francuskimi uczonymi.

— Po co?

— Po wiedzę. W kraju tym mieszka indiańskie plemię Jiwaro²⁴⁶, o którym krąży mnóstwo bajek i bredni. Nauka jest żelazną miotłą, co wymiata z umysłów ludzkich wszystkie plewy²⁴⁷. Dlatego wybrało się tam ich trzech, aby przez rok cały badać ten zakątek świata. Jeden z nich miał notować mowę i pieśni, drugi miał przynieść ściśle wiadomości o wszystkim, co tam żyje i rośnie, a twój ojciec zamierzał zbadać samą ziemię, skały, góry i rzeki. Tymczasem... Czy będziesz odważnie słuchać, moje dziecko?

Basia skinęła głową z wielką powagą.

— Tymczasem podczas przejścia przez góry zerwała się na wielkiej wysokości ścieżka. Jeden z Francuzów ocalał, drugi zaś i twój ojciec... Panie Boże, daj im światłość wiekuistą... A tobie, dziewczyno...

— Panie profesorze — rzekła Basia głucho. — Czy to wszystko jest pewne?

— Takie sprawozdanie zdał ocalony. Udało mu się dotrzeć do ludzkich osiedli, do miasteczka Loi. Stamtąd powrócił do Paryża. Francuskie Towarzystwo Geograficzne powtórzyło jego sprawozdanie w urzędowym biuletynie²⁴⁸. To wszystko, co wiem.

— I nie szukano ich?

— Owszem, prowadzono poszukiwania jeszcze długo po katastrofie. Nie znaleziono śladu... Przepaści są żarłoczne. Jakies straszliwe, górskie deszcze musiały pogrzebać tragedię wśród skał i kamieni. A dzisiaj... Dzisiaj mija już dziesięć lat... Głowa do góry, dziewczyno! Twój ojciec padł na posterunku jak żołnierz. Żołnierz nauki jest największym bohaterem. Nie zabija, szuka źródeł życia, chce rozszerzyć świat i wytycza drogi dla tych, co za nim przyjdą ze światłem. Bądź dumna ze swego ojca... Padł na szczytach, na których śmierć czyha, siedząc okrakiem... Czekaj, dziecko, coś ci jeszcze pokażę...

Zdjął ze ściany wielką fotografię, na której obok niego widać było sześciu młodych ludzi.

— To twój ojciec — rzeki zdławionym głosem. — Ten oto, z lewej strony...

Basia wpiła się spojrzeniem w jasną, szczerą, wesołą twarz. Wpatrywała się w nią tak mocno, że ta twarz zaczęła rosnąć, olbrzymieć i oto nagle dwie jasne źrenice zajrzały w oczy Basi.

— Tatusiu! — szepnęła dziewczyna rozzwierającym głosem.

Profesor Somer wyjął łagodnie zdjęcie z jej rąk.

— Nie trzeba... Maleńka, nie trzeba... Raczej uśmiechnij się do niego.

Jasna twarz ojca zapadła w oczy Basi i utrwaliła się w nich jak na płycie fotograficznej.

Modliła się tego wieczoru:

— Spraw, Boże jedyny, aby mu nie było zimno w tej przepaści... Niech go omijają wody i nie budzą go ze snu... Niech omijają go głazy lecące z urwiska... Niech ma grób

²⁴²Zakopane — polskie miasto w województwie małopolskim, siedziba powiatu tatrzańskiego. [przypis edytorski]

²⁴³Andy — łańcuch górski w Ameryce Południowej. [przypis edytorski]

²⁴⁴wymaginowany — wyobrażony. [przypis edytorski]

²⁴⁵malaria — choroba pasożytnicza, objawiająca się wysoką gorączką. [przypis edytorski]

²⁴⁶Jiwaro — grupa plemion indiańskich żyjących w Ekwadorze i pln.-wsch. Peru. [przypis edytorski]

²⁴⁷plewa — tu: coś bez wartości. [przypis edytorski]

²⁴⁸biuletyn — informator, serwis informacyjny. [przypis edytorski]

Nauka, Duma

Ojciec, Wspomnienia

spokojny na dalekiej, strasznej, obcej ziemi... Miej litość dla mojego biednego ojca, Boże Ojczy!

Do państwa Olszowskich powiedziała:

— Ja wiem wszystko!

Schowała atlasy i mapy, gdyż po ekwadorskim płaskowyżu mogła wędrować z zamkniętymi oczami.

Czekała ją jeszcze jeden obowiązek, bardzo pilny: odwiedzenia grobu matki i wizyta u pani Natalii Budziszowej, jej pierwszej opiekunki.

Obydwie długo klęczały przy grobie, starannie utrzymanym i ukwieconym.

— To pani o tym pamięta... — rzekła Basia ze wzruszeniem. — Jak ja mam pani dziękować?

Ujęła ręce doktorowej i przytuliła do swej twarzy.

— Daj spokój, dziecko! — broniła się gwałtownie pani Budziszowa. — To żadna zasługa... W naszym przeraźliwym mieście nie można gadać z żywymi, więc trochę radości znajdzie człowiek jedynie na cmentarzu. Zasadziłam tu kilka kwiatków, to i cóż?... Mam przynajmniej jakieś zajęcie.

— Przecież pan doktor... — bąknęła Basia.

— Pan doktor więcej się zawsze cieszy tyfusem²⁴⁹ niż mną. Poza tym gra w pikietę z aptekarzem, ładna spółka, co? A jako kibic asystuje im właściciel składu trumien. Ale, ale... Skoro już mowa o śmiertelnym towarzystwie, powiedz mi, co się dzieje z tym upiornym aktorem, co straszny w biały dzień?

— Z panem Walickim? — uśmiechnęła się Basia. — Co niedziela przychodzi do babci na obiad i klóć się do wieczora. Bardzo się postarzał.

— A zębami zgrzyta?

— Już nie bardzo. Tylko w niedzielę.

Basia spędziła trzy pogodne dni u zacnej — choć skwaśniałej jak zwietrzałe, dobre kiedyś, wino — Budziszowej. Po czułym pożegnaniu trzeba było wracać.

— Trafisz chyba sama do Warszawy? — uśmiechnęła się doktorowa. — Nie potrzeba ci już kartki z adresem?

Basię oczekiwała w Warszawie smutna nowina.

— Walicki jest bardzo chory! — oznajmił jej pan Olszowski.

— O Boże! — zasmuciła się dziewczyna serdecznie. — Niedawno rozmawiałam o nim z panią Budziszową. Co mu jest?

— Ciężko zaziębił się gdzieś na swojej aktorskiej włóczędze. Zapalenie płuc, ale groźne. Zabrali go do szpitala.

— Czy można go odwiedzić?

— Nie tylko można, ale trzeba, Basiu! Ten biedny człowiek wciąż wypytuje o ciebie! Był tu Szot i opowiadał. Może tego nie pamiętasz, ale gdy byłaś chora przed dziewięcioma laty, ten przezacny człowiek włosy sobie wyrывał z głowy i przychodził codziennie.

— Pamiętam... Wykrzykiwał śmiesznie, aby mnie pocieszyć. Biedny, biedny Herod!

Pobiegła czym prędzej do babki, aby o nim pogadać. Pani Tańska była jak zgaszona pochodnia²⁵⁰ i dymiła złym humorem.

— Mówiłam mu: „Noś pan jesienią trykoty²⁵¹! Odziewaj się ciepło!”. Mówiłam mu dziesięć razy i myślisz, że mnie posłuchał? Płaszczyk nosił, podszyty wiatrem, a buty miał... Wiesz, jakie miał buty? Przyszedł kiedyś, a ja patrzę: na dywanie kałuża... Ryby można było łowić... Powiedział mi: „Co to znaczy? Czemu pan nie wyciera nóg przed drzwiami?”. „Wycierałem, wycierałem — bredzi ten zbójca — ale nie udało się. Ta woda nie pochodzi z zewnątrz, to jest woda zaskórna, wypływa z wnętrza butów!”. Podnosi bezczelnie najpierw jedną nogę, a potem drugą i chwali się, że ma dziury w podszewkach. Chciałam zazgrzytać zębami, ale mnie uprzedził, a ja z nim nie wytrzymam konkurencji²⁵². „Na sztuce się dorobiłem! — zaczął krzyżeć. — To są moje odznaczenia za waleczność! Tak za nią chodziłem, krok w krok, że zdarłem te śmieszne buty!”. Słyszałaś coś podobnego?

²⁴⁹tyfus — ostra choroba zakaźna. [przypis edytorski]

²⁵⁰pochodnia — szczapa nasączona smołą, używana dawniej do oświetlania. [przypis edytorski]

²⁵¹trykot — dzianinowa odzież zrobiona jak pończochy. [przypis edytorski]

²⁵²konkurencja — tu: współzawodnictwo, rywalizacja. [przypis edytorski]

Matka, Cmentarz,
Wspomnienia

Choroba

Kondycja ludzka, Pozycja
społeczna, Bieda

— Babciu... — rzekła Basia nieśmiało. — Trzeba mu było kupić nowe...

Pani Tańska spojrzała ponuro.

— Tak myślisz? — rzekła czarnym głosem.

Otworzyła z wielkim trzaskiem szafę i podniosła w rękę parę lśniących butów; po ich wielkości można się było domyślić, że pan Walicki żyje „na szerokiej stopie”²⁵³.

— Co to jest?! — krzyknęła gromko.

— Buty...

— Istotnie. Ślepy poznałby, że to buty. Kupiłam i mówię: „Weź je i noś w imię boże!”. A ten morderca omal mnie nie zabił. Krzyczał tak, że w całym domu zrobiło się zbiegowisko. „Nie potrzeba mi niczyjej łaski! — darł się jak opętany. — Jestem artystą, a nie żebrakiem! Niech je pani sama nosi, bo pani ma słoniowe nogi... I obie lewe!”. Słyszysz? Aha! I jeszcze gorsze rzeczy wygadywał. „Starożytne damy mają zwariowane pomysły. Może mi pani ofiaruje jeszcze jakieś swoje barchanowe²⁵⁴ majtadały²⁵⁵? Niech je pani da komuś innemu... Przydadzą się na namiot podczas ulewy!”. Potem trzasnęła drzwiami i tyle go widziałam. Ot, biedaczysko!

— Babcia się rozgniewała?

— Za co? To jest człowiek jak łaźnia i ma swój honor. Nagadał on mnie, nagadałam ja jemu i koniec... Smutno mi bez niego... A gdy się dowiedziałam, że chory, serce się we mnie ścisnęło... Pójdiesz tam do niego, Basiu?

— Idę jutro z panem Szotem.

— To dobrze, to bardzo dobrze! Powiedz mu, że chciałam jak najlepiej. A tego Szota zapytaj, czy czegoś Walickiemu nie potrzeba. Teraz nie będzie mógł robić awantur. Nie-szczęśliwy pan Antoni... Gębę wykrzywia, a serce ma anielskie... Marcysia zapłakuje się w kuchni... Mówił jej, że przez milion lat będzie gryzła w piekle to, co podle ugotowała, i że będzie popijając smołą, a babina przepadała za nim. Zabrał ją raz do teatru, kiedy grał jakiegoś ducha, a Marcysia uciekła ze strachu. Za to chciał ją ucałować... Powiedz mu, Basiu, żeby prędko wyzdrowiał!

Pan Antoni Walicki, najstraszliwszy Herod wszystkich czasów, żywy upiór i wilkołak, prezes stowarzyszeń straszących duchów, herszt²⁵⁶ zbójców i krwawe widmo, nie miał jednak tego zamiaru. Dyszał ciężko i łowił powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Wodził ponurym spojrzeniem po pułapie, jakby ujrzał tam śmierć pod postacią pająka. Czasem pokrzykiwał głośno i zapewne ją odstraszył, bo długo czaiła się w mroku. Gorączka zjadała go uporczywie.

Przyjaciel Szot odwiedzał go często i wpatrywał się w niego smętnym, zbolalym wzrokiem. A pan Antoni zapytywał urywanym, spotniałym głosem:

— Co słyhać w teatrze?

Przyjaciel opowiadał o blaskach i nędzach umiłowanego przybytku sztuki, udając beztroską wesołość. Nagle ujrzał na cmentarzysku twarzy Walickiego gwałtowne skrzywienie, znając zaś jej obłądną wymowę, zdumiał się:

— Czemu się cieszysz, Anteczku?

— Cieszę się... — mówił ciężko stary Herod — bo zbliża się wielka, wielka przyjemność... Tylko czekam, aby umrzeć... Tej samej nocy tak będę straszył tego ananasa dyrektora, że albo osiwieje, albo ucieknie z domu...

— Warto, warto! — rzekł Szot z uznaniem. — To partacz²⁵⁷, nie dyrektor. Ale ty, Antoni, nie umrzesz... Mowy nie ma!

— Umrę, umrę, choćby z grzeczności... Nie mogę robić zawodu doktorom, którzy już podpisali wyrok. Aha, Szot!

— Słucham cię, bracie!

— Poduszkę możesz zabrać sobie... Kołdrę też... Tylko nie sprzedawaj, opryszku jeden, bo się spijesz... Znam cię. Za to musisz przed karawanem²⁵⁸ nieść wszystkie moje ordery...

²⁵³na szerokiej stopie — parafraza sytuacyjna wyrażenia „żyć na wysokiej stopie”, czyli w luksusowych warunkach. [przypis edytorski]

²⁵⁴barchanowy — wykonany z barchanu, grubej tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

²⁵⁵majtadały (pot.) — obszerne majtki. [przypis edytorski]

²⁵⁶herszt (pot.) — przywódca bandy. [przypis edytorski]

²⁵⁷partacz — psuj, nieudacznik, człowiek niedbały. [przypis edytorski]

²⁵⁸karawan — pojazd używany do przewożenia trumien. [przypis edytorski]

— Jakie ordery?
— Te wszystkie gwiazdy, które widziałem w biały dzień, kiedy byłem głodny... I te wszystkie krzyże...

— Przestań, Anteczku, masz gorączkę...

— Zawsze miałem gorączkę, przez całe życie... Porządny aktor musi mieć zawsze gorączkę... Ile razy wchodzi na scenę... A ja przez czterdzieści lat... Ale za to Heroda grałem, że palce lizać!

— Morowo odstawiałeś Heroda! — rzekł Szot z zapalem. — I ducha ojca Hamleta! Już nikt tak nie zagra!

Stary aktor przymknął oczy z zachwytem. Śmierć zaszła się w jakiś ciemny kąt, a promień słońca wpadł przez okno ze złotą radością. Szpitalny pokój napelnił się zgiełkiem i wrzawą²⁵⁹: „Walicki! Walicki!”. To galeria²⁶⁰ tak klaszcze i woła, i domaga się ukazania się aktora przed kurtyną²⁶¹.

— Szot... — szepnął stary Herod.

— Jestem...

— Wszystkie fotografie dasz Basi... Słyszysz?

— Słyszę... Basia przyjdzie tu jutro!

Walicki otworzył oczy szeroko i zawołał jasnym głosem:

— Przyjdzie? O przyjacielu... Szot, ja muszę się ogolić!

Nadobnie ogolony, z podnieceniem w oczach, oczekiwał jej nazajutrz od samego rana.

Basia zjawiła się po południu z bukietem jesiennych fiołków, uroczysta i jakby trochę załękła. Szot, czekający na nią przed bramą, rzekł smutno:

— Bardzo jest źle, ale proszę się uśmiechać...

— Ja nie mogę.

— Trzeba! Trzeba się uśmiechać.

— Dobrze! — powiedziała Basia.

Zmartwiała na krótką chwilę, ujrawszy wujaszka Walickiego zamienionego w ponury cień, lecz gdy dostrzegła jego nieludzką radość, uśmiechnęła się rozrzewniająco. Chciał wyciągnąć ręce w jej stronę, ale nie mógł.

— Basiu! — szepnął. — Basieńko!

— Wujaszku złoty! — mówiła dziewczyna drżącym głosem. — Wszystko będzie dobrze... Wszyscy się modlą za twoje zdrowie. I babcia, i ciocia... I Marcysia się modli i płacze...

— Nareszcie zupa będzie posolona, jeśli lzy do niej leje... Dobrze, że przyszłaś... Teraz, Basiu, spokojnie umrę... Bardzo na ciebie czekałem... Szot, nie podsłuchuj... Chcę jej coś powiedzieć...

Przyjaciel usunął się na palcach w stronę okna i patrzył na ogród. Basia usiadła przy łóżku.

— Pochyl się nade mną... Tak!... Nie mogę mówić... A chciałbym ci powiedzieć, drogie dziecko... Że cię bardzo... Bardzo kocham... Nie mam na świecie nikogo... Wszyscy odeszli... Sam jak palec... Nikt nigdy... Nie przytulił twarzy do mojej twarzy... Tylko ty... Pamiętasz? Na dworcu... Przed dziesięcioma laty...

— Pamiętam...

— Nigdy tego nie zapomniałem... Pan Bóg cię zesłał... Bo mi było w sercu strasznie ciemno... A ja mam serce... To wygląda na kłamstwo, ale mam...

— Ja wiem o tym!

— To dobrze... Pamiętaj o mnie, dziecinko... Choćby niedługo, ale pamiętaj... To tak strasznie smutno pomyśleć, że nikt nigdy nie wspomni.

Basia zaczęła mówić szybko, gorącym szeptem, że nie tylko ona, lecz że kochają go wszyscy i nigdy, przenigdy o nim nie zapomni, ale niepotrzebnie o to prosi, bo wyzdrowieje.

Herod przymknął oczy i słuchał chciwie.

²⁵⁹ wrzawa — gwar pomieszanych dźwięków. [przypis edytorski]

²⁶⁰ galeria — tu: najwyższy rząd balkonów w teatrze. [przypis edytorski]

²⁶¹ kurtyna — podnoszona zasłona, oddzielająca w teatrze scenę od widowni. [przypis edytorski]

Zdawało mu się, że jest śmiertelnie znużonym²⁶² wędrowcem, co wyczerpany legł pod drzewem, na którym śpiewa ptak. Pachną mocno fiołki, pachną aż do upojenia, a łaskawe, wiosenne słońce ogrzewa jego zgrabiące z zimna ręce. Dotyk słońca napędza go niewysłowioną błogością... Jest mu ciepło, jest mu niezmiernie dobrze... Promień pieści ogrzewa jego dłonie. Spojrzał na nie, otworzywszy z trudem oczy, i ujrzał, że to nie słońce — to Basia położyła na nich swoje dziecinne, małe rączki.

— Basiu... — szepnął jakby zdumiony. — O, jak ciepło... Tak... To przecież wiosna...

Dziewczyna spojrzała z rozpaczą w stronę Szota.

Czemu Herod mówi o wiosnie? Zapada właśnie jesienny mrok. Co mu się roi?

A Walicki mówi zdyszczonym szeptem:

— Jest mi dobrze... Strasznie byłem zmęczony... Tyle lat, tyle lat... Serce spalone na popiół... Wszystko spalone. Bo ja zawsze całą duszę... Całą duszę wkładałem w to, co było... Co było piękne... Basiu, jesteś tu?

— Jestem! — odpowiedziała zdławionym głosem.

— Nie odchodź... Całe życie sam... Niech przynajmniej teraz... Nie boisz się mnie?

— Wujaszku!

— To dobrze... Ja tylko na twarzy... Ale w duszy... O Boże, Boże miłosierny!...

W okrzyku tym było tyle skargi, tyle prośby, tyle jęku i tyle łez, że napędził on cały pokój. Cisza, która potem zapadła, była jakaś niezmiernie poważna i uroczysta. Bładość pokryła twarz i serce dziewczyny. Stała bezradna i zalekła wobec czegoś wielkiego i wzniosłego. Biedny człowiek wzywał Boga głębokim jękiem duszy.

— Zasnął... — szepnął Szot.

Basia podniosła się z krzesła i patrzyła z niewysłowioną tkliwością na tę twarz brzydką, chmurną, wymęczoną i zmiętą. Jej pierwszy opiekun, udreńczony cierpieniem, leżał bezbronny — Łazarz i Hiob, dopraszający się jednego ciepłego słowa. Chciała mu ich powiedzieć milion.

— Śpi... — powtórzył Szot.

Nagle Basia chwyciła jego rękę.

— Niech pan patrzy!... — szepnęła.

Poorana zmarszczkami, groźna twarz krwawego Heroda uległa jakiejś gwałtownej przemianie: wygładziła się, pojaśniała i chyba przez niepojęty cud opromieniła się jasnym, dobrym, łagodnym uśmiechem. Złoto tego niespodziewanego uśmiechu ukazało się na jego białych ustach. Ponury straszliwiec uśmiechał się, szczęśliwy, och, jak bardzo szczęśliwy!

Musiał umrzeć, aby się uśmiechnąć...

IO. „*Intryga*²⁶³ i *miłość*”²⁶⁴

Basia wracała do domu jak półprzytomna. W swoim króciutkim życiu widziała już śmierć dwa razy, a myślała wciąż o trzeciej: w przepaści dalekiej ziemi. Dwa razy dotknęła jej ręką. W tej chwili niosła w oczach ostatni, dobry uśmiech znużonego człowieka, który tym uśmiechem witał spokój wieczysty i niezmacony.

Tak była zamyślona, że nieostrożnie przechodziła przez jezdnię w niebezpiecznych miejscach. Nagle usłyszała zdyszane sapanie i gniewny, rozkrzyczany warkot samochodu, który z największym trudem zatrzymał się tuż przed nią. Posypał się w jej stronę grad gwałtownych okrzyków. Oprzytomniawszy, zaczęła biec w stronę chodnika. Uniknąwszy śmierci, nie zdołała jednak umknąć przed policjantem, który stanął przed nią z marsową²⁶⁵ miną.

— Czy panna nie ma oczu? — zadał jej dość ironiczne pytanie, gdyż dwoje oczu patrzyło w niego z pokornym lękiem. — Trzeba będzie zapłacić złotówkę... Ma panienska pieniądze?

²⁶²znużony — zmęczony. [przypis edytorski]

²⁶³intryga — podstępne działanie zmierzające do poróżnienia ludzi; powikłanie akcji w utworze literackim. [przypis edytorski]

²⁶⁴Intryga i miłość — tytuł sztuki niemieckiego poety, dramaturga i filozofa, Friedricha Schillera (1759–1805), opublikowanej w 1783 roku. [przypis edytorski]

²⁶⁵marsowy — surowy, groźny; Mars był przez starożytnych Rzymian czczony jako bóg wojny. [przypis edytorski]

Basia miała pieniądze i już chciała otworzyć torebkę, lecz zatrzymała się. Pokorny łęk ciężkiego przestępcy nagle gdzieś się zapodział, a beczelna damska figura, mąca haniebnie prawidłowy ruch uliczny, spojrziała bystrze na pogodne oblicze przedstawiciela porządku publicznego i rzekła:

— Dobry wieczór, panie Michale!

Granatowy człowiek otworzył szeroko urzędowe usta i jakby stęzał — tak samo jak żona Lota, gdy została zamieniona w słup soli. Przez jezdnię przemknęło, chytrze i podstępnie, co najmniej dziesięciu lekkomyślnych Lechitów²⁶⁶, zanim policjant odzyskał mowę i buchnął okrzykiem jak fontanna:

— Panna Basia!

Zdawało się przez chwilę, że w obliczu niesfornego²⁶⁷ świata, mającego skłonność do wpadania pod auta, zbrojny mąż zacznie całować rączki dziewczyny. Pohamował się jednak i tylko oczami krzychał, że nie mogła go spotkać większa przyjemność i że dawno nie zaznał wspanialszej radości. Tego nie mogły mu zabronić żadne przepisy. Dawny Michałek, wierny sługa pana Olszowskiego, ósmy brat śpiący, trzeci z kolei opiekun Basi, jej czciciel i adorator²⁶⁸, a obecnie godny podziwu rycerz, przypasany do rewolweru i pałki, otworzył po raz drugi cudowną gębę, tym razem w szerokim uśmiechu. Druga dziesiątka niesfornych Lechitów, korzystając z tego otumaniałego stanu przedstawiciela władzy, przebiegła przez jezdnię w niedozwolonym miejscu.

— O, jak się cieszę... O, jak panienka wyrosła... — mówił szybko granatowy mąż. — Teraz nie mam czasu na rozmowę, ale czy mogę przyjść do państwa?

— Musi pan przyjść! — rzekła Basia serdecznie. — Do widzenia!

— Chwileczkę! — mówił czujny żuraw. — Panno Basiu... Proszę się nie gniewać... Ale złotóweczkę trzeba zapłacić!...

Basia zapłaciła złotóweczkę z największą powagą, pan Michał wyprostował się i zasalutował elegancko.

— Proszę się pięknie kłaniać...

Nie wymienił tej szczęśliwej osoby, gdyż zawładnąwszy już zmaconymi zmysłami, dostrzegł dwudziestego pierwszego niesfornego Lechitę, który, korzystając z zamieszania, przebiegał przez jezdnię, i zatrzymał go, uczyniwszy dwa jelenie susy.

Basia ujrzała go po raz drugi na pogrzebie Walickiego.

Piękny to był pogrzeb. Nie było żadnej rodziny nad grobem, ale odprowadzali go wierni, najwierniejsi przyjaciele. Pan Olszowski przemówił wzruszająco. Szot lkał, wtuliwszy głowę w ramiona. Pani Tańska patrzyła na trumnę twardym wzrokiem, lecz przyspieszony oddech zdradzał, że jakaś burza kotłuje się w jej sercu. Ktoś rzucił do otwartego grobu mizerną wiązankę kwiatków, lecz zebranych ogarnął podziw, gdy pani Tańska wzięła z rąk zapłakanej kucharki dość pokaźne zawiniątko i pochyliwszy się nad grobem, złożyła je u stóp trumny. Nikt nie śmiał zapytać, czym obdarzyła starego aktora na podróż w niebiosa. Jedna Basia wiedziała, że to te błyszczące, nowiutkie buty... W nich stanie sobie dumny pan Antoni przed boskim tronem i olśni całe niebo. Umarli aktorzy spojrzą z zazdrośnym podziwem i rzekną: „Aleś się, bracie, wyelegantował²⁶⁹!”. A najbardziej zdumiony będzie sławny artysta teatralny, pan Trapszo²⁷⁰, który swoje dyrektorskie obuwie zszywał białą nitką i czernił je potem umiejętnie, albowiem wielka chwała rzadko wędruje przez świat w całych butach.

Pogrzeb

Pani Tańska, dowiedziawszy się o ostatnim uśmiechu krwawego Heroda, rzekła krótko:

— Zawsze wiedziałam, że to był oszust. Na gębie miał cmentarz, a śmiał się do środka.

Pomodliła się jednak gorąco, aby mu Pan Bóg przebaczył to ponure szachrajstwo²⁷¹. Potem kazała przyjść Szotowi.

²⁶⁶ *Lechita* — potomek legendarnego założyciela Polski, Lecha; Polak. [przypis edytorski]

²⁶⁷ *niesforny* — nieposłuszny, krnąbrny. [przypis edytorski]

²⁶⁸ *adorator* — wielbiciel. [przypis edytorski]

²⁶⁹ *wyelegantować się* (pot.) — ubrać się przesadnie elegancko. [przypis edytorski]

²⁷⁰ *Trapszo, Marcełi* (1860–1921) — aktor teatralny i filmowy, reżyser teatralny i dyrektor teatrów. [przypis edytorski]

²⁷¹ *szachrajstwo* (pot.) — oszustwo. [przypis edytorski]

— Niech pan w każdą niedzielę pojawi się na obiedzie! — rozkazała szorstko. — Niech pan wpadnie, bo nie mam się z kim kłócić.

— Ale ja jestem spokojnym człowiekiem, szanowna pani!

— Nic nie szkodzi. Przy mnie zrobi się pan awanturnikiem... Będę miała jakieś zajęcie, bo żyję za długo i straszliwie mi się nudzi. A mam jeszcze cztery zęby!

Tymi czterema zębami usiłowała rozgryźć twarde zagadnienie: co się właściwie dzieje z Basią. Dziewczyna zmizerniała i straciła żywy humor, który był źródłem wesołego zamieszania w domu. Pan Olszowski był zaniepokojony. Basia, odwiedzwszy jeszcze dwa razy profesora Somera, zaczęła wysyłać jakieś tajemnicze listy i jakieś zagadkowe odpowiedzi zaczęły przychodzić do niej. Najdziwniejsze było to, że dziewczyna najwidoczniej korespondowała z Paryżem, stamtąd bowiem docierała poczta zwrotna. Nikt nie chciał wypytywać jej o te sprawy.

— Musi wiedzieć, co robi! — rzekła pani Olszowska. — To nie jest głupia dziewczyna.

Pani Tańska, usłyszawszy o tym, od razu odnalazła prawdziwy powód tajemniczej korespondencji:

— Musiała się zakochać w kimś, kto przebywa we Francji!

— Ależ, babciu, cóż za pomysł! — wybuchnęła pani Olszowska.

— Pomysł nie najgorszy — odrzekła babcia. — Daleko nie szukając, ja sama zakochałam się we Francuzie.

— W kim?

— W Napoleonie III²⁷². Byłabym nawet napisała do niego list, ale nie umiałam po francusku. A Basia umie. Zobaczycie, że z tego będzie awantura.

Basia miała wprawdzie kłopoty romansowe²⁷³, ale na rodzinnej ziemi. Zajmowały one południową stronę jej serca, tę jeszcze dziecinną i pogodną, bo w jego północnej części gromadziły się chmury i latały ponad nią troski.

Cała szkoła wiedziała o „śmiertelnej” miłości i krwawym współzawodnictwie genialnego Juliusza, który umiał naprawiać dzwonki, i wieszczą Zygmunta, oblewającego siódmymi potami każdy rym niezliczonych wierszydeł. Basia zapomniała o nich obu podczas chmurnych dni, wśród których był ten jeden, wydęty jesiennym wiatrem i pomazany skisłym, deszczowym mrokiem: dzień odlotu wędrownego żurawia, biednego Heroda, na wyrąj²⁷⁴ w niebieskiej krainie. Prędko jednak obaj wielbicieli wyskoczyli jak dwa szatany z magicznego pudełka. Dwa cienie wędrowały za Basią niezmordowanie i czaiły się na jej drodze — jeden po lewej, drugi po prawej stronie ulicy. Udawała, że ich nie widzi. Ponieważ jednak nie można było przejść obojętnie wobec tak niezmiernej miłości, moknącej na deszczu i wytrwale prażącej się na słońcu, czasem — bardzo rzadko — ofiarowała zagadkowe spojrzenie lewym okiem geniuszowi od dzwonek, a prawym — geniuszowi od pisania wierszy. Ten łaskawy wzrok został na wieki wieków zasuszony w poemacie²⁷⁵ Zygmunta, z którego dotarł do nas zaledwie szczątek:

Uśmiechnęła się do mnie — o serce, ratunku!

Bowiem cóż to jest uśmiech? To pół pocałunku!

Ponieważ na znak obłądnej wręcz radości z tego samego powodu trudno było Juliuszowi naprawić wszystkie dzwonki w mieście, ten nieszczęśliwy człowiek, którego serce było młotkiem Neffa (zobacz w podręczniku fizyki), postanowił oblec w krwawiące ciało wszystkie swoje groźby. Szczegóły tej ponurej sprawy wyszły na jaw za pośrednictwem kuzynki Juliusza. Opowiedziała ona zrozpaczonemu szeptem całej szkole o serdecznej męce naprawiacza dzwonek, który pewnego dnia, chmurny jak noc i Achilles²⁷⁶ w pierwszej

²⁷²Napoleon III a. Karol Ludwik Napoleon Bonaparte (1808–1873) — prezydent Francji i cesarz Francuzów. [przypis edytorski]

²⁷³romansowy — tu: sercowy. [przypis edytorski]

²⁷⁴wyrąj — odpoczynek, miejsce odpoczynku. [przypis edytorski]

²⁷⁵poemat — długi utwór wierszowany, epicki lub liryczny. [przypis edytorski]

²⁷⁶Achilles — w mitologii greckiej heros i bohater wojny trojańskiej. [przypis edytorski]

pieśni *Iliady*²⁷⁷, uderzył z mocą ręką o stół i zakrzyknął słowami Mickiewicza²⁷⁸: „Trzeba tę rzecz skończyć! Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć!”²⁷⁹.

Po czym posłał sekundantów²⁸⁰ Zygmuntovi.

Przyszło ich dwóch, a chociaż dzień był słoneczny, poecie zrobiło się czarno przed oczami. Obaj byli mroczni jak dwa postne dni, a tak od nich wiało śmiercią, jak zapach kiszzonej kapusty wionie ze starej beczki.

— Wiesz, o co idzie... Szkoda marnować słów, zresztą Julek zabronił nam wymawiać imię jednej osoby, które jest dla niego święte. Stałeś na jego drodze, więc jeden z was musi zginąć.

— W takim razie on zginie! — krzyknął poeta nawet dość potężnie, niewątpliwie jest jednak prawdą, że to nie on krzyknął, lecz strach, który w nim mieszkał.

— To się jeszcze pokaże — zaśmiał się jeden z sekundantów i zmierzył Zygmunta uważnym wzrokiem, jak gdyby zdejmował na oko miarę na trumnę.

— Raz kozie śmierć! — oświadczył drugi.

Nie wiadomo dobrze, co w tej śmiertelnej sprawie miała do roboty koza. Ponure oświadczenie brzmiało na pozór bez sensu, lecz groźny posłaniec, z obojętnością potraktowawszy kozę, z takim naciskiem wymówił słowo „śmierć”, że wykrzyknik po nim przybrał widomy kształt cyprysu²⁸¹, smutnego drzewa rosnącego nad grobem. O to szło!

Cała sprawa toczyła się w największej tajemnicy, dlatego tylko jeden z kolegów o niej nie wiedział, bo na swoje nieszczęście był chory. Włókła się ona przez dwa tygodnie. Naradzano się nad wyborem broni uśmiercającej całkowicie i bez nadziei ratunku. Codziennie któryś z dobrych towarzyszy podsuwał inny sposób zakatrupienia przeciwnika. Jednym z najznakomitszych — lecz, niestety, niewykonalnym — był pomysł, aby do pudełka włożyć jadowitą kobrę, przy czym obaj śmiertelni wrogowie mieli na pięć minut wsunąć równocześnie ręce do strasznego pojemnika. Kogo wybierze wąż, to sprawa jego i losu. Nie można było też urządzić przeciwnikowi *kęsim*²⁸² ani z pomocą broni siecznej, ani palnej, gdyż nie było sposobu jej zdobycia. Odpadł doskonały pomysł, aby obaj wrogowie zanurzyli równocześnie głowy pod wodę; wygrałby ten, który by miał dłuższy oddech. Taki pojedynek — wyborny w lecie — był dość ryzykowny w listopadzie. Z miłości można umrzeć, rzecz jasna, ale po co się zaziębić?

Głucha wieść zaczęła krążyć po szkole:

Skończone! Będzie amerykański pojedynek... Straszny pojedynek...

Już nie czterech — po dwóch z każdej strony, ale trzydziestu sześciu sekundantów — po osiemnastu na głowę, wymyśliło jeden z najokropniejszych pojedynków, jaki zanotowano w awanturniczych dziejach świata. Obaj rywale złożyli ponurą przysięgę, że od dnia 13 — trzynastego! — listopada, od godziny dziewiętej rano przestaną przyjmować pokarmy. Nie wolno im wziąć do ust niczego prócz wody. Wszystkie możliwe szachrajstwa zostały przewidziane. Woda musi być wprost z kranu i nie wolno w niej przemycać chytrze żadnych pożywnych, rozpuszczalnych dodatków. Kto zginie, ten zginie. Trudno. Kto wytrzyma, będzie zwycięzcą. Każdemu z przeciwników przysługuje prawo kapitulacji. Może się stawić przed śmiertelnym trybunałem²⁸³ i ogłosić: „Dłużej nie mogę! Poddaję się!”. Przez to samo, jako pobity, zejdzie z drogi zwycięzcy i nie wolno mu już nigdy współzawodniczyć w „wiadomej” sprawie.

Cała klasa Basi śledziła z niewypowiedzianym wzruszeniem dzieje tego pojedynku. Na nią samą patrzono z zazdrośnym podziwem.

— Jakaś ty szczęśliwa! — mówiono.

— Zielonooka jest już cała zielona z zazdrości!

²⁷⁷*Iliada* — powstała w VIII lub VII wiek p.n.e. epos opowiadający o wojnie trojańskiej, którego autorstwo przypisywane jest starogreckiemu epikowi i śpiewakowi Homerowi. [przypis edytorski]

²⁷⁸*Mickiewicz, Adam* (1798–1855) — poeta romantyczny, działacz polityczny, publicysta, tłumacz, filozof i nauczyciel akademicki. [przypis edytorski]

²⁷⁹*Trzeba tę rzecz skończyć! Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć!* — cytata z poematu Adama Mickiewicza (1798–1855) pt. *Pan Tadeusz*. [przypis edytorski]

²⁸⁰*sekundant* — świadek osoby biorącej udział w pojedynku. [przypis edytorski]

²⁸¹*cyprys* — drzewo ozdobne, symbolizujące śmierć w mitologii greckiej i rzymskiej. [przypis edytorski]

²⁸²*kęsim* — ścięcie głowy, dekapitacja. [przypis edytorski]

²⁸³*trybunał* — sąd o szczególnych kompetencjach. [przypis edytorski]

— Ależ to wszystko nie ma sensu! — mówiła Basia, nieco bez przekonania.
Ogarnął ją jednak wielki niepokój, gdy trzeciego dnia zaczęły krążyć po szkole biuletyny.

— Zygmunt omal się nie przewrócił...

— Julek jest blady jak śmierć...

Zielonooka Wanda uśmiechała się z politowaniem i wzruszała ramionami.

Czwartego dnia wpadła do szkoły Ewcia Szczepańska z przerażającą wieścią:

— Wiecie? Zygmunt jest umierający!

— O Boże! — krzyknęła Basia. — Co robić, radźcie, co robić?

— A cóż ty możesz zrobić? To jest honorowa sprawa! Nie mieszaj się do tego...

Basia pobiegła do pani Tańskiej i zrozpaczonym głosem opowiedziała jej o wszystkim.

Pani Tańska pomyślała głęboko i rzekła:

— Najlepiej by było, aby obaj skapieli²⁸⁴, bo o dwóch idiotów byłoby mniej na świecie!

— Jak babcia może tak mówić?

— Mogę, bo sama znam taki wypadek. Gdy byłam młoda, zakochał się we mnie jeden brunet, na którego nie chciałam patrzeć, bo nie cierpię brunetów. Wtedy przysiągł, że tak długo będzie stał na jednej nodze przed moimi oknami, aż się nad nim zlituję. Stał tak przez pięć dni i przez pięć nocy! Jednego dnia na lewej, drugiego na prawej nodze. Cała okolica zjeżdżała się, aby zobaczyć wariata...

— I co, i co?

— I nic. Kiedy mnie tak wzruszył, że już, już chciałam za niego wyjść, ten drab stanął na obydwóch nogach i ożenił się z moją przyjaciółką, która płakała z rozczulenia nad jego poświęceniem.

Nazajutrz wybuchła awantura wśród chłopców, ponieważ wyborny poeta istotnie zemdlął w szkole i odwieziono go do domu. Na żadne pytania jednak nie odpowiadał i zacisnąwszy zęby, nie chciał jeść.

— Ja pójdę do jego rodziców i wszystko powiem! — oznajmiła Basia.

— Może tak będzie najlepiej — zgodziły się zalekłe dziewczęta. — Ale poczekaj do jutra... On się podda.

Zielonooka wtrąciła lekceważąco:

— Albo zmańdrzeje!

— Poddał się Zygmunt! Zygmunt się poddał! — zakrzyknął następny dzień.

Ale to nie było poddanie się, tylko nieczysta sprawa. Leżący na łożu głodnej boleści poeta otrzymał przez posłów tajemniczy list. Przeczytał go mętnym wzrokiem, potem ryknął: „Jeść? Jeść?”. Ani nie stanął przed trybunałem, ani nie poddał się uroczystemu ceremoniałowi. Rzucił się na jedzenie łapczywie jak tygrys.

— Niesmaczne! — stwierdziła klasa Basi.

— On mówi zapewne, że jedzenie jest smaczniejsze — rzekła piękna Zielonooka.

— Wanda coś wie... — poszedł szept po szkole.

Zielonooka wydobyla z torebki papier i powiedziała niedbale:

— Napisał dla mnie wiersz...

Jedna z koleżanek chwyciła gwałtownie poemat i odczytała go zdumionemu społeczeństwu. Basia słuchała ze ściśniętym sercem. Ona zna ten wiersz... Napisany był dla niej. Podły poeta wydarł — jak serce — jej imię z utworu i na tym miejscu zasadził Zielonooką. Ach, to tak? Przez jedną chwilę Basia chciała się rozplakać, ale czy warto? Dlaczego jednak tak postąpił?

„Chyba głód pomieszał mu zmysły” — pomyślała gorzko.

Całą klasę zastanowił triumfalny uśmiech Zielonookiej; namiętny szept oznajmił, że dziewczyna musiała maczać palce w tej „intrydze i miłości”. Wreszcie się wydało, wszystko się wydało! Od zarania²⁸⁵ dziejów nie zdarzyło się, aby cokolwiek mogło się ukryć w żeńskiej szkole. Wierne koleżanki Basi przeprowadziły dochodzenie — długie i cierpliwe. Siostra Zygmunta, wylupiastooki pędrak z czwartej klasy, sprzedała zbrodniczą tajemnicę za dwanaście czekoladek. Dreszcz przebiegł przez wiele oburzonych serc, gdy

²⁸⁴skapić (daw.) — zginąć, zmarnieć. [przypis edytorski]

²⁸⁵zaranie — początek. [przypis edytorski]

stało się wiadome, że Zielonooka napisała list do marnego poety i przesłała go przez jego wylupiastooką siostrę. W liście tym wyśmiała krwawo jego opętaną miłość do Basi i wśród zatrutych kwiatków słów posłała mu własne — zapewne zielone — serce. Nie dbała o niego, lecz dopuściła się potwornej zdrady, byle dokuczyć Basi. Ach! Niektóre dziewczęta miały lzy w oczach. Święta kobieca solidarność została znieważona. Przyjaźń sponiewierana. Serce podeptane. Zielonooka nie zważała jednak na nic. Ośmieliła się oświadczyć głośno wobec trzech koleżanek, przejętych zgrozą:

— Jeżeli mi się będzie podobało, to i Juliusz będzie leżał u moich stóp!

Pięknie to było powiedziane, prawie jak w teatrze, lecz każde słowo toczył²⁸⁶ robak.

Basia, dowiedziawszy się o tym, spojrzała na nią wyniośle, z królewską obojętnością.

— Ta pani zbiera same tandety! — powiedziała. — Wszystko z drugiej ręki... Powinna przeczytać *Zemstę*²⁸⁷, gdzie opisana jest walka o mur graniczny. Fredro²⁸⁸ mówi tam: „Bo nie będę z ziemi zbierał, co Milczkowi²⁸⁹ z nosa spadło!”.

— Świetnie jej powiedziałaś! — orzekła klasa. — W piąty jej poszło!

Milcząca wojna, strzelająca huraganowym ogniem spojrzeń i raniąca, białą pogardą, trwała nieustannie i nie było widać jej końca. Zbliżał się jednak dzień imienin przełożonej szkoły, damy wielce czcigodnej i bardzo kochanej. Świętowano go zawsze w sposób nadzwyczaj uroczysty: graniem, śpiewaniem i deklamacją²⁹⁰, lecz świetnością świetności były żywe obrazy. Czcigodna dama musiała przez cztery bite godziny słuchać i patrzeć, co napełniało jej serce wzruszającą radością, a głowę — trzydniową migreną²⁹¹, uroczystość ta bowiem stwarzała znakomitą sposobność do publicznego pokazania wszystkich talentów szkoły, w której było siedem słowików śpiewających, osiem cudownych deklamatorek, cztery pianistki i dwie dziewczyny, które umiały dręczyć skrzypce do siódmych potów. Krople spływały po tym cudownym instrumencie muzycznym, a struny straszliwym beczaniem ogłaszały przerażonemu światu, że są baraniego pochodzenia. Każdy talent pragnął dać znać o sobie w tym radosnym dniu. Primadonną²⁹² ceremonii była jednak zawsze Zielonooka. Nikt nie mógł dać rady tej ślicznej dziewczynie, posągowo pięknej. Nie posiadała żadnych talentów: kot śpiewał lepiej od niej, a głuchoniemy umiejętniej deklamował, w żywych obrazach była jednakże niedościgniona. Toteż tłumiony niepokój ogarnął klasę. Bez niej się nie obejdzie, bez tej zdrajczyni! Któż ją zastąpi w uroczystej apoteozie²⁹³, wymyślonej wspaniale przez nauczycielkę literatury? Na środku sceny, na podniesieniu, ma stać nieruchomo bóstwo z płonąca pochodnią w dłoni. Jedna z artystek, wpatrzona w nie, wygłosi na klęczkach wiersz, po czym bóstwo, które musi być nad wyraz piękne, pochyli przed przełożoną „oświaty kaganiec²⁹⁴”²⁹⁵, jak żołnierz skłania sztandar przed wodzem. Nikt inny nie mógł być bóstwem, tylko ona, Zielonooka... Wszystkie dziewczęta wiedziały o tym i ona sama również. Kącikiem oka patrzyła drwiąco na koleżanki, zbijające się w gromadki i naradzające się szeptem. Zdawała sobie sprawę, że kozy muszą przyjść do woza.

Przyszły, z trudem wymawiając słowa:

— Czy będziesz bóstwem?

— Nie wiem... zastanowię się... — odrzekła Zielonooka niedbałym tonem.

— Musisz!

— Wcale nie muszę i zrobię, jak mi się będzie podobało.

²⁸⁶toczyć — tu: niszczyć. [przypis edytorski]

²⁸⁷*Zemsta* — komedia Aleksandra Fredry (1793–1876), wystawiona po raz pierwszy w 1834 roku. [przypis edytorski]

²⁸⁸*Fredro, Aleksander* (1793–1876) — polski komediopisarz, pamiętnikarz i poeta. [przypis edytorski]

²⁸⁹*Milczek* — Rejent Milczek, jeden z bohaterów sztuki. [przypis edytorski]

²⁹⁰deklamacja — ekspresyjne wygłaszanie utworu literackiego. [przypis edytorski]

²⁹¹migrena — silny ból głowy. [przypis edytorski]

²⁹²primadonna — odtwórczyni głównej roli w operze lub operetce. [przypis edytorski]

²⁹³apoteoza — ubóstwienie, wyidealizowane przedstawienie kogoś lub czegoś, pełne czci i uwielbienia. [przypis edytorski]

²⁹⁴kaganiec — tu: naczynie z płonącym wewnątrz ogniem, służące dawniej do oświetlania. [przypis edytorski]

²⁹⁵oświaty kaganiec — cytat z utworu Juliusza Słowackiego (1809–1849) pt. *Testament mój*. [przypis edytorski]

Dziewczęta były bliskie płaczu. Co będzie, jeżeli zażąda, jak księżę Bogusław Radziwiłł²⁹⁶ od Kmicica²⁹⁷, aby klasa przed nią uklękła, a ona nogą dotknie czyjś czoła?

Zielonooka postanowiła okrutnie igrać z zalękłym sercem całej klasy, nagle jednak, po rozmowie z nauczycielką, zmieniła zamiar.

— Będę bóstwem! — oświadczyła łaskawie.

Nikt nie mógł dojść, skąd ta niespodziewana wspaniałomyślność. Żadna z dziewcząt nie wiedziała bowiem, że nauczycielka, opisując scenę, powiedziała:

— Ty staniesz nieruchomo, a przed tobą uklęknie Basia Bzowska...

— Basia? — krzyknęła Zielonooka.

— Czemu się tak dziwisz? Basia wybornie mówi...

— Ja się nie dziwię, proszę pani... Ja się bardzo cieszę!

O przewrotności!

Basi było najzupełniej obojętne, przed kim uklęknie. Zawezwany pilną sztafetą Szot pracowicie i umiejętnie prowadził próby i kierował tłumem. Teatr ten żywo przypominał dom wariatów, więc nieznacznie tylko różnił się od prawdziwego przybytku sztuki dramatycznej.

Przedstawienie było świetne. Wiele osób płakało z rozczulenia, ale nigdy razem — zawsze z osobna. Gdy śpiewała Zosia, płakała mama Zosi i jej dwie ciotki; po czym szybko ocierały łzy, bo zaczynała grać na skrzypcach Irena. Wtedy z kolei obowiązek rzewnego łkania spadał na jej mamę i trzy kuzynki. W ten sposób, powoli, wszyscy odplakali swoje, nikt nie został pominięty i cała publiczność była bardzo zadowolona.

Dreszcz przebiegł przez salę, gdy już przebrzmiały wysokie, kocie śpiewy i gdy wszystkie baranie kiszki skrzypiec wypłakały swe skargi. Teraz odbędzie się „uroczysty finał”. Po podniesieniu zasłony blask padł na scenę. Zielonooka, jako bóstwo, promieniała majestatem²⁹⁸; w oczach miała zielone błyskawice, a na czole królewską dumę. Odziana była w powiewne szaty, lekkie jak obłok. Basia, klęcząca przed nią pokornie, wzniosła ku niej błagalnie ręce, wołając:

— „Ty światło szerzysz, o dostojna pani, ty nas ku zorzy²⁹⁹ prowadzisz z otchłani, ty swą pochodnią precz odgarniasz mroki, ku prawdzie wiodąc zawsze nasze kroki!”

— Zniżyć pochodnię! — ostrym szeptem rozkazał Szot spoza kulisy.

Zastygła w swej pysznej pozie Zielonooka, wpatrzona w pokorną Basię, napawała się triumfem. W dumnym zapamiętaniu zapomniała o roli. Usłyszawszy przenikliwy rozkaz Szota, opuściła płonąca pochodnię tak szybko...

Krzyk przerażenia i gromadny jęk wybuchły na zatłoczonej sali. Czcigodna przełożona zemdląca. Dziewczęta pisnęły płacziwie. Powiewne szaty bóstwa oświaty zapłonęły żywym ogniem.

— Pali się, pali się! — krzyknęło sto zrozpaczonych głosów.

W zielonych oczach bóstwa zamigotał śmiertelny strach. Wszyscy tak osłupieli, że nikt nie rzucił się na ratunek. Nie! Nie wszyscy... Basia zerwała się z klęczek kocim ruchem i parząc sobie ręce, zaczęła z jakąś oszalałą pasją zrywać z bóstwa płonące szmatki. Zdarła zasłonę i zaczęła dławić³⁰⁰ ogień.

— Panie Szot! — krzyknęła przeraźliwie.

Szot wyskoczył spoza kulis i błyskawicznym ruchem zdjąwszy z siebie frak, użył go nadzwyczaj sprawnie do gaszenia pożaru, po czym, porwawszy nieszczęsne bóstwo na ręce, wyniósł je ze sceny.

Basia stała na niej błąda, dysząc ciężko. Ze zdumieniem patrzyła na swoje ręce, jakby chcąc zbadać, dlaczego ją tak straszliwie pieką.

Teatr

Pożar, Odwaga

²⁹⁶Radziwiłł, Bogusław (1620–1669) — księżę Świętego Cesarstwa Rzymskiego, wielokrotny poseł na Sejm Rzeczypospolitej, koniuszy wielki litewski; bohater powieści Henryka Sienkiewicza (1846–1916) pt. *Potop*. [przypis edytorski]

²⁹⁷Kmicic, Andrzej — postać fikcyjna, bohater powieści Henryka Sienkiewicza (1846–1916) pt. *Potop*. [przypis edytorski]

²⁹⁸majestat — dostojeństwo, powaga pełna godności. [przypis edytorski]

²⁹⁹zorza — barwne zjawisko świetlne na niebie, związane ze wschodem i zachodem słońca. [przypis edytorski]

³⁰⁰dławić —tu: tłumić, dusić, gasić. [przypis edytorski]

II. GŁOS Z ZAŚWIATÓW

W dwa tygodnie później poparzona Zielonooka przysłała do poparzonej Basi. Podeszła ku niej nieśmiało i bez jednego słowa wyciągnęła ręce. Chmurne oczy Basi pojaśniały i spojrzwały ze słodyczą. Dłonie miała jeszcze w bandażach, więc je podniosła powoli, lecz już po to, ażeby przytulić Wandę, szlochającą na jej piersi.

— Przystań... przestań... — mówiła Basia. — Bo i ja się chyba rozplączę.

Groźba była łatwa do spełnienia, bo Łzy zaczęły płynąć same. Nie ma bardziej niesfornych stworzeń niż damskie łzy, szczególnie te, które wypływają z rozczulenia. Żadnym sposobem nie dadzą się zatrzymać. Inżynierowie na próżno łamią sobie głowy nad wynalezieniem tamy przeciwko takim łzom.

Zielonooka oznajmiła Basi, że zawdzięcza jej życie i że do końca tego ocalonego życia nigdy tego nie zapomni. Basia uznała to za przesadę i powołała się na obowiązek bliźniego, który powinien gasić lekkomyślną osobę, usiłującą usmażyć się na befsztyk po angielsku. Zielonooka, pragnąc pokazać, że jest innego zdania, ujęła delikatnie ręce Basi i niespodziewanie podniosła je do swoich ust. Twarz Basi pokrył purpurowy rumieniec, jak gdyby ona z kolei pragnęła spłonąć żywym ogniem. Czym prędzej więc obie otworzyły szlodziąg (czuła odmiana wodociągu!) i lały łzy na pożar serc. W tym oczyszczającym ogniu narodziła się — jak salamandra — wielka przyjaźń na śmierć i życie, trudno bowiem wymyślić coś jeszcze poza śmiercią i życiem. Gdyby można było siłą zakłęk i rozmach pocałunków zmienić na energię, starczyłoby jej na napęd do lokomotywy na trasie Warszawa — Otwock³⁰¹.

Gdy się w nich ukoili³⁰² serca, a dusze ułożyły skrzydła jak ptaki po burzliwej podróży, Zielonooka rzekła cichutko:

— Czy mi przebaczysz Zygmunta?

— Zygmunt jest dla mnie powietrzem! — rzekła Basia cichym głosem.

— A ja myślałam... O, jak to dobrze! Dla mnie też... To wierszokleta! Wiesz, w kim się teraz kocha?

— Jest mi to obojętne... Nie pragnę wiedzieć... Ale w kimże takim?

Zielonooka wyszeptwała jakieś nazwisko, które powitał wybuch śmiechu.

Jedna pani Tańska nie była zbyt zachwycona bohaterskim czynem Basi. Znając Zielonooką z opowieści, orzekła sucho:

— Trzeba było pozwolić, aby się trochę przyrumieniła.

— Ależ, babciu! — zawołała ze zgrozą pani Olszowska. — Jak można tak nie mieć serca?

— Nie gadaj głupstw! Ja mam serce z masła, ale nie cierpię pychy u młodych dziewcząt. Czy ja byłam pyszna z powodu mojej urody? Zapytaj tych, co mnie znali, gdy miałam piętnaście lat... Z daleka przyjeżdżali ludzie, aby mnie zobaczyć.

Ponieważ ci wszyscy naoczni świadkowie dawno już pomarli, nie można ich było wyciągać z grobów w tak drobnej sprawie, tym bardziej że nierównie ważniejsza zjawiała się na horyzoncie. Na adres pana Olszowskiego przyszedł list z uroczystym napisem głoszącym, że wysłano go z ambasady francuskiej. Ambasada pytała pana Olszowskiego, czy prawdziwa jest wiadomość, że w jego domu znajduje się panna Barbara Bzowska, od dawna poszukiwana w całej Francji. W piśmie tym oznajmiono powściągliwym stylem, że trzy listy w tej samej sprawie, wysyłane do Basi na adres niejakiej pani Tańskiej, u której poszukiwana osoba miała znaleźć schronienie, pozostały bez odpowiedzi.

Rada familijna³⁰³, zwołana w gwałtownym trybie, miała burzliwy przebieg. Pan Olszowski, patrząc przenikliwie na panią Tańską, zapytał znenacka:

— Czy babcia otrzymała jakieś listy z francuskiej ambasady?

— Być może... — odrzekła babcia. — Cóż jednak obchodzi kogo moja poufna korespondencja z ambasadorem? Owszem, pisał do mnie, ale...

— Ale co?

— Ale ja tego wcale nie czytałam!

³⁰¹Otwock — miasto położone w województwie mazowieckim, siedziba powiatu otwockiego. [przypis edytorski]

³⁰²ukoić — uspokoić, pocieszyć. [przypis edytorski]

³⁰³familijny — rodzinny. [przypis edytorski]

— Na Boga, czemu?
 — Bo nie umiem po francusku.
 — A dlaczego babcia mi o tym nie mówiła?
 — Po co? Zresztą nieboszczyk Walicki mi odradził, a to był mądry człowiek. Oboje przeglądaliśmy te listy i wyczytaliśmy razem tylko dwa słowa: „Barbara Bzowska”. Wtedy Walicki zakrzyknął: „Ho! Ho!”. Gadaliśmy o tym długo i doszliśmy do wniosku, że się Francuzom zachciało Basi. Co miałam robić? Miałam ją oddać Francuzom jak Józefa³⁰⁴ Egipcjanom? „Niech pani spali te listy, aby ślad nie został!” — mówił Walicki.
 — I babcia spaliła?
 — Nie tylko spaliłam, ale kazałam Marcysi rozsypać popiół na cztery wiatry.
 — Skaranie boskie — mruknął pan Olszowski. — Czy babcia wie, dlaczego Francuzi szukają Basi?
 — A skądże ja mam wiedzieć? Ja mam osiemdziesiąt lat! — krzyknęła babcia triumfalnie. — Dlaczego szukają?
 — Bo Basia dostała spadek we Francji!
 Pani Tańska zerwała się z krzesła.
 — Nie może być! A dlaczego od razu tego nie napisali?
 — Zapewne napisali... Tylko że po francusku.
 — Głupstwo zrobiłam, ale to Herod winien, nie ja. Mów prędko!... Czy już przepadło?

— Nic nie przepadło.

Prawdziwa babka Basi, Francuzka, która wyszła za Polaka naturalizowanego³⁰⁵ we Francji, odziedziczyła po śmierci męża duży majątek. Umarł on w Indochinach³⁰⁶, gdzie przebywał na rządowej posiadzie. Babka, tknięta melancholią po jego śmierci, żyła w całkowitym odosobnieniu, cokolwiek zdziwaczała, osnuta smutkiem jak pająk swym przędziwem³⁰⁷. Jej córka i wnuczka, o której wiedziała, mieszkaly w dalekiej Polsce. W swojej samotni, w dalekim zakątku świata, nie słyszała nic o tragedii zięcia ani śmierci matki Basi. Dopiero dziwny przypadek zapukał do jej serca... Basia, dowiedziawszy się od profesora Somera o adresie pana Gastona Dimauriaca, ocalałego towarzysza wyprawy jej ojca, zaczęła wymieniać z nim owe tajemnicze listy, które tak niepokoiły panią Tańską. Wypytyując o dzieje ojca, napisała niejedno o sobie i o swojej francuskiej babce. Znał tylko jej nazwisko. Przypadek, największy autor świata, sprawił, że pan Dimauriac żonaty był z panną, której rodzice znali doskonale babkę Basi. Powróciwszy z Indochin, zamieszkała w ustronnym³⁰⁸ domku koło Fontainebleau³⁰⁹. Francuski uczone, wzruszony smutną dolą nieznaną polskiej dziewczynki, wybrał się niezwłocznie do leciwej, zdziwaczalej z powodu osamotnienia damy i zdołał obudzić jej śpiące serce. Stara kobieta słuchała w smutnym, gorzkim zdumieniu, jakie okropne spustoszenie poczyniła śmierć w jej najbliższym otoczeniu. Ocknęła się i przemyśla łzami zasnutą melancholią oczy. Wysłano list do ambasady francuskiej w Warszawie z prośbą o znalezienie Basi. Ponieważ w owym czasie Olszowscy przebywali za granicą, Basia przeniosła się do pani Tańskiej, więc ten adres znał pan Dimauriac i tam skierowano urzędowe epistoły³¹⁰, które uległy zagładzie w ogniu. Dopiero czwarty list odnalazł Basię u Olszowskich. Mowa w nim była o śmierci prawdziwej babki i o testamencie, który lwią część ogromnego majątku przyznawał dziewczynie.

Pana Olszowskiego pouczono, że Basia powinna wybrać się do Francji i tam, korzystając z opieki polskiej ambasady i odpowiedniego prawnika, zakończyć zawile sprawy spadkowe, tym bardziej skomplikowane, że dziewczyna była nieletnia.

Basia nie zdradzała najmniejszej chęci wyjazdu, energicznie buntowana zresztą przez panią Tańską.

³⁰⁴Józef a. Józef Egipski — patriarcha biblijny, syn Jakuba i Racheli, którego sprzedano do Egiptu, gdzie stał się niewolnikiem; jego historia jest opisana w Księdze Rodzaju. [przypis edytorski]

³⁰⁵naturalizowany — dotyczy cudzoziemca, któremu nadano obywatelstwa państwa, w którym stale przebywa (naturalizacja). [przypis edytorski]

³⁰⁶Indochiny a. Francuskie Indochiny — dawna nazwa regionu w pld.-wsch. Azji, będącego kolonią francuską. [przypis edytorski]

³⁰⁷przędziwo — naturalne włókna, które można przetworzyć na przędzę; przędza. [przypis edytorski]

³⁰⁸ustronny — odosobniony, na uboczu. [przypis edytorski]

³⁰⁹Fontainebleau — francuskie miasto w regionie Île-de-France. [przypis edytorski]

³¹⁰epistoła (daw.) — list. [przypis edytorski]

— Strzeż się podróży koleją! — mówiła babka. — Raz już ci się nie udało i gdyby nie Walicki, byłabyś skapiała, a Walickiego już przecież nie ma. Zresztą zginiesz w Paryżu... To musi być straszne miasto. Opowiadają, że tam jest podobno więcej aut niż w Warszawie i że koni wcale nie ma, bo je Francuzi dawno już zjedli. Koni nie ma, słyszałaś coś podobnego? Ciekawam, z czego też oni w Paryżu robią serdelki?

Basia nie obawiała się aut, lecz smutku. Kochała tu wszystkich gorącą miłością. Tutaj, między nimi, przekonała się, że ludzie są jednak dobrzy, a ci, o których opowiada się, że są źli, bywają raczej nieszczęśliwi. Mówił jej jednego razu pan Olszowski:

— Za złe mi biorą to, że w moich książkach roi się od ludzi dobrych, jasnych i miłosiernych, a przecież z palca sobie tego nie wyssałem. Zresztą odczuwam wielką litość dla złych, z rozmysłem natomiast sławię promienistą dobroć. Urojeni ludzie z książek wychodzą z nich jak duchy wywołane z nicości i wchodzą w ludzką gromadę. Serce ludzkie jest tak dziwne, że więcej wierzy jasnemu urojeniu niż mętnej, czarnej, rzeczywistości; więc moi dobrzy ludzie z książek, korzystając z tego przywileju, szerzą wieści o istnieniu dobra i o potrzebie miłosierdzia. Moje powieści wędrują pomiędzy rzesze³¹¹, niechże zatem świecą, niech grzeją, lecz niech nie straszą i nie burzą naiwnej, prostej wiary w serce człowieka.

Basia wierzyła w nie głęboko. Osobiście mogła zaświadczyć, że nie spotkała jeszcze złych ludzi. Oczywiście, kiedyś ich spotka, świat bowiem nie jest rajem; to pewne, że gdzieś istnieją, w jakichś zaułkach życia. Los mógł ją — ślepe, bezbronne dziecko — skierować w ich stronę. Więcej jednak musi być na bożym świecie istot dobrych i miłosiernych, skoro dziewczynka wypchnięta w ludzką gromadę natknęła się właśnie na nich. Z gorącej wdzięczności utrwali w sobie wiarę w dobrego człowieka i wiary tej nie zachwieje w niej nawet krzywda, którą jej może kiedyś wyrządzić zły człowiek. Pan Olszowski, umiejący patrzeć w głębię ludzkich serc, pouczał ją, że rzadkością jest człowiek, który rodzi się zły. Gniewu i złości uczy głód, nieszczęście, niesprawiedliwość i podłość. Wstrętna ohyda nędzy, której nie powinno być na tym radosnym świecie, jest najstraszliwszym nauczycielem zła, więc kto nędzę wygania z ziemi, kto jej ze słodyczą ociera łyż, kto jej ogrzewa zimne serce, ten czyni rzecz najszlachetniejszą — zasypuje źródło zła.

Dziewczyna zamyśliła się głęboko.

Dotąd cały jej majątek stanowiły współczujące serce i ta odrobina słonecznej radości, którą oddałaby na każde zawołanie nieszczęśliwego człowieka. Nie pożywiłby się nią, lecz ogrzałby się w jej promieniu. Teraz jest inaczej, teraz posiada pieniądze, za które można kupić całą górę chleba. Jej mądry nauczyciel, Olszowski, mówił:

— Najśłodszy chlebem jest ten, którym można nakarmić głodnego, a trucizną i twardą skalą, przez przekleństwo zamieniony w kamień — ten chytrze ukryty, gromadzony zachłannie, pleśniejący bezużytecznie.

Basia mało wiedziała o strasliwym morzu nędzy — krwawej, głucho milczącej, rozpaczonej i ogarniającej cały świat. Zbyt wielkie to były sprawy dla dziewczęcego serca. To ogromne, martwe morze śmierci i opuszczenia nie było widoczne dla jej oczu, patrzących niedaleko. Pan Olszowski wie o nim i inni także. Ona jednak — jeszcze dziecko — zdaje sobie sprawę, że nawet tuż-tuż, o dwa kroki, w malutkim kole jej życia, dzieje się jakaś piekąca niesprawiedliwość. Obok siebie, na swojej króciutkiej drodze, spotyka spojrzenia głodne i śmiertelnie smutne, bose nogi, zziębnięte ręce, obszarpane łachmany... Przecież i pan Walicki — dobry, och, jak dobry człowiek — nie miał butów. On jednak był mocny i zahartowany, a to drobne dziecko, drżące na mrozie i skostniałe, które często widuje pod bramą, nie jest ani mocne, ani zahartowane. Przypomina bezbronno ptaka, nad którym krąży na czarnych skrzydłach straszliwy jastrząb: śmierć. Więcej jest takich dzieci niż wróbli.

Serce Basi spoważniało w zadumie. Nieśmiało wsunęła się do pracowni pana Olszowskiego i niepewnie powiedziała:

— Wujaszku, czy ja będę miała prawo zrobić z tym spadkiem, co mi się podoba?

— Oczywiście — odrzekł pan Olszowski. — W odpowiednim czasie...

— To dobrze... To tylko chciałam wiedzieć...

³¹¹rzesza — tu: tłum, mnóstwo ludzi. [przypis edytorski]

Literat, Książka

Obraz świata, Kondycja
ludzka, Dobro, Zło

Chleb

— Pamiętaj, dziecko — dodał on szybko — że możesz zawsze zostać u nas. Jak długo nie oślepnę lub nie rozchoruję się ciężko, wystarczy dla nas wszystkich.

— Wiem o tym! — rzekła Basia ze wzruszeniem. — A czy pomożesz mi, wujaszku, rozporządzić tym majątkiem?

— Z całego serca. Czy masz jakieś plany?

— Mam wiele planów. Daj Boże, żeby tylko wystarczyło — zaśmiała się Basia.

W tej chwili zapukano do pracowni.

— Telegram do Basi! — oznajmiła z wielkim przejęciem pani Olszowska.

Dziewczyna z lękiem otworzyła ten dziwny papierek, który z równą obojętnością ogłasza szczęście i śmierć.

— Jezus Maria! — krzyknęła zduszonym głosem, podając telegram załężnionemu panu Olszowskiemu.

Pan Gaston Dimauriac donosił w krótkich słowach, że nadeszły nieokreślone wiadomości o ojcu Basi:

JEŚLI NIE TRAGICZNA POMYŁKA MOŻLIWE ŻE ŻYJE PRO- SZĘ PRZYJECHAĆ NIEZWŁOCZNIE

Basia, blada jak giezło³¹², stała przez chwilę nieruchoma, oddychając szybko. Potem, z niespodziewanym wybuchem płaczu, przytuliła się do pani Olszowskiej, oparłszy głowę na jej piersi.

— Cicho, cicho, drogie dziecko — uspokajała ją pani Olszowska, sama bliska rozplakanego rozrzewnienia.

Dzięki połączonym wysiłkom obojga małżonków udało się uciszyć rozelkaną dziewczynę.

— Ja już od dawna nie mogłam sobie dać rady... — spowiadała się Basia. — Nie wiem czemu. Mój ojciec śnił mi się i wciąż powracał we śnie... Powiedzcie mi, czy to naprawdę możliwe, aby jeszcze żył?... Czy jest prawdopodobne, że nie odkryto jego śladów przez dziesięć lat?!

— Możliwe, Basieńko — pocieszał ją pan Olszowski. — Kraj dziki i zapadły... Co ci mówił profesor Somer?

Basia, rozwinawszy mapę gwałtownym ruchem, zaczęła ich objaśniać: jak, co, którędy.

— Tędy szli — mówiła gorączkowo — a tu zdarzyło się nieszczęście, nad jakąś przepaścią. Ocalał jedynie pan Dimauriac...

— Czy nikt nie szukał twojego ojca?

— Pan Dimauriac był ranny i jak mi pisał, sam nie mógł się tym zająć; coś jednak słyszał o poszukiwaniach, lecz okazały się one bezowocne. Ale żeby przez dziesięć lat...

— Nie raz jeden — mówił w zamyśleniu pan Olszowski — ginęli podróżnicy i członkowie wypraw naukowych w dżunglach i puszczech i słuch o nich ginął. Odnajdywał ich albo szczęśliwy przypadek, albo taki szlachetny upór jak nieugięta determinacja³¹³ Stanleya³¹⁴, który w zatęchłej³¹⁵, afrykańskiej puszczy odnalazł Livingstone'a³¹⁶. Niedawno, bo przed kilkoma miesiącami, rozeszły się wieści, że ekspedycja³¹⁷ naukowa, którą uważano za zaginioną od dziewięciu lat, daje znaki życia. Bądź dobrej myśli, drogie dziecko! Może się właśnie zdarzył taki cud, że twój ojciec przez całe lata ukrywał się na jakimś niedostępnym pustkowiu, albo chory, albo niezdolny do powrotnej wyprawy. Na wiadomości pana Dimauriaca nie da się budować zbyt wiele, może ona jednak być tą nitką, która cię powiedzie do wnętrza tajemnicy. Co daj Panie Boże! Już jakieś dziwne zrządzenie losu jest w tym, że odnalazłaś tego Francuza. Co cię skłoniło do poszukiwań?

— Nie wiem sama — odrzekła Basia w głębokim zamyśleniu. — Nie wiem sama. Profesor Somer pokazał mi fotografię ojca... Wtedy mi się wydało, że on spojrzal na mnie żywym spojrzeniem...

³¹²giezło — kobieta koszula z cienkiego płótna; prześcieradło okrywające nieboszczyka. [przypis edytorski]

³¹³determinacja — zdecydowanie, upór w zmierzaniu do celu. [przypis edytorski]

³¹⁴Stanley, Henry Morton (1841–1904) — właśc. John Rowlands, walijski dziennikarz, korespondent, pisarz, żołnierz, administrator kolonialny i badacz. [przypis edytorski]

³¹⁵zatęchły — wilgotny, gnijący. [przypis edytorski]

³¹⁶Livingstone, David (1813–1873) — szkocki misjonarz protestancki, lekarz, podróżnik i odkrywca. [przypis edytorski]

³¹⁷ekspedycja — wyprawa podjęta w określonym celu. [przypis edytorski]

Ojciec, Nadzieja

Nadzieja

— Dziwne, dziwne! — szepnął pan Olszowski.

Profesor, zawiadomiony natychmiast o wielkiej nowinie, okazał żywe wzruszenie.

— Wszystko jest możliwe — rzekł z namysłem. — Bzowski mógł przez całe lata przebywać w jakichś indiańskich komyszach³¹⁸, na jakimś górski odludziu, dokąd nikt nie dociera, bo nie ma po co. Czy Basia pojedzie do Paryża?

— Oczywiście! — zawołała dziewczyna.

— Moje listy trafią tam przed tobą, Basiu — rzekł słynny geograf. — Trzeba będzie poruszyć niebo i ziemię, i tych, co żyją poza niebem i ziemią: wszystkich uczonych całego świata. Pojedziesz sama?

— Ja z nią pojedą! — oświadczył szybko Olszowski.

Jego postanowienie spotkało się jednak z żywym sprzeciwem pani Tańskiej.

— Ty tam po co? — rzekła niecierpliwie. — Sam chodzisz po świecie jak lunatyk i nigdy dobrze nie wiesz, jaki jest dzień tygodnia. Gdyby nie mądra żona, jadłbyś obiad raz na miesiąc. W sam raz dobry jesteś na opiekuna niemądrej pannicy! Musi z nią pojechać ktoś energiczny, kto sobie potrafi dać radę z samym diabłem, ktoś obrotny i praktyczny...

— Więc kto ma jechać? — zapytał drwiąco pan Olszowski.

— Ja! — zagrziała triumfalnie babcia. — Nikt, tylko ja! Ja nie dam zginąć dziewczynie.

— Doskonale — zaśmiał się pan Olszowski. — Kłopot tylko w tym, że babcia nie umie po francusku.

— Powiedział, co wiedział! — rzekła pani Tańska z niesłychanym ogromem pogardy. — Więc cóż z tego, że nie umiem? Po chińsku też nie umiem, a gadałam z Chińczykiem i rozumieliśmy się doskonale.

— Gdzież to babcia gadała z Chińczykiem?

— Tu, w tym miejscu. Przyszedł taki Kitajec³¹⁹, który sprzedaje kościane figurki i różnych bożków z gołym brzuchem, bardzo śmieszna kreatura. Przez pół godziny gadałyśmy sobie na migi i wytargowałam jakiegoś chińskiego malpizona za połowę ceny. Chciałabym zobaczyć w Paryżu takiego, co by mnie ocyganił!

— Ależ babcia ma osiemdziesiąt lat! — śmiał się pan Olszowski.

— Tylko człowiek źle wychowany liczy lata kobiecie. Przede wszystkim nie mam osiemdziesięciu lat, bo mi brakuje siedmiu dni, a następnie pozwolę sobie powiedzieć, że nie wiadomo jeszcze, kto ma bardziej zgarbione plecy, czy ja czy taki, co krzywo siedzi przy biurku. Domyślasz się chyba, o kim mówię?

Pani Tańska była bliska wielkiego gniewu, gdyż wyjazd ukochanej Basi przyprawił ją o rozdrażnienie. Z jawną pogardą przyjęła do wiadomości, że jednak pojedzie z Basią pan Olszowski.

— Jeśli z tego nie będzie nieszczęścia — rzekła opryskliwie — to dlatego tylko, że Bóg czuwa nad pijakami i takimi, co są niespełna rozumu i piszą książki.

Zamknęła się w swoim namiocie jak obrażony Achilles i podczas niedzielnego obiadu zwymyślała cierpliwego Szota od komediantów³²⁰. Szot jednak miał taką szczęśliwą naturę, że zły humor babci zaostrzał jedynie jego apetyt.

— Pan zjada już szóstego kotleta! — krzyknęła babcia w gniewnym zdumieniu.

— Nigdy mi nie szkodzi, jeśli jem parzyście — odrzekł Szot z kamiennym spokojem.

— Ależ to są baranie kotlety! Słyszysz pan? *Baranie!*

— Dlatego też zjadłem tylko sześć, cielęcych zjadłbym osiem — odrzekł Szot ze zgasłym uśmiechem.

Pani Tańska osłabła i tylko dlatego gorący zamiar rzucenia w Szota ciężką, srebrną cukiernicą spełził na niczym.

Jednak im bliżej było do wyjazdu Basi, okazywała coraz większy niepokój.

Czyniono do niego pilne przygotowania. Pan Olszowski spotykał się z prawnikami i składał wizyty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Musiał rozmawiać z dziennikarzami, bowiem wiadomość o przypuszczalnym ocaleniu młodego uczonego stała się wydarzeniem dnia. Z telegramu pana Dimauriaca wysnuto długie i barwne opowieści, które żywo poruszyły wszystkich — najbardziej jednak szkołę Basi.

³¹⁸*komysze* (reg.) — zarośla na wilgotnym terenie. [przypis edytorski]

³¹⁹*Kitajec* — lekceważące określenie Chińczyka. [przypis edytorski]

³²⁰*komediant* (daw.) — aktor; tu: pogardliwe określenie aktora. [przypis edytorski]

Klasa przygotowała jej uroczyste pożegnanie, bo nie wiadomo było, czy kiedykolwiek powróci. Patrzono na nią z pełnym zachwytem podziwem. Basia jedzie do Paryża! Basia jedzie na spotkanie zaginionego ojca! Basia to, Basia owo...

Dziewczyna była niemal nieprzytomna z powodu wielkiego wzruszenia. Jej serce rwało się w tę podróż, w tę dalekość, na której sinym krańcu ma znaleźć tego jedyne, nieszczęśliwego, który cierpiał przez dziesięć lat. Przebiegał ją zimny dreszcz na myśl, że pogłoska mogła przylecieć z wiatrem i wraz z nim się rozwiać. Serce Basi, tknięte taką rozpaczliwą myślą, stawało na chwilę, aby zaraz potem napęlić się gorącą nadzieją. Musi, musi odnaleźć ojca! Otoczona jest miłością, jakąż jednak, najtkliwszą nawet, miłość zastąpi tę wielką — nie darowaną, lecz rodzącą się z niczego i odnawiającą się w każdej chwili i każdej godzinie — miłość najbliższego człowieka? Tę miłość, co się przedzie z każdego spojrzenia, z każdego dotknięcia, z każdego uśmiechu i każdego słowa? Basia pragnie jej teraz całą duszą, najgorętszym, łakomym, zachłannym pragnieniem. Ojciec, ojczulek, tatuś... Sponiewierany, pobity przez los i nieszczęście, jasnooki, śliczny! Tym droższy, tym ukochańszy, że taki nieszczęśliwy, cudem odebrany śmierci jak łup tygrysowi... Często w nocy, w uśpionym domu, sieroce dziewczęce serce wołało go cichutkim jękiem. Ojciec, ojczulek, tatuś... Basia tuliła się do tego nieznanego, promiennego widma, wyciągała ku niemu ręce, obejmowała je z czułością. Myśl o ojcu nie opuszczała jej ani na moment. Patrząc na wysmukłego, stąpającego lekko, młodego człowieka na ulicy, myślała: „On tak musi wyglądać!”

Po chwili przychodziło jej na myśl, że okropne przejścia musiały pozostawić w nim bolesne ślady. Wyszukiwała zatem spojrzeniem ludzi jeszcze młodych, lecz mających osrebrzone siwizną skronie. Człowiek taki uśmiechał się, widząc, jak nieznaną dziewczyną patrzy na niego z zachwytem, który przemocą tłumi okrzyk radości.

Już niedługo, już niedługo!

Pożegnanie z klasą było wręcz śmiertelne. Basia pomyślała z rozczuleniem, że gdyby umarła, nie byłoby większego płaczu i narzekania. Jeśliby Wisła³²¹ nagle wyschła, można by potężnie zasilić jej źródła potopem koleżeńskich łez. Dziewczęta płakały z nieokreśloną rozrzutnością. Basię oddawano sobie w ramiona, aby przyjemną tę, choć zarówno bolesną operację rozpocząć *da capo senza fine*³²². Zielonooka wylała takie masy łez, że jej oczy zamieniły się w dwa Zielone Stawki³²³ tatrzańskie. Należało przypisać urzędowemu lekceważeniu uczuciowych wybuchów fakt, że Polski Instytut Meteorologiczny nie zanotował wzrostu poziomu wilgoci nad Polską centralną i gwałtownego przyboru słonej wody.

Niczym jednak było to pożegnanie, rzecz można ceremonialne, w porównaniu z tajemną uroczystością w najściślejszym kółku sześciu przyjaciółek, takich, co to: „Aż do śmierci i po niej też”. Na tym zebraniu było mniej łez, więcej za to drżącego milczenia, grobowej powagi i spojrzeń tak czarnych, że lampy przygasły. Przypominało ono ponure obrady sprzysiężonych w katakumbach³²⁴ lub w podziemiach zamkowych zwalisk. „Bracia z Ajaccio”³²⁵ lub „Towarzysze Jehudy”³²⁶ z pewnością odbywali weselsze spotkania. Z rozdzierającym smutkiem Basia przysięgła przyjaciółkom, a one jej, że jedynie całkowity koniec świata rozdzieli ich serca, bo sama śmierć dokonać tego nie zdoła. Bowiem każda z nich nawet po śmierci nie zapomni i powróci jako duch. Ponieważ zaś z dawien dawna jedynie krwią pieczętowano uroczyste pakt, więc sześć śmiertelnych przyjaciółek wydrapało sobie na skórze ramienia krwawe znamię w kształcie litery „B”. Basia pomyślała z odrobiną przestachu, że — płacąc krwią za krew — powinna wyciąć na swojej

Miłość, Ojciec

Przyjaźń, Przysięga,
Rozstanie

³²¹ Wisła — najdłuższa rzeka w Polsce. [przypis edytorski]

³²² *da capo senza fine* (wł.) — w dosłownym tłumaczeniu: „od początku bez końca”; parafraza używanego w notacji muzycznej określenia *da capo al fine*, oznaczającego powtórzenie całego utworu od początku do końca. [przypis edytorski]

³²³ Zielone Stawki — właśc. Zielony Staw Kieżmarski a. Zielony Staw, największy ze stawów znajdujących się w Dolinie Kieżmarskiej po słowackiej stronie Tatr. [przypis edytorski]

³²⁴ katakumby — podziemny cmentarz. [przypis edytorski]

³²⁵ Bracia z Ajaccio — zapewne chodzi tutaj o braci Napoleona (1769–1821), który urodził się w Ajaccio, stolicy francuskiej Korsyki. [przypis edytorski]

³²⁶ Towarzysze Jehudy — odniesienia do zakonspirowanego stowarzyszenia, którego celem było przywrócenie we Francji obalonej monarchii Burbonów. [przypis edytorski]

ręce sześć liter sześciu imion. Wyjaśniono jej jednak, że wystarczy, jeśli je sobie wryje na korze serca, i to tylko na niby, bez śmiertelnej operacji.

Płonącym stylem proroka Jeremiasza³²⁷, który groził swojemu językowi, że mu przyschnie do podniebienia, gdyby zapomniał Jeruzalem³²⁸, złożono sobie wzajemną przysięgę, grożącą zagładą i nieszczęściem nie tylko obrotnemu językowi, lecz wszystkim kończynom — dolnym i górnym — gdyby jedna przyjaciółka zapomniała o drugiej, a wszystkie one o Basi. Dopiero po wyczerpaniu wszelkich mrocznych szczegółów obrzędu pozwolono sobie, już poza programem, na odrobinę przyjemności, czyli wylanie odpowiedniej liczby łez.

Basię bardzo pokrzepiło to przyjacielskie zebranie i sześć krwawych znamion, przypominających żywo znaki na chusteczkach. Przekonała się, że pozostawia za sobą wierny hufiec³²⁹, który jej odkrzyknie, chociażby zawołała z końca świata. Dlatego było jej nieco przykro, gdy pan Olszowski zabronił jej zdradzenia koleżankom dnia i godziny wyjazdu.

— Nie pragnę spektaklu na dworcu! — rzekł do Basi. — Jeszcze się która rzuci pod koła lokomotywy.

— Wszystko to możliwe — odpowiedziała Basia. — Wierna przyjaźń zdolna jest do każdego czynu. Dobrze, nic nie powiem.

Nie można było jednak uciec potajemnie przed zagniewaną panią Tańską. Staruszka przyjęła „awanturników” z początku dość mrukliwie, aby utrzymać fason³³⁰, nie mogła jednak wytrwać długo w kamiennej pozie. Ryknęła więc sobie babcia całkiem głośno, a potem kazała Basi uklęknąć i uroczyście błogosławiła ją na drogę.

— Czego płaczesz? — krzyknęła.

— To nie ja, to babcia...

— Ja? Ja nigdy nie płaczę... Nigdy... Tylko raz jeden: u Ojca Świętego na posłuchaniu³³¹. Wtedy powiedział do mnie po łacinie: „Nie płacz, moja córko! Zaraz się skończy!”. Ale teraz nie płaczę... Wracaj prędko z ojcem... I powiedz mu, że może przychodzić do mnie na obiad w każdą niedzielę... Z tym Szotem nie mogę już wytrzymać, bo tyle zjada... Masz wszystko na drogę?

— Wszystko, babciu najdroższa!

— Jak mówisz? „Najdroższa”? Dawno już nie słyszałam tego wyrazu... Dawno... Mój pierwszy mąż mówił tak do mnie, ale potem, szelma³³², uciekł ode mnie... Marcysiu! Przynieś wszystko z mojego pokoju!

Państwo Olszowscy patrzyli z przerażeniem, a Basia z rozradowaniem na olbrzymi tłumok³³³, związany katowskim sznurem.

— Co to jest? — krzyknął pan Olszowski.

— Podrózne drobiazgi — odpowiedziała babcia z przekąsem. — Ty byś o tym nie pomyślał, ale ja tak. W tym zawiniątku jest poduszka, kołdra, gumowa faszka na gorącą wodę, maszynka spirytusowa i butelka ze spirytusem. W długiej podróży wszystko się przyda... Aha! Coś tam jeszcze jest... Marcysiu! Co tam jest?

— Pieczony indyk i kilo bulionu — rzekła Marcysia, lejąc ślony na indyka i na bulion.

— To na Paryż! — zawołała babcia. — Bo tam ponoć karmią pieczonymi ślimakami.

Basia tkwiła w objęciach pani Tańskiej, a pan Olszowski mówił szeptem do żony:

— Zabierz to do domu albo rzuć z mostu do Wisły!

Potem wycalaował dzielną babkę, która rzekła z niesmakiem:

— Czuć cię cygarami. Człowiek palący cygara nie powinien leżeć z gębą do wytworzonych kobiet. Marcysiu! Prędko, wody kolońskiej!

Podróż, Rozstanie

³²⁷Jeremiasz — biblijny prorok, któremu przypisywane jest autorstwo Księgi Jeremiasza, Lamentacji oraz Ksiąg Królewskich. [przypis edytorski]

³²⁸Jeruzalem a. Jerozolima — największe miasto Izraela. [przypis edytorski]

³²⁹hufiec — jednostka w organizacjach młodzieżowych, a dawniej w wojsku. [przypis edytorski]

³³⁰trzymać fason — nadrabiać miną, zachować twarz. [przypis edytorski]

³³¹posłuchanie (daw.) — audyencja. [przypis edytorski]

³³²szelma — człowiek sprytny, ale często nieuczciwy. [przypis edytorski]

³³³tumok — tu: osoba niezbyt roztropna, mało bystra. [przypis edytorski]

12. SZUKANIE DUSZY

Pan Gaston Dimauriac był Gaskończykiem³³⁴, jak sławny poeta, muzyk, fizyk i rębajło³³⁵, Sawiniusz Herkules Cyrano de Bergerac³³⁶, właściciel największego nosa, jaki kiedykolwiek oglądano — tego, o którym powiedziano, że idzie przed swoim właścicielem o kwadrans drogi i dla którego trzeba będzie po śmierci nosała usypać osobny kopiec. Jak wszyscy południowcy pan Gaston odznaczał się niewyczerpaną ruchliwością ciała i kwiecistą barwnością stylu, przemawiał zaś równocześnie ustami, oczami i rękoma. Słowami migał jak szpadą, przypominając owego Gaskończyka, który grzmiał w liście: „Piszę do ciebie, trzymając pistolet w jednej ręce, a szablę w drugiej”. Zapalony entuzjasta tak się uradował niepewną wieścią o ocaleniu towarzysza i przyjaciela, że ani chwilę nie wątpił w jej prawdziwość. Uściskał Basię z rozrzewnieniem, zerwał z ruchliwych ust najpiękniejsze słowa i obsypał ją nimi jak różami. Z serdeczną wylewnością klepał po ramieniu Olszowskiego i oznajmił mu, że niezwykle kocha „dzielnych Polaków”.

Basia słuchała z wypiekami na twarzy nieustannego szumu słów pana Dimauriaca, wylawiając zachłannie te, w których jawił się jej ojciec.

— Czy żyje? — wołał pan Gaston. — Musi żyć! Taki nie zginie... Wydobyl się spod gruzów kamieniska. O, dzielny człowiek!

— Jak to było, drogi panie? — pytał pan Olszowski.

— Źle było, nieszczęśliwie było! Pięliśmy się na koniach górską ścieżką pełną wyrw i rozpadlin³³⁷. Wczesnie rano, zaraz po wschodzie słońca. Ojciec tej panienki jechał pierwszy, za nim drugi nasz towarzysz, a ja na końcu, o kilka kroków w tyle, gdyż moje zwierzę miało zranioną nogę. Droga była zawsze niebezpieczna, tego dnia jednakże trudniejsza niż zwykle, bo śliska. Stąpaliśmy bardzo ostrożnie, byliśmy bowiem bez przewodnika... Spół się, zwierzę, i uciekł... Tam bardzo piją... Bzowski jednak naglił³³⁸, gdyż straciliśmy wiele czasu przez deszcze. Naprzód, naprzód! To było złe... Nasze dzielne konie musiały niejedną raz skakać przez rozpadliny, wielokrotnie musieliśmy zamykać oczy... Droga była ciężka, lecz cudowna. Chmury wlokły się pod nami, nad nami rozpościerał się błękit, wyprany w stu burzach i wysuszony na palącym słońcu. Chcieliśmy przed zachodem dotrzeć na szczyt góry, aby zejść na nocleg w dolinę leżącą mniej więcej w połowie naszej drogi. Po kilku godzinach dotarliśmy do miejsca prawie nie do przebycia. Trzeba było zawrócić, szukać jakiejś okrzęnej trasy i stracić kilka dni. Zastanawialiśmy się nad tym, odpoczywając, bo nogi naszych zwierząt, ciężko objuczonych³³⁹, drżały ze zmęczenia. Wtedy stało się najgorsze: nie wiadomo skąd i kiedy zaczęła nas okružać mgła, ciężka i zgniła; jakaś okropna, gęsta powódź, która zabrała góry, skały i cały świat, jakby to wszystko połknęła. Sytuacja stała się rozpaczliwa, bo z niewidzialnych gór zaczął sączyć się dotkliwy, przejmujący chłód. Po godzinie zdrętwieliśmy tak, że nie mogliśmy poruszać rękami.

— Och, ojczulku! — szepnęła Basia po polsku.

Dimauriac spojrział na nią przenikliwie, jakby się chciał przyjrzeć obcym słowom, których nie pojmował. Musiał je jednak zrozumieć, gdyż poglądził dziewczynę międko po głowie.

— Cicho, cicho, panienko... To jeszcze nie koniec... Teraz dopiero zaczęło się nieszczęście. Nie widzieliśmy nic na odległość ręki. Zdawało się nam, że jesteśmy nurkami na poszarpanym dnie morza. Wiedzieliśmy, że po lewej stronie znajduje się stroma ściana skały, a po prawej przepaść. Nie mogliśmy stać w miejscu, nie mogliśmy zdążyć przed siebie. Na każdym zakręcie zygzakowatej ścieżki czyhała na nas skostniała na zimnie śmierć.

— Nie wydostaniemy się stąd! — rzekł nasz towarzysz.

— Musimy się wydostać! — krzyknął pani ojciec. — Przecież tą drogą, jeśli to można nazwać drogą, przejeżdżali Indianie i przebył ją samotny, biały człowiek: słynny podróżnik,

Góry, Natura, Podróż,
Katastrofa, Ciemność

³³⁴Gaskończyk — mieszkaniec Gaskonii, historycznej krain w pld.-zach. Francji. [przypis edytorski]

³³⁵rębajło (daw.) — człowiek często się pojedynkujący. [przypis edytorski]

³³⁶Cyrano de Bergerac — tytułowy bohater sztuki autorstwa Edmonda Rostanda (1868–1918), napisanej w 1897 r. i luźno opartej na biografii siedemnastowiecznego poety, Saviniena de Cyrano de Bergeraca (1619–1655); de Bergerac był także doskonałym mówcą, ale zasłynął przede wszystkim z nienaturalnie długiego, brzydkiego nosa. [przypis edytorski]

³³⁷rozpadlina — skalna szczelina. [przypis edytorski]

³³⁸naglić — pospieszać. [przypis edytorski]

³³⁹objuczony — obciążony. [przypis edytorski]

Szwajcar Tschiffely³⁴⁰, „człowiek na dwóch koniach”. My wprawdzie zmierzamy dalej, ale co się udało jednemu, uda się i nam trzem.

Pani ojciec starał się podtrzymać w nas odwagę; nie mógł, niestety, powstrzymać nocy, która waliła się na nas jak okropny upiór, wysławszy przed sobą ową gęstą mgłę. Uradziliśmy gorączkowo, aby pozostawić konie i choćby czolgając się, powrócić w dość bezpieczne miejsce, w którym byliśmy przed trzema godzinami. Zwierzęta zdołają przetrwać tutaj noc, my nie. Zabraliśmy odrobinę zapasów i paliwa i ostrożnie, niemal po omacku, poczęliśmy iść krok za krokiem w dół. Było przeraźliwie zimno, a z nas pot lał się strumieniami. Pani ojciec, idąc znów na przedzie, dotykał ręką każdego kamienia jak ostrożnie stąpający ślepiec. Wszyscy trzej byliśmy niczym niewidomi... Zacisnęliśmy zęby i odbywaliśmy tę okropną wędrówkę w śmiertelnym milczeniu. Wokół też panowała absolutna cisza. W pobliżu gniazda śmierci milkną wszystkie głosy. Obyśmy byli nie słyszeli żadnego...

Pan Dimauriac otarł pot z czoła, przeżywając w opowieści ową godzinę.

— Usłyszeliście głos? — zapytał cicho pan Olszowski.

— Tak — rzekł ciężko Francuz. — Usłyszeliśmy ryk skalistej ziemi. Jakaś niewiedzialna, straszliwa ręka, jakaś głucha moc uderzyła w górę, a ta cisnęła na naszą dantejską³⁴¹ drogę niezliczoną masę skalnych odłamków. Góra ukamienowała nas. Po głuchym dudnieniu poznaliśmy, że toczą się na nas ruchome głazy. Usłyszałem nagły okrzyk ojca pani, jakiś rozpacźliwy rozkaz, dramatyczną komendę. Nie zrozumiałem jednak do końca, bo w tym momencie ugodził mnie w piersi kamienny pocisk. Nie wyobrażałem sobie większej ciemności niż ta, która nas otaczała, a jednak ogarnęła mnie jeszcze większa, już nieprzenikniona. Dopiero po dwóch dniach... Po dwóch dniach odnaleziono mnie, ale tylko mnie...

— A mój ojciec? Co się stało z moim ojcem?

— Nikogo nie było na zerwanej ścieżce, na okropnym ospysku. A z lewej strony była przepaść... Byłem chory, rozbity, półprzytomny, lecz ostatkiem sił domagałem się poszukiwań. Jestem dobrym i uczciwym towarzyszem, droga panienko... Moje sumienie jest czyste... Zostało zrobione wszystko, co w ludzkiej mocy... Niedaleko, pod skalnym rumowiskiem, odkryto naszego martwego towarzysza, pani ojca jednak nie znaleziono. Mnie zniesiono daleko, do Loi. Spędziłem tam trzy miesiące, wciąż mając nadzieję, że może jakiś ślad, może jakaś wiadomość... Musiałem wreszcie wracać... Niech mi pani wierzy, że z rozdartym sercem... Przez dziesięć lat nie mogłem znaleźć spokoju. Ostatni krzyk pani dzielnego ojca brzmiał w moich uszach: ostry, przenikliwy, rozdzierający krzyk. Aż oto nagle, po dziesięciu latach...

— Prędko, prędko! Niech pan mówi!

Dimauriac uśmiechnął się łagodnie.

— Czyż można mówić prędzej niż ja? Ale będę mówił jeszcze szybciej... Otrzymaliśmy wiadomość, najpierw mocno ogólnikową, potem bardziej zrozumiałą. Amerykański przyrodnik, zbierający okazy dla Muzeum Przyrodniczego w Nowym Jorku³⁴², zasłyszał w mieście Guayaquil³⁴³, że we wnętrzu Ekwadoru, wśród szczepu Jiwaro, przebywa biały człowiek, który, niech to pani nie przeraża, żyje jak Indianie. Nie chcę mówić, jak wygląda to życie... Ponieważ Amerykanina poczęła dręczyć ta zagadka, a zmierzał właśnie na tereny Jiwaro, odbył swoją podróż pośpiesznie i niedawno przybył z powrotem do ekwadorskiej stolicy³⁴⁴ z tym tajemniczym człowiekiem. Miał ciężką przeprawę z Indianami, którzy go nie chcieli wydać, bo szkoda im było posłusznego robotnika, ale także dlatego, że żywią oni zaboboną³⁴⁵ cześć dla...

Urwał nagle, aby nie powiedzieć, komu dzikie szczepy nigdy nie wyrządzają krzywdy. Potem mówił szybko:

Ojciec, Nadzieja

³⁴⁰ Tschiffely, *Aimé Felix* (1895–1954) — szwajcarski pisarz i podróżnik, samotnie wędrujący konno m.in. z Argentyny do Nowego Jorku; wycieczkę tę opisał w książce *Od Południowego Krzyża do gwiazdy polarnej*, opowiadającej o trzyletniej podróży (1925–1928) na dwóch argentyńskich koniach. [przypis edytorski]

³⁴¹ dantejski — straszliwy, budzący grozę; nawiązanie do utworu *Boska komedia* autorstwa Dantego Alighieriego (1265–1321). [przypis edytorski]

³⁴² Nowy Jork — miasto w Stanach Zjednoczonych o największej liczbie mieszkańców. [przypis edytorski]

³⁴³ Guayaquil — miasto w zachodnim Ekwadorze przy ujściu rzeki Guayas. [przypis edytorski]

³⁴⁴ ekwadorska stolica — Quito. [przypis edytorski]

³⁴⁵ zabobonny — przesądny, wierzący w zabobony (czary, magię etc.). [przypis edytorski]

— Od niego samego nie można się było dowiedzieć niczego, lecz człowiek ten miał przy sobie dokumenty. Chyba jakaś iskierka świadomości nakazała mu je zachować. Indianie zresztą opowiedzieli, jak się wśród nich znalazł ten biały. Złożono jedno z drugim, przypomniało sobie, zbadano i nie ulega wątpliwości, że tym białym człowiekiem, co dziesięć lat spędził wśród jednego z najdziwniejszych i najmniej znanych plemion indiańskich, jest pani ojciec!

— Gdzie on jest w tej chwili?

— Właśnie oczekujemy dokładniejszych wiadomości, gdyż dotąd rozmawialiśmy jedynie przez kabel. Największym pocieszeniem dla pani jest niezbity fakt, że ojciec żyje, ale i to niech będzie pociechą, że Francuskie Towarzystwo Geograficzne gorąco przejęło się jego sprawą. Zostało zarządzone wszystko, co powinno być przeprowadzone w imię uczciwej solidarności, która łączy ludzi nauki.

Zapowiadane przez Dimauriaca wieści nadeszły w niedługim czasie. W. S. Williams, ów Amerykanin, który poświęcił niezmiernie wiele trudu, aby odnaleźć Bzowskiego, swoje samarytańskie³⁴⁶ dzieło doprowadził do końca. W obszernym liście zdał sprawę uczonemu Paryżowi, który wysłał ową nieszczęsną ekspedycję; równocześnie zaś wiedząc, że Bzowski jest Polakiem, zawiadomił o wszystkim polskie władze konsularne³⁴⁷ w Nowym Jorku. Uratowany jest pod dobrą opieką.

Dimauriac przybiegł zdyszany do hotelu z tymi wiadomościami i wymachując rękami jak tonący, ogłaszał wielką nowinę.

— Amerykanin, o, dzielny Amerykanin! — mówił gorączkowo. — Dokonał wielkiej rzeczy... Poświęcił prawie dwa miesiące, aby pani ojca przewieźć do Nowego Jorku. Dobry człowiek, zacny człowiek!

— Czemu pan mówi: „przewieźć”? Czy mój ojciec nie mógł sam... — spytała Basia ciemnym głosem.

— Tak się tylko mówi, tak się mówi... Zresztą, niechże pani pomyśli: dziesięć lat pobytu poza życiem, wśród półdzikich, brudnych ludzi, w zapadłym, skalistym zakątku. Musiało mu nie być wesoło...

— Tak, tak... — rzekła Basia smutno. — Ale dlaczego mój ojciec nie umiał sam powiedzieć niczego o sobie?

Dimauriac spojrzawszy przenikliwym, porozumiewawczym wzrokiem na pana Olszowskiego, który, zrozumiałwszy, że Francuz nie chce powiedzieć wszystkiego, zapytał szybko:

— Czy Williams pisze, w jaki sposób Bzowski ocalał?

— Pisz, pisze! — mówił Dimauriac gorączkowo. — Z tego, co zdołano wydobyć od Indian Jiwaro, wynika, że dwaj członkowie plemienia znaleźli go w wielkiej odległości od miejsca katastrofy. Dlatego nasze poszukiwania, ograniczone do niewielkiego terenu, nie mogły odkryć żadnych śladów. Złożywszy wszystkie szczegóły, Williams przypuszcza, że pani ojciec, uniesiony przez kamienistą lawinę jak przez wezbraną rzekę, znalazł się w jakiejś rozpadlinie. Był ranny i zakrwawiony, lecz odzyskawszy siły, zaczął iść przed siebie z rozpaczliwym uporem. Desperacja³⁴⁸ umie pokonywać najstraszniejsze przeszkody... Ucieczka przed śmiercią jest gonitwą nieprawdopodobną... Pani ojciec przeszedł drogę, której przebycie byłoby trudne dla dzikiego zwierza. Nigdy się nie dowiemy, jak mu się to udało!

— Dlaczego „nigdy”? Przecie ojciec opowie... — rzekła Basia ze zdziwieniem.

Francuz, spostrzegłszy, że uniesiony potokiem słów, sam się wpędził w nieprzebyte gąszcz, zbladł i nagle zacisnął usta. Rozłożył ręce gestem bezradnej rozpacz, wreszcie zaczął mówić powoli, jak gdyby każde słowo było cierniem, a on je sobie wrywał z serca:

— Powiem... I tak to się wyda... Po co ukrywać? Pani jest dzielna, pani się nie przerazi. Pani ojciec stracił pamięć.

— O Boże! — krzyknęła Basia.

— Dlatego nie umiał powiedzieć o niczym. Odwagi, panienko, odwagi! Miał ciężko poranioną głowę, musiał poza tym przejść przez piekło trwogi, śmiertelnego strachu

Pamięć

³⁴⁶samarytański — miłosierny, śpieszący z pomocą; nawiązanie do biblijnego dobrego Samarytanina. [przypis edytorski]

³⁴⁷władze konsularne a. konsulaty — tu: urząd danego państwa za granicą, podlegający konsulowi; siedziba tego urzędu. [przypis edytorski]

³⁴⁸desperacja — rozpacz, utrata nadziei. [przypis edytorski]

i ostatecznej rozpacz. Może to go właśnie ocaliło... Gdyby nie ta nieświadomość, nie odważyłby się zapewne nigdy na przebrnięcie miejsc nieprzebranych, aż do jakiejś dzikiej ścieżki, którą chodzą Indianie. Serce mi się kraje, niech pani nie płacze...

Pan Olszowski tulił Basię w ramionach i uspokajał ją najtkliwszymi słowami. Jaj dziecięca rozpacz trwała jednak niedługo. Smutek spłynął ze łzami — dziewczyna niespodziewanie przestała płakać, otarła oczy i rzekła twardo:

— Wujaszku, ja muszę jechać do Nowego Jorku!

— Wspaniale, wspaniale! — zawołał Dimauriac. — Łzami niczego się nie dokaże. Trzeba męstwa i siły. Ale jechać nie potrzeba! Nowy Jork zapytuje, co ma uczynić, dokąd wysłać pani ojca. Niech pani wyda polecenie: do Polski czy tutaj?

— Jak pan radzi? — zapytał pan Olszowski.

— Ja myślę, że na francuskim brzegu będzie prędzej, a pani zapewne tego pragnie.

— Tak, tak! — rzekła Basia gorąco.

Tych niewiele dni ciągnęło się jak smutek człowieka. Pan Olszowski wciąż gdzieś krążył z Francuzem, Basia zaś, nakazawszy sobie spokój, czekała. Z jej twarzy znikł uśmiech. Na duszę, młodą i rozpromienioną, spłynęła jakaś mroczna powaga. Wszystko, co nie było myślą o jej ojcu, krążyło dokoła niej — jakby w mglistym oddaleniu. Jej serce było pełne gorącej miłości dla tego nieszczęśliwego człowieka, którego nie widziała od dziesięciu lat, a który teraz jawił jej się nieustannie przed oczami. Najwyraźniej widziała go wtedy, gdy je zamknęła. Oto biegnie, zakrwawiony, z obłędem w spojrzeniu, przez zatraczone bezdroża, a śmierć bieży za nim, wietrząc krwawe ślady. Ściga go jak ogar zaszczutego jelenia, a on, kalecząc palce, czepia się śliskich, ruchomych głazów i korzeni krzów³⁴⁹. Jest głodny, wyczerpany i zziębnięty na kość; chłepce wodę z burzliwego potoku, gasząc pożar gorączki. Coś woła, krzyczy, czasem szloch wyrывa się z jego piersi...

— Och, ojczulku, ojczulku! — szepce dziewczyna.

Dokoła niej szumi, gada, dźwięczy i dzwoni najpiękniejsze miasto świata, jego promienista stolica. Noc w nim stroi się w brylanty światła, bucha świetlistymi fontannami, puszy się³⁵⁰ szaleństwem przepychu. W tym oślepiającym blasku nie widać poczwornej nędzy śpiącej w zaułkach mroku, na dalekich przedmieściach. „Najciemniej jest zawsze pod latarnią!” — powiada chiński mędrzec. Burzliwy zgiełk, triumfalny hymn miasta, głuszy każdy jęk i nieśmiałe westchnienie. W natłoku przedziwnych woni zatracą się ostre, zgniły zapach nędzy. Wielkie, niezmierne miasto krwawi posoką³⁵¹ zuchwałych światła i nie zważa na to, że gdzieś, zaułkami, sączy się prawdziwa krew. Potęga stąpa ciężko, głośno, dysząc Nielitościwie na serca przerażonych i skowyczących z bólu. Jak w każdym olbrzymim mieście, w każdym niepoliczonym, dzikim zbiorowisku. Aż podziw bierze, że po tym mieście — świetnym i okrutnym, słonecznym i złym, odzianym w jedwabie i lachmany, bohaterskim i nędznym — krąży piosenka łaskawa, skrzydlata i lekka. Lata ona jak ptak nad pobojuwiskiem. Słysząc ją mimo piekielnego zgiełku. Czasem jest ona jedyną skargą głodnych, jedynym pocieszeniem smutnych, jedynym słowem oniemiałych z rozpacz. Basia widzi to wszystko, słyszy to, lecz widzi jak przez opar³⁵², słyszy jak z oddalenia. Odnosi wrażenie, jak gdyby znalazła się samotna wewnątrz dyżącego ogniem wulkanu. Pan Olszowski, patrząc w milczącej trosce na jej wyciszenie i zadumę, usiłował wszystkimi sposobami odwrócić jej myśl, z nagłą dojrzała jak owoc w cieplarni, zając ją czym innym i rozpogodzić. Dziewczyna była mu wdzięczna za te serdeczne starania, lecz ze smutnym uśmiechem, z cudowną delikatnością wypraszała się od wszystkich rozrywki. Oczekiwała przyszłych zdarzeń ze zdumiewającym spokojem. Nosiła go na twarzy, w głębi serca jednakże czaił się niepokój i zgryzota, wlana w formę tego serca jak roztopiony ołów — w jakim stanie znajduje się jej biedny ojciec? Czy poczciwy Dimauriac powiedział wszystko? Czy nie ukrył najgorszego w miękkim zakątku litościwego współczucia? Bała się pytać pana Olszowskiego, który zapewne wiedział o wszystkim.

Serce w niej zamarło na moment, gdy pan Olszowski powiedział do niej wzruszonym głosem:

³⁴⁹kierz (daw.) — krzak. [przypis edytorski]

³⁵⁰puszyć się — być dumnym. [przypis edytorski]

³⁵¹posoka (daw.) — krew. [przypis edytorski]

³⁵²opar — para; zapach unoszący się z nad rozgrzanej substancji. [przypis edytorski]

Serce, , Dusza, Miłość,
Ojciec, Cierpienie, Miasto

— Basińko, jutro pojedziemy do Hawru³⁵³.

— Ojciec?

— Tak. Pan Dimauriac jedzie z nami. Dobry człowiek.

Dzień był jakiś zły i jadowity. Wiatr zamiatał morze i tłamsił wodę — czarną i zbeltaną³⁵⁴ w gniewnym rozruchu.

— Boję się — szepnęła Basia do pana Olszowskiego.

— Czego, drogie dziecko?

— Spotkania... Nie pozna mnie... Nie widział mnie tyle, tyle lat... Ale ja go poznam...

Nie wiem, jak wygląda, a jednak go poznam.

— Odwagi, panno Barbaro! — mówił gorąco Dimauriac.

Okręt, zdyszany, ciężko robiący bokami³⁵⁵, zdrożony³⁵⁶ potwór, wlaził do portu ostrożnie, jakby z namysłem. Przyłgął do kamiennego brzegu i dyszał.

Basia przytuliła się mocno do ramienia pana Olszowskiego i rozgorączkowanym, płonąącym wzrokiem patrzyła na potok ludzi, który wytrysnął z boku okrętu. Podniósł się zgiełk i wrzawa; okrzyki radości wytryskiwały jak race, powitania grzmiały śmiechem. Jakaś panienka rzuciła się na szyję starszej pani i śmiała się, płacząc równocześnie. Ktoś, kto był jeszcze na pokładzie, nie mogąc wydostać się przez zatłoczoną okrętową kładkę, popyślał komuś na brzegu pocałunki. Ten śmiał się głośno i wołał.

Basia szukała spojrzeniem, lecz nie mogła dostrzec tego kogoś, kogo pozna oczami duszy. Coraz jest przestronniej na pokładzie, coraz mniej ludzi na brzegu, lecz jego jeszcze nie ma.

— Pójdę na okręt — rzekł drżącym głosem Dimauriac — proszę tu pozostać.

Minęło pół godziny, ciężkiej, wlokącej się na ołowianych nogach.

Na okrętowej kładce ukazało się trzech ludzi. Pan Dimauriac i jakiś drugi człowiek wiedli ostrożnie trzeciego. Ten patrzył przed siebie upartym spojrzeniem, nie zważając na własne ruchy. Szedł jak automat, powoli, jakby bezwiednie.

Serce Basi załopotало i coś ją ścisnęło w gardle. Z najboleśniejszym wysiłkiem wydobyla z niego cichy, lecz jakby zakrwawiony, rozdzierający okrzyk:

— Ojciec!

Chciała wyrwać się Olszowskiemu i pobiec na wąską kładkę, lecz on powstrzymał ją z trudem.

Francuz i ten drugi, nieznany człowiek szli niezmiernie powoli. Na Boga! Kiedyż wreszcie przejdą przez ten pomost, taki krótki, a tak długi jak most przez przepaść życia do wieczności? Już są blisko. Pan Dimauriac ma łzy w oczach i krople potu na czole, lecz Basia tego nie widzi. Całą duszę zamieniła w jedno spojrzenie, a tym spojrzeniem, jak płomieniem, ogarnęła ojca. Jej ojciec jest bladym widmem. Ta bladeść ma odcień żółty, jakby starej kości słoniowej. Ojciec powinien mieć czterdzieści lat, lecz jego siwa głowa srebrzy się sędziwością osiemdziesięciu. Twarz ma nieruchomą, jakby ściętą na mrozie — na takiej twarzy nigdy nie jawi się uśmiech, musiałby zamienić się w lód. Oczy, wielkie, jakby nadmiernie rozszerzone, patrzą, lecz nie widzą. Dusza człowieka mieszka zawsze w oczach, w tych oczach nieszczęśliwych jej nie ma. Świecą się, lecz zgasły. Na świat spoglądają dwie jasnieniebieskie, okrągłe drobiny lodu. Z takich oczu nigdy nie wypływa ani uśmiech, gdy dusza ludzka przeżywa pogodny dzień, ani łza, gdy przeżywa pochmurną noc. Spojrzenie ich zmieniło się w nieżywą obojętność. Widziały takie okropności, że nie chcą niczego zobaczyć, aby nie ujrzyć wspomnienia. Dusza tego człowieka poniosła okropną klęskę i rozsypała się w gruzy. Czasem śmiertelnie pobije ją trwoga, czasem jakiś ból ponad ludzką miarę, czasem tęsknota. Niejeden raz marnieje i w gruz się sypie dusza więźnia, niejeden raz śmiertelnym, nieprzeniknionym mrokiem okryje się dusza człowieka, który ujrzał śmierć oko w oko i poczuł jej oddech.

Basia wyciągnęła drżące ręce, jakby w rozpaczliwym błaganiu o jedno słowo, o jeden uśmiech, o jedno spojrzenie. Ten człowiek nie odpowiadał. Przytuliła się do niego spa-

Spotkanie, Okręt, Ojciec

Ojciec, Dusza

³⁵³Hawru — francuskie miasto nadmorskie w regionie Normandia. [przypis edytorski]

³⁵⁴zbeltany (pot.) — zmącony. [przypis edytorski]

³⁵⁵robić bokami — mieć kłopoty, radzić sobie z trudem. [przypis edytorski]

³⁵⁶zdrożony — zmęczony wędrówką. [przypis edytorski]

zmatycznym³⁵⁷ ruchem, a on ją odsunął od siebie niecierpliwym gestem, jak gdyby mu zasłaniała to, na co patrzył nieruchomym spojrzeniem.

Tej rozdzierającej scenie zaczęli się przyglądać przechodnie.

— Chodźmy stąd — szepnął Dimauriac.

— Czy ja będę potrzebny? — zapytał obcy człowiek.

— To pielęgniarz... — objaśnił Francuz. — Jak pan rozkaże, panie Olszowski?

— Ja będę pielęgnować ojca! — odpowiedziała Basia szybko.

Odwaga, Córka

Uczyli taki ruch, jakby strząsała z siebie wszystką słabość, roztkliwienie i udrękę. Pan Olszowski patrzył na nią z podziwem. Nie wiadomo, za jaką okropną cenę kupiła od własnego serca uśmiech, który się niespodziewanie zjawiał na jej twarzy. Nie wiadomo, skąd drobne, wątłe, niewyrośnięte stworzenie — niedbały jeszcze projekt pełnego człowieka — zdobyło siłę, pewną siebie i hardą. Wobec dwóch mężczyzn — niezdecydowanych, zatrwożonych i wzruszonych — Basia objęła przodownictwo. Otoczyła ojca ramieniem ufnie, śmiało i bez lęku.

— Chodźmy, tatusiu! — rzekła z niewysłowioną słodyczą.

— W jakim języku przemawia ta młoda *miss*³⁵⁸? — zadał pytanie Amerykanin.

— Po polsku.

— On czasem mówi — szepnął do Dimauriaca. — Nikt jednak tego języka nie rozumie. Jest to jakaś dziwaczna mieszanina. Pan Williams twierdzi, że są w niej słowa hiszpańskie, indiańskie i jeszcze inne, których rozpoznać nie umiał.

— A czemu on czyni takie dziwne ruchy rękami?

— Pan Williams mówił, że to z nawyku. U Indian plół kapelusze, pan wie: „panama”³⁵⁹, z takiej cienkiej słomki. Poza tym jest łagodny jak dziecko. Dobry człowiek, tylko że umarł za życia...

Basia prowadziła ojca do auta, ująwszy go pod rękę. Nie stawiał żadnego oporu, raz tylko przystanął i obejrzał się, jak gdyby szukał znajomej twarzy pielęgniarza.

Zachowywał się istotnie jak dziecko — potulne i posłuszne. Basia zdrętwiała na chwilę, gdy w hotelu usłyszała jego głos. Był sam w pokoju i mówił do siebie; ściszym, miękkiem, jakby obolałym głosem wymawiał dziwaczne słowa bez ładu i składu. Zdawało się, że chore dziecko prosi o coś pokornie, lecz nie ma nadziei, aby je wysłuchano. Mocny skurcz zdławił dziewczęce serce. Szybko otarła łzy, zanim weszła.

Przemawiała do niego z niewysłowioną słodyczą, krótkimi, niewymyślnymi zdaniami. Nie odpowiadał. Czasem przechylił głowę, jakby nasłuchiwał dalekiego echa, lecz na nieruchomej twarzy nie znać było żadnego błysku. Brał z jej ręki jedzenie i połykał je w pośpiechu, nie zważając, co zjada. Potem zapadał w kamiennosc i tylko przebierał szybko palcami, plotąc urojone kapelusze.

Pan Olszowski, bardzo zgryziony, naradzał się ze wzruszonym do głębi Francuzem..

— Taki umysł, taki człowiek! — biadał Dimauriac. — Światło w nim zgasło jak w lampie. Biedny on i biedna dziewczyna... Lecz jaka dzielna! Co mówili lekarze?

— Co mogli powiedzieć? Gwałtowny uraz psychiczny, poza tym, sądząc z głębokich blizn na głowie, katastrofa fizyczna.

— A jaka jest nadzieja?

— Jeśli orzeczenie, że „jednak cuda się zdarzają”, jest szczątkiem nadziei, w takim razie szczątek ten istnieje. Niech go Bóg ma w swojej opiece.

— Tak, ale i tę dziewczynę — rzekł Dimauriac wzruszony.

Po długiej naradzie postanowiono przewieźć nieszczęśliwego człowieka do Paryża, a stamtąd do kraju. Niespodziewanie sprzeciwiła się Basia.

— Za nic nie zawiozę ojca do Paryża. Trwoży go każdy hałas, wdryga się, gdy trzasną drzwi. Zostawcie mnie z nim samym.

— Niemożliwe! — krzyknął pan Olszowski.

— Czemu niemożliwe? Wujaszku, ja już nie jestem dzieckiem. To on raczej jest dzieckiem, w tej chwili moim dzieckiem. Najpierw szukałam ojca, teraz będę szukać jego duszy... Osiądę z nim na jakiś czas w zacisznej miejscowości, najlepiej nad morzem,

³⁵⁷spazmatyczny — nerwowo, kurczowo, konwulsyjny. [przypis edytorski]

³⁵⁸miss (ang.) — panna, panienska. [przypis edytorski]

³⁵⁹panama — tu: rodzaj letniego kapelusza. [przypis edytorski]

i będę tak długo patrzeć w jego nieruchome oczy, aż mnie ujrzą... Nie bój się o mnie... Wytrzymam! Jestem zdrowa i silna, a to jest mój ojciec.

Żadne namowy nie mogły przekonać Basi. Ponieważ lekarze nie sprzeciwili się temu zamiarowi, musiał wreszcie ustąpić i pan Olszowski. Uczynił to z lękiem i z wahaniem, otrzymawszy jednak uroczystą obietnicę Dimauriaca, że będzie z Paryża czuwał nad dziewczyną, zgodził się na jej wyjazd do Saint-Malo³⁶⁰. Nie byłby może nigdy tego uczynił, lecz zająwszy głęboko w jej oczy, zobaczył w nich powagę rozumnej, dorosłej kobiety. Tliło się w nich to niewypowiedziane, tkliwe ciepło, które jest najcudowniejszą treścią spojrzeń matczynych. Przez kilka dni zdołał też dostrzec, że nieszczęśliwy człowiek uznał Basię za swoją najwyższą władzę. Ożywał się jakimś cieniem życia, gdy ona była przy nim, zapadał w odrętwienie, gdy tylko wyszła.

— Ją można zostawić samą! — oświadczył z entuzjazmem Dimauriac. — Będę przyjeżdżał co tydzień i donosił panu o wszystkim. Niech pan wraca spokojnie, drogi mistrzu.

— Niech pan mnie wezwie natychmiast, gdyby coś zaszło — prosił Olszowski.

Do Basi powiedział:

— Ufam ci, drogie dziecko... Twoje serce wie najlepiej, co należy zrobić... Bądź zdrowa!

— Nie tak, najdroższy wujaszku! Powiedz raczej: „Niech będzie zdrów”.

— O tak, o tak! — rzekł Olszowski, gorąco całując jej skłopotaną głowę.

W cichym, portowym miasteczku — starym gnieździe pirackim — Basia osiadła ze swoim biednym „dzieckiem”. Ze współczującym zdumieniem patrzono tam, jak codziennie rano płowa, cudzoziemska dziewczyna prowadzi pod rękę dziwnego, milczącego człowieka. Prześliczna miejscowość obwiedziona jest murem, tak szerokim i potężnym, że mogą się na nim minąć dwa wozy. Mur ten jest doskonałą drogą, która wije się nad wodą o zielonym połysku. Morze jest tu huczne, szturmujące przyplływami. Brzeg usiany głazami odsłania się podczas odpływu tak, że suchą nogą można przejść daleko. Zielona radość waleśa się po tej szmaragdowej fali i oznajmia swą obecność krzykiem mew. O porannej i wieczornej godzinie fale nadciągają z daleka i śpiewają uroczyste hymny na cześć poety Chateaubrianda³⁶¹, który ze swojego grobu na wyniosłej górze słucha muzyki wód.

Morze

Siwy człowiek, którego dusza ulotniła się, siadał na zrębie muru, a obok niego dziewczyna z chłopięcą twarzą. Kładła rękę na jego dłoni i mówiła cichutkim głosem:

— To morze.

Potem, gdy mewa rozzwierającym wrzaskiem chciała przekrzywić szum wody, dodawała:

— To jest ptak.

Siwy człowiek nasłuchiwał w milczeniu. Czasem spojrzął na nią jakby pytającym wzrokiem, a ona, ze zmartwiałym ze wzruszenia sercem, patrzyła w jego nieruchome oczy, jak gdyby chcąc w nich wyczytać bezradne pytanie. Raz do niej przemówił. Słowa były miękkie i okrągłe, lecz niezrozumiałe — jak gdyby szczebiotało dziecko. Nie bał się jej i niekiedy zdawało się, że szuka jej oczami.

Po kilku dniach sam ujął rękę dziewczyny i skierował się na schody, wiodące na gościniec³⁶² muru. Słuchał chciwie szumu morza, zwróciwszy twarz ku słońcu.

— To jest słońce — uczyła Basia niemowlęcą duszę.

Tej nocy przeżyła jednak śmiertelną trwożę. Około godziny jedenastej spuszczonej z łańcucha wicher zaczął hulać po morzu i zwałił się w niespodziewanym szturmie³⁶³ na ciche miasteczko. Basia posłyszała krzyk w pokoju ojca. Zerwała się z łóżka i wbiegła ze światłem. Biedny człowiek stał, trupio błądy, przytulony do ściany i ręką tak osłaniał głowę, jak gdyby ją chronił przed czymś, co na nią spada. Gdy poczuł dotknięcie ręki, przylgął do niej z głębokim, rozdzierającym jękiem.

Strach, Wspomnienia

³⁶⁰ *Saint-Malo* — miejscowość portowa we francuskim regionie Bretania; miasteczko otoczone jest murem. [przypis edytorski]

³⁶¹ *Chateaubriand, François-René* (1768–1848) — francuski pisarz, polityk i dyplomata, urodzony w Saint-Malo. [przypis edytorski]

³⁶² *gościniec* (daw.) — droga, trakt. [przypis edytorski]

³⁶³ *szturm* — atak, natarcie. [przypis edytorski]

— Tatusiu, tatusiu — mówiła Basia. — Nie bój się... Jestem przy tobie... To nic... To tylko burza...

Ułożyła go w łóżku, drżącego z powodu tajemniczego lęku. Gładziła jego czoło, perlące się wielkimi kroplami potu. Przemawiała do niego cichutko i słodko, jak gdyby uspokajała dziecko, aż wreszcie usnął. Nie śmiała się poruszyć, ponieważ przez sen trzymał kurczowo jej rękę.

Nazajutrz przybył Dimauriac. Spojrzał bacznie na Basię, potem zbliżył się do Bzowskiego i wyciągnął ku niemu dłoń. Tamten obrzucił go bezbarwnym wzrokiem i podniósł rękę machinalnie.

Francuz napełnił pokój radosną wrzawą słów, a Bzowski, przechyliwszy głowę, słuchał, wodząc za nim nieruchomymi oczami.

— Zdaje mi się, że się rozpoczyna cud! — szepnęła Dimauriac. — Wie pani, kto na świecie jest mędrszy od największych uczonych? Miłość! A pani jest cała miłością, mała, dobra kobieto!

Basia miała jej w sobie tyle, że ta miłość przelewała się przez brzegi serca. Wzruszenie ogarniało ludzi w małym miasteczku, w którym wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Prości ludzie — rybacy, surowi i roztropni — kłaniali się z szacunkiem tej dziewczynie, która niezmiernie, z anielską cierpliwością rozmawia z siwym, wynędzniałym człowiekiem.

Otoczyła ramieniem jego szyję i opowiada mu coś cienkim głosem rozspiewanego ptaka. Morze jest dzisiaj jak szmaragdowa, soczysta łąka, na której pasie się żarłoczny wiatr. Słońce bucha złocistą radością.

Siwy człowiek patrzy na wodę z uporczywym natężeniem. Coś się w nim dzieje, coś się przewala i łamie. Mocuje się ze sobą jak Jakub³⁶⁴ z aniołem. Zdaje się, że pragnie uchwycić coś, co mu się wymyka i wyslizguje jak trzepocąca się ryba. Nagle zwraca twarz ku Basi i z niesłychaną intensywnością wpatruje się w nią bez końca. Potem ostrożnie, miękko, z wahaniem kładzie rękę na jej dłoni. Wyłamuje jakies słowo w skale, wygrzebuje je z krwawiącym trudem. Wreszcie je wymawia:

— Basia... To jest Basia...

Złote niebo nagle się otwarło i Basia ujrzała przez słoneczne opary dobrą, promiennie uśmiechniętą twarz Boga.

13. NARODZINY CZŁOWIEKA

Sędziwa pisarka, Selma Lagerlöf³⁶⁵, przytoczyła w jednej ze swych książek śliczną legendę o pobożnym i wytrwałym rycerzu, który przyniósł w dłoniach do swojego dalekiego kraju na północy światelko zapalone w Ziemi Świętej³⁶⁶. Z taką samą wierną czujnością Basia podczas dalekiej podróży strzegła tej nikłej iskielki, która się zatliła w duszy jej ojca jak w alabastrowej³⁶⁷ lampie. Dusza, od wielu lat uśpiona i osnuta mrokiem, ledwie drgnęła. Trzeba było nadludzkiego wysiłku, aby migocące, chwiejne światelko nie zgasło. Bóg widzi, że Basia utrzymywała je przy życiu często już ostatnim tchem. Za wszystkie skarby świata nie odstąpiłaby nikomu opieki nad tym szczątkiem najdroższego człowieka. Wymęczona była do ostatecznych granic: miała oczy zapadnięte, lecz wciąż gorące i czujne; twarzyczka jej schudła i pociemniała, ręce często drżały. Środkami przepisany przez uczonych ludzi wzmacniała zniszczony organizm ojca, lecz jego duszę leczyła sama. Nikt inny — nawet najbardziej cierpliwy i najlepszy — nie mógłby jej zastąpić. Usłyszawszy pierwsze rozsądne słowa ojca, osłabła z radości, a wielkie, gorące łzy potoczyły się z jej oczu. Byle wytrwać, byle wytrwać! Już jeden promyczek wsiąknął w mroczny umysł, jak o wschodzie słońca pierwszy jego promień wciska się do ciemnej izby przez serduszko wycięte w okiennicy. Przez serduszko Basi przebłysnęło to światelko, które padło na nieruchome oczy ojca.

Jest coraz lepiej, coraz lepiej... Przez niedomknięte drzwi dojrzała, jak ojciec wziął

³⁶⁴Jakub — patriarcha biblijny, którego dzieje przedstawione zostały w Księdze Rodzaju; walczył ze zjawą, która okazała się aniołem. [przypis edytorski]

³⁶⁵Lagerlöf, Selma (1858–1940) — szwedzka pisarka, nowelistka i noblistka. [przypis edytorski]

³⁶⁶Ziemia Święta — pochodzące z Biblii określenie Palestyny i Izraela jako miejsc rozgrywania się wydarzeń Starego i Nowego Testamentu. [przypis edytorski]

³⁶⁷alabastrowy — zrobiony z alabastru, białego, lekko przezświtującego minerału. [przypis edytorski]

w ręce książkę. Przyglądał się jej ciekawie, potem zaczął, jak dziecko szukające obrazków, niecierpliwie przewracać jej kartki. Odłożył tom z grymasem niechęci, lecz po chwili coś go znowu ku niemu pociągnęło. Otarł ręką czoło, na którym ukazały się krople potu — oznaka nadmiernego wysiłku. Do głębi wstrząsnęło Basią jednak inne zdarzenie. Pewnego popołudnia usnęła, siedząc w głębokim fotelu. Czujna nawet we śnie, posłyszała lekkie, jak gdyby skradające się kroki. Ojciec! Obudzona, patrzyła przez zmrużone powieki, co zamierza uczynić. On pochylił się nad nią i długo wpatrywał się w jej twarz; potem nieśmiały, przyczojony, kocim ruchem musnął jej włosy. Basię przebiegł dreszcz. Po chwili poczuła delikatny dotyk jego dłoni na swoich oczach i na twarzy. Wodził ręką jak ślepiec pragnący poznać znajome rysy. Musiało mu to sprawiać przedziwną przyjemność, bo stało się coś nadzwyczajnego: na zmartwiałej twarzy ojca ukazało się coś, co mogło być uśmiechem.

Z dnia na dzień, z godziny na godzinę budziła się ta zaczarowana dusza. Opowieść o tym byłaby obszerną historią, pełną ponurości, z którą przeplata się radość. Trzy miesiące trwał ten uciążliwy pochód ku samowiedzy, jaki odbywa niemowlę przez swoje pierwsze lata. Dziecko naucza matka, tego biednego człowieka wiodła za rękę młodziutka dziewczyna, jego córka — bohatercko, z namiętym uporem i z taką niezmierną siłą woli, że zdumiony Dimauriac, chyba po raz pierwszy w życiu nie powiedział barwnego słowa, ucałował z czcią obie dłonie Basi, dziecinne ręce. Nie wytrzymał jednak i powiedział jej kwieciście przy pożegnaniu:

— Każde ludzkie serce ma swoją ciemną i słoneczną stronę. Pani serce ma tylko tę słoneczną. Drogie dziecko, ocaliła pani ojca!

Basia śmiała się, płacząc.

Wygodną morską drogą przywiozła ojca do Polski.

W Warszawie oczekiwano ich z serdeczną niecierpliwością. Pani Tańska, zaniepokojona i gwałtownie przejęta, codziennie zatruwała życie Olszowskiemu.

— Zostawiłeś dziewczynę z wariatem, który ją któregoś dnia udusi. Świetny pomysł! Tylko mężczyzna potrafi tak urządzić...

— Przecież babcia czyta listy Basi! — wołał Olszowski. — Jej ojciec powraca do życia. To dzielna dziewczyna, cudowna dziewczyna! Czegóż babcia chce ode mnie? Basia się uparła...

— Basię trzeba było położyć na kolanie i okrężną drogą wybić jej upór z głowy. Ja bym tak zrobiła! Ale ja, dzięki Bogu, nie piszę książek, więc posiadam jeszcze odrobinę rozsądku.

Słuchała z chmurną twarzą opowiadania Olszowskiego o dziwnej i tajemniczej tragedii Bzowskiego. Pani Olszowska miała oczy pełne łez. Jej mąż musiał powtórzyć tę opowieść, gdy odwiedził ich profesor Somer, niespokojny o los swojego ucznia. Uprzejmie zaproszono i panią Tańską, która rada³⁶⁸ poznawała nowych ludzi. Babcia jednak, dowiedziawszy się, kim jest sławny gość, niespodziewanie stanęła okoniem³⁶⁹.

— Nie mam zamiaru — rzekła — poznawać człowieka, który udaje, że umie obliczyć wiek Ziemi i gada przy tym głupstwa. Ziemia ma tyle lat, ile ich ma żydowski kalendarz. Kto jak kto, ale Żydzi umieją rachować! A ten wyjeżdża z milionami... Gotów powiedzieć, że i ja mam ze sto tysięcy. Bawcie się z nim sami! Ja sobie zjem obiad z moim Szotem, który niezadługo i mnie pożre, bo ten drab ma chyba z siedem żołądków.

Depesza od Basi przyprawiła panią Tańską o lekkie pomieszenie zmysłów. Zaczynała nie mogła sobie znaleźć miejsca. Krążyła dziesięć razy dziennie między swoim domem i mieszkaniem Olszowskich, rozgdakana³⁷⁰ i niecierpliwa. Wydawała najdziwniejsze polecenia i wtrącała się we wszystkie sprawy. Wracając do domu, gdzie spływało na nią jakieś wielkie natchnienie, czym prędzej więc biegła do Olszowskich, aby oznajmić zdumionym ludziom, co jej podszepnął duch ognisty.

— Muszą zamieszkać u mnie! — krzyknęła z energią, jak gdyby z góry chciała stłamsić wszelkie protesty.

— Któż ma zamieszkać u babci?

³⁶⁸rada — tu: chętnie, z zadowoleniem. [przypis edytorski]

³⁶⁹stanąć okoniem — oprzeć się, postawić się, zbuntować się. [przypis edytorski]

³⁷⁰rozgdakany — tu: pytlący, mówiący szybko i głośno. [przypis edytorski]

— Szach³⁷¹ perski ze swoją ciotką! Któż, jeśli nie Basia z ojcem?
 Pan Olszowski spojrział na starowinę z rozrzewnieniem.
 — Babcia jest strasznie dobra!
 — Taka jestem dobra, że gdyby mnie kto przyłożył do rany, to by się wściekł. Co to za dobroć? Mam obszerne mieszkanie czy go nie mam? Mam! Trzy pokoje im odstąpię, a sama zabarykaduję się³⁷² w czwartym.
 — Dlaczego ta barykada³⁷³?
 — Jak to dlaczego? A skąd wiesz, czy taki, co jest na pół Indianinem, nie zechce przypalić starej baby na wolnym ogniu! Czy to gwałtowny człowiek?
 — Łagodny jak dziecko.
 — Walicki też był łagodny jak dziecko, a na mój widok zgrzytał zębami. Wszystko jedno zresztą! Zamieszkają u mnie, oczywiście nie za darmo... Taka głupia nie jestem! Ze skóry Basi nie obedrę, ale dziesięć złotych miesięcznie musi zapłacić za trzy pokoje.
 — To całkiem przyzwoita cena! — śmiał się Olszowski.
 Pani Tańska, straszliwy łupiskórcza³⁷⁴, znalazła sobie nowe zajęcie i oddała mu się całą duszą. Urządziła w swoim mieszkaniu walne trzęsienie ziemi, wyracając wszystkie graty do góry nogami. Przy okazji znalazł się konterfekt³⁷⁵ jej trzeciego nieboszczyka męża, tkwiący od wielu lat za szafą.
 — Kto to może być taki? — pytała babcia. — Jakaś znajoma gęba. Aha! To trzeci... Powiedział, że językiem mogłabym poruszać wielki młyn. Marcysiu! Na strych tego pana! Twarzą do ściany!
 Po kilku dniach mieszkanie było przygotowane, natomiast miły Szot, który musiał wieszać firanki i dźwigać ciężkie meble, położył się do łóżka całkowicie połamany.
 Wreszcie Olszowski oznajmił z przejęciem:
 — Dzisiaj przyjeżdżają!
 O, jakże inaczej wyglądał nieszczęśliwy człowiek, który jak widmo schodził z pokładu okrętu w Hawrze! Pan Olszowski patrzył z radosnym zdumieniem: z wagonu wyszedł wytworny dżentelmen³⁷⁶, tym różniący się od innych, że w spojrzeniu miał odrobinę obawy i nieśmiałości. Ujął mocno rękę Basi, jak gdyby bał się rozłączyć z nią choćby na chwilę.
 Olszowski uścisnął jego dłoń i rzekł:
 — Serdecznie pana witamy!
 Bzowski spojrział na Basię, jak gdyby oczekiwał od niej wskazówki, co ma uczynić.
 — Ojczulku! — powiedziała Basia. — Ten pan to mój dobry wujaszek, który mnie wychował, a ta pani to jego żona. Ja ich bardzo kocham. Przywitaj ich gorąco!
 Dziewczyna mówiła powoli, wyraźnie i dobitnie jak nauczycielka w szkole. Ojciec jak gdyby wpatrywał się w każde jej słowo i słuchał z natężoną uwagą.
 — Rozumiem... Tak jest... — rzekł, wymawiając słowa z niejakim trudem.
 Podał rękę Olszowskiemu, potem, uśmiechnąwszy się, pogładził zdumioną panią Olszowską po twarzy.
 — Ciociu! — szepnęła Basia. — Ojciec zawsze tak mnie wita...
 Bzowski, stanąwszy nieruchomo, przyglądał się z ciekawością gorącemu powitaniu Basi, uściskom i pocałunkom. Potem, na znak dany przez córkę, szedł spokojnie z całą gromadką. Rzucał szybkie spojrzenia na dworzec i okoliczne domy, marszcząc przy tym czoło.
 — Och, jaki to piękny człowiek! — szepnęła pani Olszowska do swego męża.
 — A Basia? — zapytał Olszowski gorąco. — Ale śpieszmy się, bo babcia wyskoczy przez okno.
 Pani Tańska oczekiwała ich cała w ogniach, tak że mogła podpalić delikatne firanki. Ze dwadzieścia razy przesunęła na inne miejsce wazonik z kwiatami w pokoju Basi i spróbowała doświadczoną ręką sprężystości materaców.

Przemiana

³⁷¹szach — tytuł królewski w Persji (obecnym Iranie). [przypis edytorski]

³⁷²zabarykadować się — odgrodzić się barykadą. [przypis edytorski]

³⁷³barykada — przegroda, zaporą, budowana przeważnie w trakcie walk ulicznych. [przypis edytorski]

³⁷⁴łupiskóra (daw.) — zdzierca, wyzyskiwacz. [przypis edytorski]

³⁷⁵konterfekt (daw.) — portret. [przypis edytorski]

³⁷⁶dżentelmen a. (ang.) gentleman — mężczyzna elegancki, dobrze wychowany. [przypis edytorski]

Nareszcie przyszli.

Pani Tańska, na nikogo nie patrząc, nawet na tego „dzikusa”, przytuliła Basię do osiwiałego serca, po czym zaniosła się wielkim szlochem.

— Jesteś, jesteś, dziewczynko! — kapaly z jej ust słowa oblane łzami. — Już myślałam... O niedobre dziecko!... Dziesięć razy mogłam umrzeć... Wyrosłaś, ale schudłaś... Odkarmię cię, jeśli Szot nie zje wszystkiego... Czemu płaczesz? Pokaż no mi swego tatusia!

Basia z oczami pełnymi łez ujęła ojca za rękę i przyprowadziła go do pani Tańskiej.

— To babcia, ojczulku... Babcia... Najlepsza na świecie.

— Rozumiem... Tak jest... — powiedział Bzowski i uśmiechnąwszy się, pogładził babcię po twarzy.

— To bardzo miły człowiek! — krzyknęła babcia, ocierając łzy. — Ładnie się wita.

I nie namyślając się długo, pogładziła go po obu policzkach.

— Takiej córki jak pan — rzekła potężnie — nie ma nikt inny na świecie.

— Rozumiem... Tak jest... — odrzekł Bzowski.

— Ale teraz ona odpocznie, a ja się panem zajmę!

Bzowski spoglądał na nią bacznie, po chwili zaś zwrócił oczy w stronę Basi, która uśmiechnęła się. Wskazując jednym palcem panią Tańską, a drugim ojca, powiedziała dobitnie:

— *Babcia kocha ojczulka.*

— Mądra dziewczyna! — zawołała pani Tańska rozczulona. — Po mnie to ma! Czemu się pan śmieje, panie Olszowski?

— Bo mi wesoło — odrzekł ten zuchwale.

Pani Tańska dokładnie spełniła przyrzeczenie. Basia mogła wreszcie odpocząć, bo ojciec dostał się w dobre ręce. Staruszka zajęła się nim jak własnym synem. Objąśniona przez Basię co do najdrobniejszych szczegółów prymitywnej egzystencji³⁷⁷ Bzowskiego, ulepszyła jedynie cierpliwą metodę wzbogacenia jego życia. Wybornym pomysłem był rozkaz dzienny wydany Szotowi — aktor brał każdego popołudnia książkę i wyraźnie, jasno czytał ją na głos. Bzowski przysłuchiwał się tej lekturze³⁷⁸ z wyraźną przyjemnością. Po nieznacznym ruchu warg można było poznać, że niesłyszalnym szeptem powtarza skrzydlate słowa.

Szot czytał *Pana Tadeusza*³⁷⁹ — ślicznie, z głębokim wzruszeniem. Po niejakiem czasie Bzowski przymknął oczy i zastygł nieruchomo. Aktor, myśląc, że ojciec Basi usnął, ściszył głos, a wreszcie przerwał. W tej samej chwili nieszczęśliwy człowiek otworzył oczy i spojrzał na niego błagalnym wzrokiem.

Pani Tańska promieniała.

— Pan dobrze czyta, panie Szot! — rzekła z uznaniem. — Gdy panu w gardle zaschnie, może pan wypić kieliszek wina, ale tylko jeden. Niech pan nie próbuje żadnego szachrajstwa, bo zaznaczyłam paznokciem na etykietce³⁸⁰ i wiem, ile jest w butelce.

Czasem jednak ogarniał babkę niepokój. Bzowski witał ją zawsze uśmiechem, niekiedy jednak wpatrywał się w nią z dziwnym uporem. Jednego razu zbliżył się nieśmiało i ku największemu zdumieniu pani Tańskiej zaczął szybkimi ruchami palców dotykać jej głowy, jak gdyby chciał dokładnie poznać jej rozmiary.

— Co to miało znaczyć? — spytała Basię.

— Nie wiem, nie wiem — odrzekła dziewczyna zatroskana.

Było to tym dziwniejsze, że Bzowski powtórzył te pomiary kilkakrotnie. Po każdym takim zabiegu zamyślał się i tarł ręką czoło.

— Kto stracił własną głowę, ten szuka cudzej — szepnęła pani Tańska do siebie. — Ot, biedaczysko!

Polubiła go jednak bardzo. Basię odkarmiła zawzięcie i zapędzała na spoczynek.

— Zrobiłaś więcej, niż mogłaś. Odpocznij, drogie dziecko, odpocznij, a ja sobie porozmawiam z twoim ojcem.

³⁷⁷ *egzystencja* — codzienne życie, warunki bytowania. [przypis edytorski]

³⁷⁸ *lektura* — tu: czytanie. [przypis edytorski]

³⁷⁹ *Pan Tadeusz* — poemat autorstwa Adama Mickiewicza (1798–1855). [przypis edytorski]

³⁸⁰ *etykieta* — tu: naklejka, nalepka. [przypis edytorski]

Gadała całymi godzinami, zdolawszy opowiedzieć cierpliwemu człowiekowi jedynie kilka epizodów³⁸¹ ze swego życia. On słuchał, wpatrzony w jej usta, siedząc bez ruchu.

— Rozmawiałam z nim wczoraj przez cztery bite godziny — rzekła pani Tańska do Olszowskiego. — Skoro to wytrzymał, będzie zdrow. Ja go wyleczę!

— Tylko że to końska kuracja³⁸² — odrzekł Olszowski, prędko odchodząc.

W Bzowskim nie było jednakże widać wyraźnej odmiany. Wyszedł z mroku, ale zatrzymał się na progu świadomości.

— Jakiś wstrząs wypchnie go za ten próg — mówili ludzie uczeni.

Nikt nie wiedział jednak, co może wstrząsnąć tą skamieniałą duszą. I nikt nie mógł się dowiedzieć, co w niej ostrym cierniem tkwi najgłębiej. Gdyby ten cierni wyrwać mocnym, niespodziewanym ruchem, nagły, dotkliwy ból może by obudził Bzowskiego.

— Och, gdyby żyła mamusia! — rzekła Basia.

Nazajutrz powiedziała do ojca:

— Tatusiu... Dzisiaj... Pójdziemy do profesora Somera. Rozumiesz? Profesor Somer...

— Tak... Rozumiem — odrzekł.

Nagle zamknął oczy i znowu je otworzył. Na jego czole znać było zmarszczony wysilek, a w spojrzeniu — niepokój. Basi zdawało się, że bezgłośnym ruchem warg powtarza słowa: „profesor Somer”. Spojrzała na niego bacznie, on jednak, jak ktoś, komu się coś nie udało, uczynił niecierpliwy ruch ręką. Stał przez chwilę nieruchomo, spokojny jak zwykle; niespodziewanie jednak, jakby ożywiony i podniecony, zaczął nerwowo zmierzać ku drzwiom. Obejrzał się, czy Basia idzie za nim, i ku jej największemu zdumieniu zszedł szybko po schodach. Basia ujęła go pod rękę, wiodąc przez kilka ulic, profesor bowiem mieszkał niedaleko.

Jeszcze na schodach Bzowski zaczął okazywać nienaturalne podniecenie. Basię ogarnął lęk.

„Co to wszystko znaczy?” — pomyślała z drżeniem.

Opanowało ją jeszcze większe zdumienie, gdy ojciec sam zadzwonił i po otwarciu drzwi wszedł pewnie, zdecydowanym krokiem. Powiesił kapelusz na wieszaku i szybko skierował się w stronę pracowni uczonego. Pomieszczenie było puste, profesor Somer znajdował się w pokoju swego syna. Basia, pozostawiwszy ojca samego, pobiegła do Somera i zaczęła mówić szybko:

— Panie profesorze! Mój ojciec jest w pańskiej pracowni, lecz jego zachowanie jest dość niezwykle.

— Spokojnie, dziewczyno, spokojnie!

— Wszedł tak pewnie...

— Wchodził tutaj codziennie przez trzy lata, gdyśmy pracowali razem nad wielkim atlasem — odrzekł profesor zamyślony.

— Chodźmy!

Drugie drzwi, wiodące do pracowni z wnętrza mieszkania, były otwarte. Profesor stanął przy nich nagle i gwałtownym ruchem zatrzymał Basię. Położył znacząco palec na ustach, nakazując ciszę.

— Ani słowa! — szepnął, nachyliwszy się ku niej. — Patrz!

Nieszczęśliwy człowiek, omotany mrokiem, stał na środku przestronnego pokoju, zawałonego książkami i mapami. Spoglądał dokoła siebie z wyrazem niezmiernego zdumienia i dotkliwej udręki. W oczach miał ból, jakby w senne źrenice wdzierало się prężną jaskrawe światło słoneczne. Podniósł rękę i gwałtownie potarł nią czoło, jak gdyby chciał z niego usunąć jakiś gniojący je ciężar. Potem jęknął cichym, przejmującym, niemal zrozpaczonym głosem.

— O Boże! — szepnęła Basia.

— Cicho, cicho! — odszepnął profesor.

Bzowski poruszył się. Z szeroko otwartymi oczami zaczął zbliżać się ostrożnie, jak gdyby się skradał, do rozłożystego biurka, na którym rozpostarta była mapa. Przyjrzał się jej głodnym wzrokiem, potem dotknął ją ręką — miękko i pieszczotliwie.

³⁸¹epizod — tu: trwające krótko, mało znaczące wydarzenie. [przypis edytorski]

³⁸²końska kuracja — leczenie z uwzględnieniem dużych dawek leków i nieprzyjemnych dla pacjenta metod. [przypis edytorski]

— Uśmiecha się! — zdumiała się Basia.

— Poznaje... — szepnął profesor.

Bzowski podszedł tymczasem do biblioteki i drżącymi palcami zaczął dotykać grzbietów ogromnych tomów, stojących w nieruchomym szeregu jak grenadierzy. Nagłym ruchem zdjął z półki jedną z książek i jakby oszołomiony przyglądał się jej z natężoną uwagą. Potem zaczął przerzucać kartki prędko, prędko... Odłożył tom na właściwe miejsce i westchnął. Obiema rękami objął głowę, jak gdyby usiłował ją rozsadzić nagły ból.

— Jak on strasznie zbladł! — szepnęła Basia.

Profesor nie odpowiedział, tylko ścisnął mocno jej rękę. Był ogromnie poruszony. Coś rozważał z głębokim zastanowieniem. Patrzył uporczywym wzrokiem na znieruchomiałego Bzowskiego, na jego śmiertelnie bladą twarz i splecione na głowie ręce. Nagle powziął jakiś zamiar, bo sam pobladł, a jego usta drżały. Wszedł pewnym krokiem do pracowni i głosem, który był mieszaniną radości i drżącego lęku, zawołał:

— Jak się macie, panie Adamie.

Bzowski uczynił ruch tak gwałtowny jak człowiek trafiony kulą. Zachwiał się, uderzony tym głosem, i cofnąwszy się nagle, oparł się o bibliotekę. Dyszał tak, jakby ukończył długi bieg, który trwał przez całe lata — przez dziesięć kamienistych, krwawych i strasznych lat. Chwytał otwartymi ustami powietrze jak ktoś, kto wniósł na górę ogromny ciężar i teraz odpoczywa. Wydobył z gardła krótki, urywany krzyk i patrzył na profesora jak na widmo.

— Adasiu! — zawołał profesor tak przejmująco, z takim bólem, że zdawało się, jakby to słowo nalane było krwią.

Równocześnie wyciągnął ramiona, a Bzowski po błyskawicznej chwili wahania rzucił się w objęcia profesora. Siwy człowiek gładził go po głowie jak dziecko, jak ojciec pieści syna powracającego z obłądnej, śmiertelnej podróży. Całował tę nieszczęśliwą, bliznami pokrytą głowę, tuląc się do jego piersi.

Bzowski szlochał, targany głębokim spazmem³⁸³.

— Basiu! Oddaję ci ojca... — powiedział profesor dziwnym głosem.

I4. ZNOWU ZACZYNA SIĘ WIOSNA

— Jeden wariat ozdrowiał — mówiła pani Tańska z goryczą — ale za to narodził się drugi.

— Kto taki? — pytał wesoło pan Olszowski. — Czy ja?

— Ty też jesteś kandydatem, ale jeszcze nie dojrzałeś. Najbliższą ofiarą jest Basia. Czy wy nie widzicie, co się dzieje z tą dziewczyną?

— Cóż się dzieje? Cieszy się!

— Można się cieszyć i cieszyć, ale nie aż do utraty zmysłów. Ja, gdy wychodziłam pierwszy raz za mąż, powinnam była skakać z radości, bo odbiłam narzeczonego jednej zezowatej pannicy, a na ślubie miałam twarz jak marmur. Basia lata jak opętana i każdemu rzuca się na szyję. Rozumiem, że to robi ze mną, można by ostatecznie zrozumieć, że czyni to z tobą, ale ona powtarza tę operację³⁸⁴ z każdym, kogo napotka. Szota też wycalowała, ale temu bardzo się nie dziwię, bo to przystojny drab. Zarumienił się i uciekł, ale na obiad wrócił, zbereźnik³⁸⁵ jeden!

— Czegóż babcia chce od niej? Uratowała ojca...

— A właśnie! To był kiepski pomysł...

— Niechże babcia nie gada nonsensów! — śmiał się Olszowski.

— Panie Olszowski! — krzyknęła babcia. — Ja mam osiemdziesiąt lat i nonsensów nie gadam. Może bym gadała, gdybym czytała pańskie książki, ale Bóg mnie przed tym uchronił. Uratowała ojca? Ja twierdząc, że go doprowadziła do zguby. Tak długo był szczęśliwy, jak długo nie wiedział, co się dzieje na świecie. Śmiał się przynajmniej, a teraz będzie płakał. Nie rozumiał, co do niego mówią, i słuchał godzinami, a teraz ucieka, zaledwie słowo posłyszysz! Czemu się śmiejesz? Co cię tak bawi?

Radość

³⁸³spazm — mimowolny skurcz. [przypis edytorski]

³⁸⁴operacja — tu: działanie. [przypis edytorski]

³⁸⁵zbereźnik (daw.) — osoba mówiąca lub zachowująca się w sposób nieprzyzwoity (przeważnie w sferze seksualnej). [przypis edytorski]

— Nic, nic...

— Więc się nie śmieję z cudzej krzywdy! Miałam przynajmniej jakieś zajęcie, a teraz co? Co ja będę robiła? Muszę się zawsze kimś opiekować, bo nie mogę znieść tego, że ludzie tak głupio żyją, a ten Bzowski już szuka mieszkania. Naradzają się z Basią, a ja nie wiem nad czym, choć Marcysia podsłuchuje pod drzwiami, ale baba głucha już jest jak pień. A niechby sobie szukał, ale on zabierze Basię!

— Pewnie, że zabierze...

— Dobrze, dobrze, niech zabierze... Zgubi dziewczynę! Geografii będzie ją uczył; i on, i ten drugi pomyłony, ten wasz profesor. Geografia jej potrzebna jak chłopu zegarek. Mąż jej się przyda, nie geografia. Z tym wszystkim co ja będę robiła?

— Niech babcia zabierze się do moich książek!

Pani Tańska spojrzała ponuro.

— Tego się nie doczekasz. W rodzinie musi być ktoś, kto ma wszystkie klepki w porządku.

Swoje niezaspokojone pragnienie, aby zawsze się kimś opiekować, skierowała w stronę małego Tadzia — dorodnego młodziana, syna Olszowskich — z czego wynikały srogie awantury. Babcia uparła się, że chłopaczek jest mizerny, i stanąwszy nad nim jak kat nad skazańcem, wydawała rozkaz:

— Chłopiec musi być głodny. Tadzio, zjedz dwa jajka!

Tadzio bladł na samą myśl o tym, a pani Olszowska wołała:

— Ależ babciu, na nim ubranie pęka...

— Niech pęka, a odżywiać się musi. Ja w jego wieku wypijałam dziesięć jajek na surowo!

Szybko jednak zapomniała o wygłodniałym szkielecie (opasłym Tadzio), bo zajęły ją dwa nadzwyczajne zdarzenia: Bzowski wyprowadzał się, a Szot się żenił. Pierwszej katastrofie nie mogła zapobiec, drugą starała się zniweczyć³⁸⁶.

— Bałwan pan jest! — krzyczała podczas niedzielnego obiadu. — Za co się pan będzie żenił? Za aktorskie pieniądze utrzyma pan żonę? Ściany będzie gryzła, nieszczęśliwa kobieta. A zresztą niech gryzie, skoro jest taka głupia, że wychodzi za pana. Ja bym za takiego ananasa jak pan nie wyszła, choćby nas było tylko dwoje na świecie. Wciąż się pan tylko śmieje jak dziedzicznie obciążony idiota. Źle tu panu było?

— Strasznie, strasznie dobrze! — rzekł rozrzuwiony Szot, nie zwracając uwagi na to, że babcia sypie bałwanami i idiotami.

— Więc dlaczego to pan ucieka? — krzyknęła babcia z wielką pasją.

Nagle jakby osłabła i zaczęła mówić smutno:

— Co ja wam wszystkim zrobiłam, że tak ode mnie uciekacie? Walicki umarł, chyba mnie na złość, moja wnuczka odeszła do tego pismaka³⁸⁷, Basia odchodzi, teraz pan... Czemu to tak?

— Wszyscy odchodzą, bo muszą, ale wszyscy babcię kochamy — rzekł Szot.

— Muszą... Muszą — powtarzała pani Tańska. — Niemądre jest życie, jeśli wszyscy muszą wciąż odchodzić... Trudno... Wreszcie i ja stanę dęba³⁸⁸ i odejdę... Albo nie! Sto lat będę żyła i co mi kto zrobi?

— Niech spróbuje! — krzyknął Szot bohaterskim tenorem³⁸⁹.

Znacznie pocieszyło to panią Tańską, rzekła więc życzliwie:

— Przelewać się u was nie będzie, więc pamiętaj, mandrylu, abyś w każdą niedzielę przychodził na obiad z żoną. Jak dawniej! Przyjdziesz?

Szot nie odpowiadał, tylko całował jej zgrzybiałe³⁹⁰ ręce.

Nazajutrz odbyło się pożegnanie z Basią i jej ojcem.

Bzowski, uzdrowiony przez ten wstrząs, który w nim poruszył zakrzepłą pamięć ukochanych rzeczy, żył — zdawało się — potrójnym życiem, jak gdyby chciał nadrobić zaniechanie. Poruszał się gorączkowo, mówił wiele, rwał się do jakiejś ciężkiej pracy. Długo mu nie mówiono o straszliwej tragedii jego żony, aby go nowy ból nie pokonał, lecz

³⁸⁶ zniweczyć — doszczętnie zniszczyć. [przypis edytorski]

³⁸⁷ pismak — marny dziennikarz, tu: w odniesieniu do pisarza. [przypis edytorski]

³⁸⁸ stanąć dęba — sprzeciwić się, stawić zdecydowany opór. [przypis edytorski]

³⁸⁹ tenor — najwyższy głos męski. [przypis edytorski]

³⁹⁰ zgrzybiały — niedołężny, stary. [przypis edytorski]

on sam w trakcie tajemnej rozmowy z Basią dowiedział się o wszystkim. Odbył z nią pielgrzymkę na grób, którego darni³⁹¹ z czcią dotknął ustami.

Przez długie godziny Basia opowiadała mu o wszystkim. Z początku nie mógł powiązać zdarzeń i ich kolejność mąciła się w jego umyśle. Powoli jednak uciszyły się rozruszane wody, wszystko stężało i zaczęło się utrwalać. Bzowski napisał dwa wzruszające listy: jeden do Williamsa, który go uratował, drugi do Dimauriaca. Najtrudniej mu było odtworzyć własne dzieje po katastrofie na górskiej ścieżce. Zdarzenia sprzed dziesięciu lat tańczyły przed jego oczami jak kłębiące się mgły, lecz nawet te okruchy opowieści, które wygrzebał z samego dna pamięci, były okropne. Zawędrowawszy na nieludzkie pustkowia, zemdlął z wyczerpania. W jaki sposób znalazł się w brudnej wiosce Indian Jiwaro, tego nie wie. Przypomina sobie gromadę czerwonoskórych, roslących i silnych, niemal nagich, chociaż nielitościwe góry szczyły na nich nocami zimno jak kąśliwego psa. Wyleczyli go z ran, karmili najuboższą strawą — sami nędzarze — i nauczyli rozmaitych robót. Plótl kapelusze, dźwigał ciężary, opiekował się dziećmi. Nachodziły go takie rozpaczliwe chwile, w których jakieś niejasne wspomnienia snuły się mętnie przed jego zmartwiałymi oczami, lecz wkrótce zapominał o nich, jak zapominał własnej mowy i wszystkiego, czym napełniona jest dusza ludzka.

— Nauczyłem się poza tym jednej przedziwnej sztuki, znanej jedynie temu zagubionemu w górach plemieniu — mówił, patrząc jak gdyby w dal.

— Jaka to sztuka, tatusiu? — spytała Basia wesoło.

— Zmniejszanie ludzkich głów — odrzekł z powagą.

— Zmniejszanie... głów? — krzyknęła Basia.

— Tak. Ci Indianie umieją przedziwnym sposobem skurczyć głowę zmarłego człowieka do rozmiarów głowy niemowlęcia. Każde europejskie muzeum kupiłoby taką czaszkę płacąc, jakby była ze złota.

— To straszne! — zawołała Basia.

W tej chwili przypomniała sobie ze zgrozą, że ojciec czynił zagadkowe ruchy dokoła głowy babci Tańskiej, jak gdyby ją mierzył.

— Doszedłem do wielkiej wprawy — mówił Bzowski, nie zwróciwszy uwagi na nagłą bladłość córki. — Teraz napiszę o tym książkę, która wywoła zdumienie. Ja jeden w cywilizowanym świecie mogę to uczynić. A wiesz...

W tej chwili zaśmiał się serdecznie.

— Czemu się tatuś śmieje?

— Śmieję się z siebie samego... Czy wiesz, że gdy pierwszy raz ujrzałem babcię Tańską, uroiło mi się, żeby jej głowę poddać tej wesołej operacji. Coś mnie ciągnęło do tej głowy. Biedna babcia nie wiedziała, co jej grozi!

Tak mu się wydawało to wesołe, że podczas pożegnalnej kolacji u pani Tańskiej przyznał się do swoich straszliwych zamiarów.

— Niech mi droga babcia przebaczy! — dokończył ze śmiechem. — Już mi przeszło.

— To wielka szkoda — odrzekła pani Tańska ku największemu zdumieniu wszystkich. — Wielka szkoda! Na sądzie ostatecznym będzie takie zbiegowisko, że nikt na mnie nie spojrzy, a gdybym się tam zjawiła z malutką główką, zrobiliby się zamieszanie i cały świat by mnie podziwiał.

Bzowski zamieszkał z Basią i ze swoją nieskurzoną głową włączył w gorącą robotę. Pracował wytrwale z profesorem Somerem, który, doznawszy wielkiego zaszczytu poznania pani Tańskiej, zapalał ku niej wielką sympatią, słuchając wśród wybuchów śmiechu ponurej przepowiedni o rychłym końcu świata i o szachrajstwie nauki twierdzącej, że Ziemia jest kulista.

Babcia miała jednak ważniejsze zmartwienie.

Ponieważ nie wiedziała o wszystkim, co się dzieje, wpadła raz do pana Olszowskiego.

— O czym wy tak wciąż gadacie z Basią i z tym pomniejszaczem głów?

— A bo co?

— Nie wykręcaj się, bo ci się nie uda. Dwa razy już byliście u adwokata. Po co?

Pan Olszowski spoważniał.

— Basia — rzekł — oddaje połowę majątku na wychowanie bezdomnych, sierocych

Sierota, Bezdomność

³⁹¹darni — ziemia gęsto porośnięta trawą. [przypis edytorski]

dzieci. Sama była sierotą i nie miała domu. Ta złota dziewczyna umie być wdzięczna. Czy babcia ma coś przeciwko temu? Widzę, że nie bardzo, bo babcia ma łzy w oczach.

— Sam masz chyba łzy w oczach, więc kiepsko widzisz! To tak ze starości wilgotnieją mi oczy... Połowę majątku, powiadasz? Nieszczęśliwym dzieciom? Nieźle, nieźle! Powiedz jej... Po co zresztą ty masz mówić, skoro ja jej sama powiem...

— Niech babcia powie na wszelki wypadek.

— Powiedz jej, że gdyby czegoś tam jej zabrakło, to ja dodam...

— O babciu!

— Czemu się drzesz? Dodam, bo mi się tak podoba... Mam tam coś niecoś, bo pochodzę z zamożnej rodziny, w której na szczęście nie było nigdy takiego, który książki pisze... Nie było łapserdaka...

— A ja jednak żyję z pisania książek! — zawołał Olszowski triumfalnie.

— Na razie żyjesz, ale możesz umrzeć na tyfus głodowy. Bądź zdrow! Muszę już iść; Marcysia myje sobie dzisiaj głowę, więc może być pożar, bo myje benzyną. Gdyby się tak szczęśliwie zdarzyło, żeby się baba spaliła, dam Bzowskiemu jej głowę. Aha! Czy to prawda, że on za Basią świata nie widzi?

— Za jej sprawą zobaczył świat...

— Rozpuści dziewczynę jak dziadowski bicz! Tęgo tylko brakowało... Ale ja się tym zajmę! Zawsze się śmiejesz? Czy ja nie mogę powiedzieć słowa, żebyś się nie śmiał? Panie Olszowski, mam zaszczyt pożegnać pana.

Babcia miała rację mówiąc, że Bzowski rozpuszcza Basię. Patrzył w nią jak w obrazek, wodził za nią rozkochanym spojrzeniem. Nieraz, wskazując dziewczynę palcem, mówił:

— To jest... Basia.

Z nią jednak stało się coś przedziwnego. Ponad wiek poważna w owych chwilach, gdy ze zgrzytotą w malutkim sercu drżała w Paryżu, nad słuchując każdej wieści o ojcu; niemal dorosła kobieta, gdy z matczyną słodyczą uczyła go najprostszych słów; cierpliwa jak siostra miłosierdzia, najczcigodniejsze stworzenie na świecie, gdy czuwała przez całą noc — jednego dnia zmieniła się całkowicie. Stało się to wtedy, gdy jej ojciec, pobity mrokiem, powrócił do życia i gdy stał się znowu człowiekiem rozumnym. Wtedy, jak gdyby ukończywszy straszliwą pracę ponad siły, odetchnęła pełną piersią, zdjęła z udręczonego serca nieznośny ciężar i tego dnia poczuła z niewysłowioną radością, że znowu ma piętnaście lat. Świat, nasiąkły ciemnością, tak się rozjaśnił, że wszystko na nim rozkwitło. Do Basi przybiegła jakaś radość — śmieszna, rozkrzyczana, rozgadana i tańcząca. Zmartwiona kobietka, zawróciwszy ze swej kamienistej drogi, z sarnim pośpiechem pobiegła z powrotem do owego dnia, który się dwanaście razy uśmiechał dwunastoma godzinami. Stała się znowu dziewczątkiem, rozpoczynającym swoją wiosnę — burzliwą, zmienną jak marcowe pogody, słoneczną i śliczną. Jednym gibkim ruchem dzikiego stworzonka, co wyskakuje z ciemnego legowiska na zieloność łąki, strząsnęła z siebie wszystko, co ją gniotło i co kamieniem legło na jej młodości. Radość, radość, wszędzie jest radość! Ani przez chwilę nie poczuła dumy ze spełnionego wysiłku. Jej niezmierna miłość podjęła wyprawę w umęczoną krainę łez i odniosła zwycięstwo, więc nie ma o czym mówić. Ojciec odrabiał stracone lata życia, a ona odrabiała teraz wszystkie stracone promieniste dni. Wcześniej biła od niej wesołość, teraz radość buchała z niej jak z dziesięciu młodych serc.

Nie jeden też, lecz dziesięciu autorów nie zdoła opisać ludzkim, rozumnym słowem tego wrzasku, jaki się podniósł w szkole po jej powrocie. Mizerne wyobrażenie o nim mógłby dać równoczesny dźwięk wielu aparatów radiowych, obdzieranych w tym samym momencie ze skóry. Natura wzдрыgnęła się, szepcąc zbielałymi ustami: „Czy to już koniec świata?”

Niemądry ludzie dorośli rozmawiają w ten nudny sposób, że jeden z nich mówi, a reszta go słucha, często zaś po wielu godzinach takiego gadania żaden z nich nie wie, czego chciał drugi. Paniutki rozmawiają zupełnie inaczej: czterdzieści ich gada równocześnie, a jedna słucha i ta jedna wszystko rozumie. Tym wybornym sposobem Basia dowiedziała się w ciągu godziny o wszystkim, co było, co jest i co będzie: kto się w kim kocha, kto go zdradził, kto się z kim gniewa. Okazało się, że pan Olszowski wyszedł

Przemiana, Radość,
Młodość

Szkola, Przyjaźń, Moda

z mody, miejsce jego zajął prawy łącznikowy³⁹², który przyczynił się do zwycięstwa nad „Chelsea”³⁹³ w piłce nożnej. Jednakże trzy czwarte klasy oznajmiło Basi wręcz, że jeszcze większym bohaterem jest jej ojciec i że gdyby można było otrzymać jego autograf lub kołnierzyk, dałoby się pogadać, czy nie zrobić mu miejsca w przestronnych sercach, w których pochowano już niesławnie liczną gromadę.

Na zebraniu sześciu przyjaciółek, tych, co to: „na życie i na śmierć, i jeszcze dłużej”, odbyło się prawdziwe powitanie. W szczęśliwym milczeniu pokazano zadrapania po krwawych znakach, wrytych na pożegnanie. Wymieniono sześćdziesiąt tuzinów pocałunków i uścisków.

— A w kim się kocha Zielonooka? — zapytała Basia.

— W jakimś Szocie, bo świetnie grał Mazepę³⁹⁴ — odrzekł chór. — Ale powiedziała, że zje kredę, sześć ołówków i popije butelką octu, aby umrzeć, bo on się żeni.

— Oj, bo skonom! — krzyknęła Basia, trzymając się za brzuch ze śmiechu.

I zaczęła pytlować³⁹⁵ z siłą stu koni parowych³⁹⁶.

RADOŚĆ, RADOŚĆ, NIECH WSZĘDZIE BĘDZIE RADOŚĆ!

³⁹²*prawy łącznikowy* — pozycja jednego z graczy w piłce nożnej. [przypis edytorski]

³⁹³*Chelsea* — tu: znany angielski klub piłkarski. [przypis edytorski]

³⁹⁴*Mazepa* — tytułowy bohater dramatu Juliusza Słowackiego (1809–1849) z 1839 r. [przypis edytorski]

³⁹⁵*pytlować* — dużo i szybko mówić. [przypis edytorski]

³⁹⁶*koni parowy* — jednostka mocy, anglosaski odpowiednik konia mechanicznego; w układzie SI zastąpiona *watem*. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/makuszynski-awantura-o-basie/>

Tekst opracowany na podstawie: Kornel Makuszyński, *Awantura o Basię*, wyd. „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1958, 1996.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja pochodzi z biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Monika Kępska.

ISBN 978-83-288-7376-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).